

# Ostatnia kohorta tom 1

Łysiak Waldemar



calibre 0.7.14

Waldemar Łysiak

Ostatnia kohorta

Tom 1

2005

## Wstęp

V wiek naszej ery. W cywilizacji i w kulturze tak zwanego Zachodu - stulecie najbardziej osobiwe. Dlaczego? Bo postęp rozumiemy jako stały rozwój, raz szybszy, a raz wolniejszy, jednak (generalnie rzecz biorąc) nieprzerwany, tylko czasami kaleczony zapaścią, która trwa krótko, najwyżej kilkadziesiąt lat. Tymczasem V wiek inicjuje coś więcej aniżeli chwilową przerwę, coś monstrualnie gorszego - kilkusetletnią dziurę, która pod każdym względem cofa cywilizację do stanu takiego barbarzyństwa, jakie wydawało się etapem całkowicie już pokonanym. Będzie to wtórne barbarzyństwo - ciemna europejska noc. Historia ludzkości (historia znana dziejopisom) nie rejestruje drugiego podobnego przypadku: na kilka wieków cofnąć się o kilkanaście wieków! Ten regres spowodowało runięcie paneuropejskiego Rzymu, megastruktury, której nowoczesność była wobec całej reszty ówczesnego świata mniej więcej tak przeważająca, jak automatyczna pralka wobec drewnianych kijanek.

Kontemplując dzieła sztuki i ruiny starożytnego Rzymu, obywatel internetowej cywilizacji sądzi, że to jedyne echa tamtego świata sprzed prawie dwóch tysięcy lat. Myli się wierutnie, gdyż - zważywszy mnóstwo aspektów - żyje w tym właśnie świecie, ergo: korzysta z wynalazków rzymskiego państwa lub reprodukuje te wynalazki, nie tylko obyczajowe (jak choćby emancypacja, feminizm, rozwód), prawne (treść kodeksów) czy techniczne (choćby żniwiarka), lecz i wszelkie inne: polityczne, terminologiczne (językowe), administracyjne (urzędy), a i codziennozwyczajowe także. Obchodzi swój Nowy Rok 1 stycznia, nie wiedząc, że zapoczątkowali to Rzymianie (nie była to u nich cezura astronomiczna, tylko 1 stycznia obejmował swój urząd na rok nowy duet konsulów). Kupuje gazetę, nie wiedząc, iż gazetę codzienną wymyślił Juliusz Cezar („**Acta diurna**”) - pisano ją na papirusie. Wysyła depeszę, nie wiedząc, iż Rzymianie robili to samo telegrafem ogniowym. Spogląda przez zamknięte okno swojego wieżowca, nie wiedząc, iż Rzym cesarów znalazł już budynki o kilkunastu kondygnacjach i szyby w oknach tych budynków (na chłodnej północy Italii), sytuowanych frontem do ulicy lub placu (to też był wynalazek). Kąpie się w nowoczesnej łazience, nie wiedząc, iż takie łazienki (o identycznym co dziś kształcie metalowych i kamiennych wanien) były u Rzymian rzeczą zwyczajną, a wodociągi (akwedukty sprowadzające górską wodę i rozprowadzające ją sieciami liczącymi setki kilometrów), jak również kanalizacja, miały poziom nie gorszy od dzisiejszego. Pije ze szklanki i kieliszka, nie wiedząc, iż te szklane naczynia wymyślili Rzymianie. Zdobi ściany swego mieszkania malarstwem, nie wiedząc, iż taką formę dekoracji lokum wynalazł Rzym. Jeździ autostradami, nie wiedząc, że okazałe kamienne „szosy” Imperium Rzymskiego biegły przez Bliski Wschód, północną Afrykę i całą Europę. Pasjonuje się supermostami, nie wiedząc o kratownicowym moście rzymskim na Dunaju (rok 105!). I tak dalej, i tak dalej. Nawet fotografia portretowa jest wnuczką rzymskich portretów werystycznych zwanych „*fizjonomicznymi*”. Również rzymskiego pochodzenia jest cały nasz smak estetyczny wobec Antyku: sztukę Starożytności symbolizuje nam śnieżna biel antycznych kolumn i posągów, a nie wiemy, że to rzymski (czyli późny) wynalazek, chwyt rzymskich kopistów sztuki greckiej, bo starożytni Grecy malowali swoje rzeźby tudzież architekturę równie tęczowo co jaskrawo.

Kiedy już jesteśmy przy sztuce Rzymu - zajmijmy się nią przez chwilę, gdyż ona wcześniej uległa dekadencji niż całe Cesarstwo. Tak wcześnie, że można stawiać tezę, iż właściwie sztuki rzymskiej nie ma. Jeśli tylko dodamy (dla precyzji) słowo: oryginalnej (oryginalnej sztuki rzymskiej) - tezę powyższą da się wybronić bez trudu. Sztuka rzymska była bowiem bardziej rzemiosłem,

dekoratorstwem, epigonizmem, kiczem i kolekcjonerstwem cudzej (głównie greckiej) sztuki, niżli sztuką autonomiczną (własną prawdziwą twórczością wysokiego lotu). Jej cel stanowiło ozdabianie, nie zaś kreowanie. Sami Włosi już dawno przyznali pod tym względem rację cudzoziemskim krytykom, co włoski historyk z pierwszej połowy XIX wieku, Cesare Cantù, stwierdził dwukrotnie na kartach swojej „**Historii Powszechnej**”, pisząc: „*Sztuki piękne nie kwitły w Rzymie*” i „*Rzym nie był światem sztuki*”. Ależ był, i to jak! Rzym uwielbiał sztukę, pasjonował się sztuką, był cały nasycony sztuką - w samym mieście Rzym stało dziesięć tysięcy posągów (prac własnej roboty plus arcydzieł ściągniętych z Grecji, z Azji Mniejszej i z Egiptu)! Jednak można powiedzieć, iż Rzym bardziej aniżeli @uprawiał sztukę - @wykorzystywał sztukę, głównie do upiększania siedzib, i do propagandy, czyli do oddziaływania na tłum.

Rozpatrując ten problem bardziej scjentycznie - trzeba nolens volens przyznać, że istniały jednak oryginalne przejawy rzymskiej sztuki, i że miała ona pewną tożsamość twórczą. Lecz nawet tak ostrożną konstatację, jak również niezbyt precyzyjną diagnozę, wyciśmy dopiero - aż trudno w to uwierzyć - przed stu kilku laty. Wcześniej - zgodnie z egzegezami Winckelmanna (autorytetu XVIII-wiecznego) - twierdziliśmy, iż cała sztuka Rzymu to schyłkowa faza sztuki greckiej. Renomowana polska „**Encyklopedia Orgelbranda**” w swoim pierwszym wydaniu (1866) ma liczące aż pół setki stron hasło „**Literatura rzymska**” i ani jednego zdania o sztuce Rzymu - hasło „*Sztuka rzymska* „nie istnieje! Pojawi się ono (przybierając formę raczej komiczną) dopiero w wydaniu trzecim (1902). Bo też dopiero ze schyłkiem XIX stulecia austriacki historyk, Franz Wickhof, upomniał się o „*samodzielność*” rzymskiej sztuki, czyli o jej oryginalność, rozpętując burzę polemik, trwających zresztą do dzisiaj. Ci, którzy przyznawali mu rację, musieli wszelako przyznawać również, że była to bardziej samodzielność w nowatorskim rozgrywaniu kompilowanych wpływów etruskich, greckich i wschodnich, aniżeli w wymyślaniu form oryginalnych, zatem najwyżej samodzielność rozwoju, a nie genezy nowej sztuki, posiadającej własną, bezprecedensową indywidualność. Jako rzeczy świeże u Rzymian wskazywali malowane temperą lub farbą enkaustyczną portrety grobowe (tzw. „*portrety fajumskie*”), których czuła, wręcz poetycka fizjonomię nie posiada znanych źródeł greckich ni etruskich; bądź pyszną perspektywę i światłocien reliefowych wstęp oplatających spiralnie wielkie kolumny Rzymu (tzw. „*styl kontynuacyjny*”; exemplum Kolumna Trajana) i opowiadających historie mitologiczne lub wojskowe metodą ciągu scen, jak tasiemce dzisiejszych komiksów.

U swego schyłku (IV-V wiek n.e.) sztuka rzymska popadła w manierę istotnie oryginalną. Był nią wrogi realizmowi prymitywizm, swoisty kubizm, przejawiający się zaniechaniem iluzyjności werystycznej na rzecz form uproszczonych i geometryzowanych, bliskich archaicznej rzeźbie greckiej i prostocie rysunku dziecięcego. Lub prostocie gryzmołów uprawianych przez barbarzyńców. Tak więc sztuka Rzymu i Rzym jako państwo poddali się barbarzyństwu równocześnie. To pierwsze dziwi, to drugie bardzo dziwi. Jak to było w ogóle możliwe? - spyta ktoś, kto słyszał o wszechpotędze Rzymu, lecz nie czytał o przyczynach jego upadku.

Każdy wielki upadek sieje ziarna mądrości - wskazuje czego robić nie wolno, by nie doznać goryczy krachu. Jednak te ziarna zawsze padają na jałową glebę i nie rodzą owoców, które mogłyby ludzkość trwale uszczęśliwić. Gatunek „*homo sapiens*” jest bowiem zbyt słaby i zbyt tępy, aby przekuwać tragiczne lekcje w praktykę niepowtarzania błędów swoich przodków, więc społeczeństwa ciągle te błędy klonują. O ile kilkunastowieczna słabość sztuki rzymskiej, polegająca na kopiowaniu sztuki greckiej zamiast kreowania własnej, przyniosła nam jakiś efekt pozytywny (dzięki tym rzymskim

kopiom znany wspaniałą sztukę starożytnych Greków, gdyż greckie oryginały nie zachowały się prawie zupełnie) - o tyle finalna słabość rzymskiego imperium nie dała światu nic dobrego, prócz nauki, która (co wykazały późniejsze dzieje polityczne gatunku) skutkuje niczym przysłowiowy groch rzucony o ścianę. Mój niebeletrystyczny wstęp do powieści ma Wam wyklarować niuanse i sekrety bezpłodnej lekcji sprzed półtora tysiąca lat - niewyobrażalnej jeszcze dla Rzymian IV wieku kłęski Rzymu.

Wpierw kilka słów o powstawaniu i o mocarstwowieniu rzymskiego państwa, założonego rękami Latynów, Sabinów i Etrusków, a datowanego: 753 p.n.e.-476 n.e. Przekształcanie się Rzymu z maleńkiej osady rolniczej w „*polis*” (miasto-państwo), później w państwo wieloobszarowe i wielomiejskie, a wreszcie w gigantyczne imperium - to rozwój fascynujący. Znaczący Antyk, Jan Parandowski, nazwał tę ewolucję „*dziwnym i tajemniczym procesem, podobnym do procesu, w którym z małego żółdzia wykształca się majestatyczne drzewo - wielki dąb*”. Budulec dawały rozliczne podboje (często będące efektem wojen sprowokowanych przez sąsiadów Rzymu), widzimy tu wszakże i niechęć do podboju dla samego podboju, dla wojny gwoli samej wojny, ergo: krwi i łupu (tym się Rzym różni od późniejszych najeźdźców, Arabów bądź Mongołów). Wreszcie są tu i aspekty, których nie znają dzieje żadnego innego mocarstwa.

Pierwszym spośród takich aspektów było ukształtowane z biegiem lat w ówczesnym świecie mniemanie, iż przeznaczeniem Rzymu jest władza nad wszystkimi ludami, nad całą Ziemią. Dlatego działy się rzeczy zdumiewające: wielu suwerennych władców przyłączało swe państwa do Rzymu, bez presji, choćby drogą zapisu spadkowego; inaczej mówiąc: całe niepodległe i niezagrożone państwa same wtapiały się w ciało Imperium. Przykłady: 74 rok (król Nikomedes III oddaje Rzymowi testamentem swoją Bitynię); 96 rok (król Apion, władca Cyrenajki, czyni Rzym swoim spadkobiercą); 133 rok (król Attalos III zapisuje Rzymowi królestwo Pergamonu). Et cetera.

I drugi, równie ważny czynnik, kłóący się z wizją reklamowaną nam przez francuskie bajeczki o Asterixie: ludność wielu krajów podbitych przez Rzym nie chciała stawać pod sztandarami swych lokalnych wodzów do walki przeciw Rzymowi, odmawiała udziału w zbrojnym „*zrzucaniu jarzma*”, ponieważ to „*jarzmo*” wcale nie było jarzmem, nie było okupacją - było błogosławieństwem. Czemu galijscy chłopcy na dalekiej północy Europy mieliby się buntować przeciwko Rzymianom, jeśli właśnie dzięki kurateli Rzymu wiodło się im sto razy lepiej niż wcześniej, przed przyjściem Rzymian? „*Pax Romana*” (pokój panujący na całym obszarze Imperium, czyli w praktyce ład i błogi spokój) zapewniał im same korzyści: bezpieczeństwo (wszędzie obowiązywało twarde prawo, jedno dla wszystkich) plus cywilizacyjny postęp (techniczne środki karczowania lasów pod hodowlę i uprawę roli, melioracja, kanalizacja, ułatwianie zbiorów, itd.) - postęp, który likwidował strach przed głodem będącym wcześniej ciężką plagą. Reliefy rzymskie (II wiek), z dokładnymi wizerunkami żniwiarek podczas pracy, odkopano we Francji (w Montauban i w Arbon), czyli na terenie etnicznym Asterixa.

Na dalekim Południu - w rzymskiej Afryce i na Bliskim Wschodzie - było identycznie. Dzięki Rzymowi te krainy zaznały takiego rozkwitu, o jakim nie śniły i o jakim niektóre nawet dzisiaj mogą śnić tylko. Profesor Ludwik Piotrowicz, autor „**Dziejów rzymskich**”, porównał sytuację Syrii czasów Rzymu, i Syrii czasów współczesnych sobie (rok 1934): „*Różnica między rozkwitem ówczesnym tych okolic a nędzą i opuszczeniem dni dzisiejszych jest tu tak rażąca, że dla jej*

wytłumaczenia przyjmowano zmianę warunków klimatycznych, co jednak w świetle pogłębionych badań okazuje się nieprawdą. Rzeczą decydującą był tu wysiłek twórczej pracy ludzkiej - on sprawił, że na miejscu stepów, po których krążyły nędzne stada nomadów, powstały kwitnące gospodarstwa rolne, ogrody oliwne, winnice i miasta, które swymi urządzeniami technicznymi i kulturalnymi, jak bruki, wodociągi, portyki, hale targowe, termy, szkoły, amfiteatry itp. zupełnie się upodobniły do miast Italii”. Spójrzmy dzisiaj na prowincję afrykańską lub bliskowschodnią - na nędzę, chaos, głód, brud oraz nieporadność wszystkich tych krain, które dzięki kurateli Rzymu miały swój jedyny „złoty wiek”. Telewizja pokazuje nam tylko wnętrza stolic (Damaszku itp.), gdzie śródmięscia (bo już nie przedmieścia) trochę przypominają cywilizowany świat, lecz wieś to świat bliski erze kamienia łupanego. Panuje tam bowiem ciężki cywilizacyjny regres wobec poziomu, jaki zafundował owym prowincjom Rzym.

Dla miasta Rzym - „stolicy świata” - prowincją była cała reszta Imperium. Petroniusz, głośny rzymski „*arbiter elegantiae*” (tak, ten Petroniusz, którego Sienkiewicz uczynił pyszną figurą „**Quo vadis**”), w swoim dziele „**Satiricon**” mówi: „*Cały świat był własnością zwyczajnych Rzymian. Posiadali oni morza, ziemię, dwojakie konstelacje gwiazdne, i wciąż nie mieli dosyć*”. Kiedy to mówi - jest ledwie I wiek. Później Imperium rosło i „*cały świat*” stawał się coraz większy, aż objął rzeczywiście cały ówczesny zachodni świat - od Morza Arktycznego nad Brytanią po Saharę, i od iberyjskich wybrzeży Atlantyku po zadunajskie lasy i stepy. Dalej, dookoła, rozciągała się bezmierna pustka traw, chaszczów, bagien, piasków, skał i wód, a gdzieś jeszcze dalej - tak daleko, jak dla nas do Marsa - leżały Indie oraz Chiny, skąd czasami przybywał towar cieszący Rzymian swą quasi-pozaziemską egzotyką.

Wszechmoc Rzymu miała siedem źródeł. Inaczej mówiąc: gigantyczny gmach o nazwie Rzym - Colosseum milion razy większe niż igrzyskowe Colosseum - wspierał się na siedmiu filarach. Były nimi:

1. **Fatalizm**. Owo (wzmiankowane już) przekonanie ludzi i ludów, że z woli bogów Rzym ma dominować nad światem.

2. **Duch obywateli Rzymu**. Czyli cnoty Rzymian. Męstwo, prostota, surowość obyczajów, prawość charakteru, instynkt społeczny, patriotyzm - te cechy tworzyły ideał Rzymianina. Jeszcze w XIX stuleciu, gdy chciało się powiedzieć o kimś, że jest człowiekiem próby najwyższej, człowiekiem bez skazy - zamiast wielu przymiotników (prostolinijny, dzielny, skromny, szlachetny, dobroczynny, sprawiedliwy, et cetera) wystarczyło użyć jednego tylko słowa. To słowo brzmiało: Rzymianin.

3. **Znakomita wojskowość**. Czyli świetna predyspozycja i bitność wojsk rzymskich. Ich nowoczesność techniczna (machiny, fortyfikacje, uzbrojenie), operacyjna (taktyka i strategia) tudzież organizacyjna (33 legiony) przez kilka wieków nie dawała wrogom szans. Liczący 4200, a później 6000 pieszych legion składał się z dziesięciu jednostek taktycznych zwanych kohortami (kohorta - z trzech manipułów; manipuł - z dwóch centurii; do tego dochodziła jeszcze jazda i wojska sprzymierzone). W czasie bezwojennym legioniści krzewili cywilizację, karczując lasy, meliorując, stawiając groble, budując mosty i drogi, zakładając warowne obozy i miasta.

4. **Znakomity system prawny**. To, co dla prawodawstwa zrobił Rzym - było wielkim krokiem w

dziejach cywilizacji ludzkiej. Prawo po raz pierwszy odseparowało się od religii, a stan prawniczy od kapłaństwa. Rzymianie stworzyli coś, czego nie znał ani starożytny Wschód, ani Grecja, ani żadna inna z wcześniejszych kultur - PRAWO jako odrębną, całkowicie samodzielną, niepodporządkowaną ani świątyniom, ani władzom świeckim (czyli polityce) dyscyplinę, oraz stan prawniczy jako profesję, tudzież bogatą literaturę prawniczą (nie tylko kodeksową). To PRAWO zrównywało wszystkich ludzi wolnych - biednych i bogatych, utytułowanych i poślednich, białych i kolorowych, płci męskiej i płci żeńskiej. Przykładem: kobieta.

W początkach Rzymu sytuacja kobiety była jeszcze dość marna. Identycznie jak u starożytnych Greków - kobietę traktowano niewolniczo, z reguły niby towar, przedmiot handlu między mężczyznami lub rodzinami. Lecz już w czasach późnej Republiki i wczesnego Cesarstwa (mniej więcej około roku 1 naszej ery) kobieta zyskuje pełnię praw, zwłaszcza ta ze sfer wyższych - na przykład może, tak samo jak mężczyzna, żądać rozwodu. Później, po upadku Rzymu, sytuacja wróci do dawnej normy i wystąpi długi regres w emancypacji kobiet. Dzisiejsza emancypacja jest rezultatem kilkuwiekowej ewolucji, której początek to „*kultura rycerska*” Średniowiecza. Lecz kolebką emancypacji był Rzym.

Sumując: Rzym wytworzył system prawny nieomal identyczny co ten, który obowiązuje dzisiaj. Rzymskie „*pandekta*” (kodeks praw) plus „*Kodeks Napoleona*” (mocno czerpiący z rzymskich paragrafów) równa się: każde dzisiejsze cywilizowane prawo, wrogie wszelkim prawom barbarzyńskim (koranicznemu, komunistycznemu, etc). Całe to rzymskie PRAWO, z jego procedurą, której można się było nauczyć, i z jego jednolitością stosowania (bardzo precyzyjną) - przyczyniło się ogromnie do budowy potęgi Rzymu.

**5. *Znakomity system komunikacji.*** Łączył wszystkie tereny i wszystkie krańce Imperium. Tworzyły go: gigantyczna sieć bitych dróg lądowych (nie cofających się przed żadną zaporą, tnących góry i rzeki, wąwozy i trzęsawiska); gigantyczna sieć dróg wodnych (kanały i rzeki spławne, często regulowane); poczta państwowa (rozstawne sztafety); telegraf (optyczno-ogniowy ciąg przekazywania kodów); liczne wielkie porty, tudzież dwie wielkie floty, militarna i handlowa, którym morza nie były straszne.

**6. *Jednolity system monetarny.*** Wiadomo jakie kłopoty powodują i jaką klęską bywają czasami różnice walutowe. Imperium Rzymu miało tę samą monetę we wszystkich swoich zakątkach. Co niebywale ułatwiało politykę finansową, tudzież handel między ziemiami tak odległymi jak Brytania i kraje Bliskiego Wschodu.

**7. *Autonomiczność narodów.*** Obywatele Cesarstwa byli „*narodem narodów*”, gdyż Imperium było rodzajem federacji - zbiorem państw-prowincji w ramach jednego systemu. Centrala (dwór imperatora tudzież administracja metropolii) sterowała wspólną dla wszystkich polityką prawną, fiskalną i wojskową, lecz cała reszta została oddana narodom. Panowała wszędzie pełna autonomia kulturowa, obyczajowa, językowa i religijna anektowanych terytoriów. Romanizowanie oznaczało: cywilizowanie, pomoc, nie zaś terror okupacyjny. Było więc przeciwieństwem znanej Polakom rusyfikacji czy germanizacji, gdyż lokalnych tradycji nie represjonowano i nie niszczone. Kasowano jedynie zwyrodnienia. Claudio Magris: „*Imperium rzymskie stało się wspaniałym motorem postępu.*”



*Kładło kres istnieniu społeczeństw zamkniętych, brutalnych, samowystarczalnych, plemiennych, wszystkich tych odrażających wspólnot, bazujących na ucisku jednostki i krzywdzie kobiet” (2004).*

Kropka. Tylko siedem i aż siedem filarów potęgi, będących filarami dobrobytu. Trudno się dziwić, że w najlepszym (dwustuletnim) okresie Cesarstwa - wśród ludów Rzymu panowało powszechne głębokie zadowolenie. Znaczącym tego świadectwem jest wygłoszona do rdzennych Rzymian mowa greckiego retora, Eliusza Arystydesa (druga połowa II wieku naszej ery):

*„Miasta promienieją pięknem i powabem, a cała ziemia jest strojna jakby ogród. Toteż tylko politowania są godni ci, którzy żyją poza granicami naszego państwa, albowiem z tych dobrodziejstw nie korzystają. Wy urzeczywistniliście opinię Homera, że Ziemia, matka wszystkich, jest i wspólną ojczyzną wszystkich. Czy to Grek, czy barbarzyńca, może się teraz łatwo przemieszczać, lubo ze swym mieniem, lubo bez niego, jakby się z rodzinnych stron do przyjaciół przenosił. Nie budzą dziś grozy cylijskie wąwozy, ni piaszczyste pustynie Arabii, ni góry podniebne, ni rzeki ogromne, ni hordy dzikich barbarzyńców - starczy być Rzymianinem, obywatelem tego państwa, aby być bezpiecznym. Wymierzyliście świat cały, sprzęgliście mostami brzegi rzek, poskromiliście góry, wyrównaliście ziemię, zapelniliście osadami pustynie i pustkowia, prawem i obyczajem uregulowaliście wszystko”.*

Był to więc świat spokojny i syty, bez wojennych hekatomb i pożóg - rzadka rzecz w historii. Jan Parandowski bardzo ładnie tę prawdę ujął: *„Była to niedziela historii, odpoczynek po trudnych czasach”*. Ów cudowny czas, zwany *„najszcześniejszą epoką ludzkości”* (C. Cantu), trwał prawie ćwierć tysiąca wiosen (pierwsze dwa stulecia naszej ery i fragment wieku III). Tu się zdziwi mnóstwo Czytelników: a te wszystkie mordy, okrucieństwa, totalitaryzmy cesarów, które oglądaliśmy w filmach, lub które znamy z powieści takich jak *„Quo vadis”*? Otóż - pomijając nawet fakt, że były to okresowe, krótkie intermedia (zbrodniczy szalaniec Karakalla rządził sześć lat; potwór Kaligula tylko cztery lata) - wszystkie te bestialstwa działały się wyłącznie w jednym miejscu Imperium: tylko w stolicy, w ponadmilionowym mieście Rzym, i dotyczyły jedynie sekciarzy (walka religijna), dygnitarzy (walka polityczna) tudzież bogaczy (walka finansowa). Szerokie rzesze społeczeństwa - prowincja (już za rogatkami stolicy) oraz narody włączone do Cesarstwa - miały błogi spokój i niezamącone bezpieczeństwo, tak jak to słaWił cytowany Eliusz Arystydes. Później sytuacja zaczęła się zmieniać. Parandowski: *„ludy i kraje, które zawdzięczały Rzymowi z górą dwa stulecia pomyślności - przeszły z nim okres jego upadku. Błędy ustroju cesarstwa rzymskiego pogrążyły je w okrutnym i krwawym zamęciu, z którego ten spokojny świat wyszedł zdeptany, poszarpany, wyludniony i nędzny. Upadek starożytności cofnął cywilizację europejską o kilka wieków”*. Nie ma zgody na to ostatnie stwierdzenie - upadek Starożytności cofnął cywilizację europejską o około tysiąc lat lub więcej, bo dopiero w późnym Średniowieczu zaczyna się start do rozwoju z punktu porównywalnego, a właściwie dopiero w początkach Renesansu.

I tu wraca kluczowe pytanie: jakim cudem tak genialnie naoliwiona i tak sprawnie działająca maszyna mogła ulec kolejno: rozstrojeniu, zatarciu, zełomowaniu i zdematerializowaniu? A bez metafor: co spowodowało upadek takiej superpotęgi, będącej monumentalną „federacją” różnych ziem i narodów? Upadek, który wydawał się niemożliwy. Za cesarza Maksyminususa (blisko półmetka



III wieku) - kogoś kraczącego, że katastrofa musi przyjść, nawet by nie ukarano, tylko zakwalifikowano by do wariatów. Ten problem gnębi historyków już półtora tysiąca lat, a kanon fundamentalnych dzieł rozpatrujących tę kwestię (począwszy od „Zmierzchu Cesarstwa Rzymskiego” Brytyjczyka Edwarda Gibbona) jest przeogromny. Stale pasjonuje się tym problemem również prasa Zachodu; „Der Spiegel” (1983): „*Sprężyste zorganizowane Cesarstwo, które z mało ważnego rolniczego państwa wyrosło na pozbawioną konkurentów potęgę, wydawało się niezwyciężone; współcześni sądzili, że Imperium Rzymskie nigdy nie upadnie. Runęło jednak. Każda generacja historyków znajdowała inną odpowiedź na pytanie: jak do tego doszło?*”.

Odpowiedzi były różne, bo i przyczyny były różne - nie było jednej przyczyny. Spośród wielu przyczyn wskazywanych przez diagnozy lub hipotezy scjencyczne - pięć uważam za warte druku. Można je określić hasłami: armia, etyka, religia, gospodarka i barbaria. Rozwinę te hasła kolejno:

### 1. *Wymiękniecie siły wojskowej*

Aby stan optymalnej siły zamienił się w stan dekadencjonalnej słabości - musi nastąpić korozja owej siły. Psychologia (w odniesieniu do jednostki) i socjologia (w odniesieniu do społeczeństw) świetnie znają zjawisko, które polega na tym, że właśnie apogeum potęgi jest źródłem słabości. Stan nasycenia (ojciec stanu przesycenia) wszechwładzą i bogactwem - rodzi gnuśność. Brak zagrożenia - rodzi zniewieściałość, tak psychiczną, jak i fizyczną. A rdzenni Rzymianie doszli (III wiek) do ściany - wszystko stało się własnością Rzymu. Nie było po co dalej się wysilać, utrzymywać w ciągłej gotowości ciężką fizyczną, obierać profesję żołnierza (czyli fach nie dający laurów, gdy pokój trwa wielopokoleniowo). Przyszedł czas wyłącznego korzystania z uroków życia - ze zbytku, z odpoczynku, z lubieżności. Efekt? Maksimum rozpoczyna swą długą drogę ku minimum wskutek słabnięcia woli człowieczej i woli społeczno-państwowej. Dlatego, kiedy barbarzyńcy żyjący na obrzeżach Imperium zaczęły je bardzo solidnie szarpać, już nie tylko lokalnie się buntując lub awanturując, lecz i agresywnie penetrując Cesarstwo - zaczęły ono ponosić klęski.

Rzadko buntowały się te ludy barbarzyńskie, które zostały objęte dobrodziejstwami cywilizacyjnymi „Pax Romana”. Już w roku 98. największy rzymski historyk, Tacyt, prorokował, że buntować się będą jedynie mieszkańcy najmniej cywilizowanych obszarów Imperium, a łącać z zewnątrz będzie dzicz zupełna, wegetująca wśród pustkowi i puszczy poza granicami naturalnymi (jak Dunaj) oraz „limesami” (granicami ufortyfikowanymi). Do pacyfikowania tej dziczy i tych przygranicznych buntów służyły legiony, bezlitośnie wybijające kły niesfornym barbarzyńcom. Ale kiedy ustały wielkie wojny z dużymi wchłanianymi sąsiadami, czyli wielkie militarne podboje - wojaczka przestała być producentką chwały zdobywców. Gaszenie sporadycznych pożarów u granic Imperium było tylko robotą żandarmeryjną, mniej chwalebna. I to przekonanie zaczęło zmieniać strukturę armii.

W epoce rozszerzania terytorium i krzepnięcia potęgi wojsko rzymskie składało się z zaciągu ochotniczego i wstępowały doń jednostki najwartościowsze. Ale kiedy ugruntowano już Cesarstwo - do legionów (zwłaszcza pogranicznych) coraz chętniej rekrutowano barbarzyńskich sprzymierzeńców, tych barbarzyńców cywilizowanych, z którymi dzicy barbarzyńcy, ci nękający Imperium, łatwiej dawali sobie radę. Siła wojskowa Rzymu wymiękała powoli, lecz był to ciągły

proces słabnięcia.

## 2. *Gangrena moralności*

Nie chodzi tu o upadek moralności w sferze seksualnej, ale o upadek etyki społeczno-politycznej, obywatelskiej; konkretnie: zbiorowy upadek niezależności ducha. Starożytni Grecy mawiali, że *„tylko człowiek, który umie mówić: Nie!, jest naprawdę wolny”*. Rzymianie z biegiem czasu tracili tę wewnętrzną wolność, co ja określam jako szerzący się incitatuizm.

Potwór Kaligula zaczął swe czteroletnie rządy od liberalizmu i humanitaryzmu (taka jest u wielu tyranów prawidłowość, vide start Nerona). Kończył je orgią mordów i łamaniem prawa (m.in. wynalazł prawo retroaktywne - działające wstecz - czyli hańbę prawodawczą). Gdy już zupełnie mu odbiło - zrobił swego konia, Incitatusa, kapłanem, senatorem i konsulem. Incitatuizmem zwę jednak nie te fakty, lecz fakt, że nikt przeciwko tym wybrykom nie protestował. Ani dygnitarze, ani społeczeństwo. Czy tylko ze strachu?

W pierwszych dwóch stuleciach imperialnego Rzymu takie zboczenia były incydentalne. Później jednak powszechna zgoda na nieprawość przybrała charakter epidemiczny i coraz częściej rozzuchwalała władców, a że *„ryba psuje się od głowy”* - deprawowała też społeczeństwo. *„Skutkiem było straszliwe ogólne zepsucie”* (Cantu). Francuski historyk, Hubert Monteilhet (autor m.in. bestsellera *„Neropolis”*), udzielając wywiadu czasopismu *„Paris Match”* (1984) objaśnił tę kwestię dziennikarzowi następującym przykładem:

*„- Teatr ówczesny jest całkowicie dekadentki. Jest to tylko pretekst do zalewu pornografii i przemocy. Dzięki teatrowi wynaleziono nawet «subtelny» sposób egzekwowania wyroków śmierci. Skazańcy grali w sztukach kończących się kaźnią i śmiercią bohaterów, tak że amatorzy weryzmu mogli czuć satysfakcję. Podam panu jeden przykład. Największym sukcesem teatralnym w historii Rzymu była sztuka «Laureolus», która nie schodziła z afisza prawie dwieście lat. Przy końcu tej sztuki bohater zostaje ukrzyżowany, lecz nim zdąży umrzeć, pojawia się niedźwiedź, który wyjada mu wnętrzności. Oczywiście - bohatera grał prawdziwy aktor, którego jednak przed sceną ukrzyżowania zastępowano skazańcem. Innymi słowy: na każdym spektaklu poświęcano jednego człowieka”*.

Wstrząśnięty dziennikarz pyta rozmówcę:

*„- I nikt nie miał nic przeciwko temu?!”*

Właśnie - nikt nie protestował. Sumienia były zincitatuizowane.

Totalistyczne ekscesy władzy, plus bezwolność społeczeństwa (słabość jednych ludzi i wredność drugich) - społeczeństwa przemilczającego lub oklaskującego każdą nikczemną decyzję „góry” i każde brudne „reality-show” - sprawiły w końcu, że surowy i szlachetny ideał Rzymianina stawał się coraz bardziej ideałem mitycznym, a wcześniejszy chwalebny duch obywatelski Rzymu począł obumierać. Obywatele zaczęli coraz częściej uchylać się od lojalności wobec państwa i od służby państwu. Doszło wreszcie do tego, że wyższa władza musiała represjami (stosowaniem urzędowych

kar) wstrzymywać rejteradę powszechną (z braku kandydatów - nie tylko żołnierzy, lecz i burmistrzów rekrutowano przymusowo, bo nikt nie chciał być funkcjonariuszem lub dygnitarzem!). I tak - również na dole zanikła szlachetna klasa rządząca Rzymu.

### 3. *Przewrót religijny*

Dawna historiografia twierdziła (twierdzi również część dzisiejszej), że znaczącą rolę w tym zniszczeniu obywatelskiego ducha Rzymu i, co za tym idzie, w zrujnowaniu Cesarstwa - odegrało chrześcijaństwo. Chrześcijaństwo, ze swą doktryną internacjonalistyczną, a więc przeciwną patriotyzmowi. Czy jest to prawda? Jest i nie jest, lecz nim wyeksplikuję niuanse problemu - muszę postawić pytanie bazowe dla wszelakich rozważań tej kwestii: czemu właśnie chrześcijaństwo odniosło w Rzymie triumf? Jakim chwytem Jezus Chrystus obalił cały panteon mocarnych bogów rzymskich, a także wszystkie konkurencyjne nowe bóstwa?

Incitatuistycznej tolerancji dla zła, czyli wszechprzyzwalaniu, towarzyszyła bezsilność tych, którym marzyło się przeciwstawianie złu, a bezsilność rodzi bezradność, i wówczas zostaje tylko szukanie ratunku metafizycznego - u bogów. Michael Grant (autor monografii „**Gładiatorzy**”) stwierdził, powołując się na Freuda i Fromma: „*Bezradność jednostki doprowadziła do ogólnego załamania nerwowego. W Rzymie symptomy te zyskały wyrazistość, nabrały cech trwałości, stały się powszechne. Ludzie nie mieli silnego punktu oparcia, byli bezbronni, zagubieni. Ucieczka w religię była reakcją kompensacyjną...*”. Tak, w religię często ucieka się przed strachem i bólem. Pytanie tylko: w jaką religię? Świat pogański, świat rzymskiego Antyku, osiągnął bardzo dużo na wielu polach, od prawodawstwa i administrowania, do techniki i literatury, lecz podupadł nie wyłącznie wojskowo i obyczajowo - religijnie również. Bogów, jak wiemy, Rzymianie mieli bez liku, ale był to panteon bogów okrutnych, rozpustnych, mściwych - złych. Ten panteon kompromitowało na domiar deifikowanie (zaliczanie w poczet bogów) takich sadystycznych tyranów jak choćby Karakalla. Rzymianie szukali więc ostoji u innych kultów - modne stały się religie Wschodu: perski bóg Mitra, egipska Izyda, itp. A jednak wszystkich starych i nowych bogów pokonał Bóg maleńkiej żydowskiej sekty z odległej prowincjonalnej Palestyny. Dlaczego właśnie On?

Brytyjski historyk, Hugh R. Trevor-Roper, twierdzi, że „*wśród tak dużej konkurencji nowych bóstw walczących ze sobą o utraconą duszę Cesarstwa - zwycięstwo Chrystusa nad rywalami nie było z góry przesądzone*”. Anglik się myli - było! W tym świecie krwawych bogów i deifikowanych zbrodniarzy, w świecie okrutnych igrzysk i zdeprawowanych ludzi, gdzie (jak pisał Werner Raith, autor „**Porzuconego Imperium**”) „*każdy walczył przeciwko każdemu, a choć istniało prawo, brakowało sprawiedliwości*” - zjawił się nagle Bóg głoszący powszechną równość i miłosierdzie. Widocznie cierpiący i wymęczeni ludzie tęsknili do takiej doktryny, jeśli owa nauka znalazła tak podatny grunt, że najdziksze masowe represje nie zahamowały burzliwego liczbowego wzrostu chrześcijan.

Ale rzecz charakterystyczna: chrześcijaństwo, triumfujące mimo masowego rzucania chrześcijan lwom, zrazu opanowało tylko stolicę, miasto Rzym (najpierw plebs marzący o równości, potem wyższe sfery). Wieś przyjmowała je niechętnie, i długo jeszcze wyznawała wielobóstwo, bo - jak już wzmiankowałem - na wsi nie widywano okropieństw metropolitalnego Rzymu, tam panował spokój,

nie trzeba było tęsknić gorączkowo do miłości i sprawiedliwości, wystarczali dawni bogowie. Lecz stolica była głową Imperium, toteż cesarzom, nie mogącym, mimo kilku wieków represji, złamać chrześcijaństwa, a widzącym, że ono wciąż przybiera na sile - nie pozostawało nic innego jak przechwycić tę siłę i uczynić z niej religię państwową. W roku 313 Konstantyn Wielki zalegalizował chrześcijaństwo, a w 380 Teodozjusz Wielki uczynił chrześcijaństwo religią państwową Imperium.

Tu możemy wrócić do pytania: czy chrześcijaństwo było jedną z przyczyn upadku imperialnej Romy? Teza, że było, pojawia się w XVIII wieku, jako przypuszczenie, u Monteskiusza; rozwinię ją Wolter, zaś naukowo uzasadni Gibbon. Znaczna część dzisiejszych historyków kwestionuje taką sugestię (exemplum Francuz Marcel Simon, autor „**Cywilizacji wczesnego chrześcijaństwa**”). Podkreślają oni, że chrześcijanie nie atakowali państwowości Rzymu, gdyż sam Chrystus i apostołowie nie robili tego („- *Oddaj co cesarskie cesarzowi*” mówi Syn Boży, a w pismach św. Pawła znajduje się sporo nawoływań do respektowania władzy świeckiej, i to każdej - nie wolno jej zwalczać).

Paradoksem jest fakt, że chrześcijaństwo dopiero wówczas stało się czynnikiem mocno osłabiającym Imperium, gdy zostało religią państwową i główną siłą strukturalną Cesarstwa. Nie dlatego, że mianowało grzechem ciężkim zabójstwo, wzbraniając wiernym przelewania krwi jakichkolwiek bliźnich (również wrogów), co mogło osłabiać ducha legionów (Kościół dość szybko się wycofał z traktowania serio takich obostrzeń). Przyczyny były inne, dwie. Raz, że Kościół stał się siłą dominującą - garnęły się ku niemu najwartościowsze jednostki, co osłabiało siłę świeckich (również wojskowych) struktur (sam Simon musiał to przyznać: „*Ludzie najbystrzejsi i najbardziej twórczy, którzy dawniej zostaliby wodzami, szefami prowincji albo doradcami cesarza - teraz pracowali nie dla państwa, lecz dla Kościoła. Wystąpiło zachwianie równowagi na niekorzyść państwa*”). I dwa, że bardzo szybko po zwycięstwie chrześcijan eksplodowały wewnątrz Kościoła dzikie spory doktrynalne. Rozpoczęły się między chrześcijanami takie walki, iż historyk grecki, Ammianus Marcellinus, pisał wówczas (koniec wieku IV) przerażony: „*Nawet krwiożercze bestie nie są wzajem dla siebie równie straszne co większość chrześcijan*”. Te walki musiały osłabiać Imperium.

#### 4. **Krach ekonomiczny**

Już w pierwszej połowie XX stulecia historycy wskazywali krach gospodarki Rzymu jako istotną przyczynę upadku Cesarstwa - ale dopiero w drugiej połowie przyczyna ta wyszła na plan pierwszy. Trudno się dziwić. Kiedy światem wstrząsają wielkie kryzysy ekonomiczne (jak naftowy lat 70-ych), i gdy fatalnie funkcjonująca gospodarka rozkłada potęgę ZSRS - jest rzeczą naturalną, że w diagnozowaniu politycznego upadku mocarstwa priorytet zostaje przyznany ekonomii.

Pierwsze sygnały zbliżającego się załamania ekonomicznego Imperium dał III wiek. I załamanie przyszło. Miało różne oblicza:

◆ Gdy skończyła się era ekspansji (wszystko już zostało zdobyte, więc zniknęły aneksje) - urwał się regularny napływ łupów i tanich niewolników do ciężkich prac. Gospodarka rzymska zadrżała jak pod wpływem trzęsienia ziemi. Rzym musiał się teraz utrzymywać sam, i coraz częściej trapiły go

kłopoty ekonomiczne.

◆ W państwie tak bardzo zurbanizowanym (ponad tysiąc miast) - prowadzona przez całe wieki rabunkowa gospodarka rolna i leśna musiała wreszcie wyjść bokiem mocarstwu. Spowodowała spustoszenie ekologiczne. Znaczną część żywności trzeba było importować z odległych regionów.

◆ Te odległe regiony to były dwa „*spichlerze Imperium*”: Dolina Nilu i Północna Afryka (dzisiejsze Tunezja i Algieria). Kiedy opanowali ją Wandalowie - przywóz żywności stamtąd ustał. Półwysep Apeniński musiał się w końcu żywić samodzielnie. Wszelako (co jest typowe dla rozwiniętych cywilizacji) - ludność wiejska, wołać lżejsze życie miejskie, parła do miast, zaś wyludnianie się wsi skutkowało zmniejszaniem rolniczych areałów.

◆ Sytuację pogarszała depopulacja (zmniejszanie się liczby ludności) wskutek niżu demograficznego (drugi charakterystyczny rys rozwiniętych cywilizacji), oraz wskutek kolejnych epidemicznych plag nękających ludność.

◆ Naturalnym biegiem rzeczy towarzyszyła temu rosnąca inflacja, a gdy dla ratunku zbytnio zwiększono podaż pieniędzy (coraz nikczemniejszych - już nie srebrnych, lecz miedzianych) - tzw. inflacja galopująca.

W sumarycznym efekcie - jak zakonkludował Werner Raith - „*nastąpiła katastrofa gospodarcza niebywałych rozmiarów*”.

## 5. *Ekspansja barbarzyńców*

Tak osłabione duchowo i materialnie Imperium stało się w V wieku nieomal bezbronnym łupem barbarzyńców. Ściślej mówiąc: Imperium Zachodu, gdyż były już wtedy (od końca wieku IV) dwa Cesarstwa - Wschodnie (Bizancjum) i Zachodnie. Właśnie o Cesarstwie Zachodnim myślał francuski historyk, Fran@cois Fontaine, pisząc: „*Cesarstwo Rzymskie, po osłabieniu od wewnątrz, w końcu zginęło dzięki raptownemu pęknięciu wszystkich barier obronnych - moralnych, prawnych, kulturowych, instytucjonalnych i gospodarczych. Było to coś na kształt politycznego AIDS*”.

Barbarzyńcy wymierzili dumnej Romie definitywny cios. W V wieku kilkakrotnie łupili stolicę Cesarstwa (skutkiem czego - z ponad miliona mieszkańców miasta Rzym przetrwało ledwie czternaście tysięcy!). Któreś zdobycie „*matki miast*” musiało być ostatnim, a potem rozwiął się - jak pył antycznych ruin - ślad państwa cesarów mienionego „*całym światem*”, i zapadła długa europejska noc\* [\* - Analizujący sam tylko próg tego medievalnego mroku polski historyk, C. S. Bartnik („*Nadzieje upadającego Rzymu*”, 1982), pisze o „*grozie czasu*” i wymienia: „*upadek miast*”, „*nieustanne walki między dygnitarzami regionalnymi, różnego rodzaju uzurpatorami, itp.*”, „*rozprzężenie administracji*”, „*chaos, strach, niepewność jutra i zniechęcenie wobec wszelkich wyższych idei*”, „*masowe ucieczki do mnisznych wspólnot*”, „*front walki między chrześcijaństwem a pogaństwem*”, etc, etc, puentując: „*Życie ówczesnych Rzymian stawało się niepewne, ciężkie, beznadziejne i przeważnie krótkie*”].]

W oblężonej po raz ostatni stolicy Cesarstwa byli jeszcze ludzie karmiący się nadzieją, iż gdzieś

między rozległymi rubieżami Europy przetrwała niewielka choćby enklawa z resztką blasku Imperium, jeden zbawienny azyl, który jakimś cudem kataklizmowi się oparł lub został szczęśliwie ominięty przez trąbę powietrzną dziejów, jedna wyspa „*Pax Romana*”, której nie zalały fale barbarzyńców - mikroskopijna reduta rajy wszędzie indziej już utraconego. I że chcąc się wybawić - trzeba tam dotrzeć. Tak powstał mit „*ostatniego legionu*”. Szeptano, iż legion ten trwa wśród masywów górskich Hiszpanii, ale mówiono również, że ukrył się na pustkowiach Dacji, bądź Bitynii, bądź blisko brzegów północnego morza. Nikt nie wiedział gdzie. Próbowano go znaleźć kilka grup ludzi, którzy wymknęli się z miasta sekretnymi lukami w pierścieniu oblężenia lub przebili ów pierścień siłą. Członek jednej z nich (wówczas młody skryba, a później benedyktyński mnich, brat Sabinus) zostawił u schyłku żywota (VI wiek) diariusz opisujący tę drogę do mitycznego Edenu, mającego być ostatnim bastionem Cesarstwa, klasyczną utopią szczęśliwości na bezkresnym morzu Europy barbarzyńskiej.

Legenda o „*ostatnim legionie*” i o śmiałkach szukających tej enklawy żyła bardzo długo. Jeszcze w XII wieku trubadurzy układali pieśni na ten temat, a wędrowni komedianci grali pantomimy wskrzeszające mit „*ostatniego legionu*” dla gawiedzi głodnej cudowności i bajek grzejących zmarznięte serca.

# I.

Żył sobie kiedyś człowiek, który...

Oto pierwsze słowa pierwszego zdania, urwanego już przy piątym wyrazie, bo moje gęsie pióro zamarło w powietrzu, kiedym chciał dalej spisywać pamięć o najdroższym mi spośród ludzi. Czyż nie tak rozpoczynają się klechdy o bogach i o herosach należących do świata bóstw olimpijskich, tudzież o świętych z panteonu nowego Nieba, które wymiotło Niebiosą mianowane przez pogan greckich sferą olimpijską? Jemu wszakże nie dałoby się przypisać ni świętości chrześcijańskiej, ni boskości homeryckiej - nie pretendował do żadnego kręgu tych mocy spirytualnych tworzących przestrzeń nadludzką. Jakże więc mam teraz zakończyć frazę, którą rozpocząłem spisywać moją wędrówkę u jego boku? Żył niegdyś człowiek, który... Który co?... Głowa mi mówi, że nie był człowiekiem bezgrzesznym, gdy serce perswaduje, że był bliżej ideału aniżeli którykolwiek inny spośród ludzi, jakich dane mi było spotkać na mej drodze przez życie. Czy można być jeszcze bliżej niż on?

Ponieważ nigdy nie widziałem człowieka idealnego, człowieka bez skazy, bez zarzutu - skłonny jestem przypuszczać, iż takiego człowieka nie są zdolni stworzyć ani natura, ani bogowie, ani jeden jedyny Bóg zwany Wszehmocnym, gdyż owa wszechmoc doznaje uszczerbku na Ziemi, gdzie zbyt łatwo panoszy się diabeł. Kaznodzieje i filozofowie moralisci próbują lepić taki ideał z gliny swych pouczeń i zakazów, propagując skromność, stanowczość, cierpliwość, życzliwość, troskliwość, sprawiedliwość, uprzejmość, roztropność, prawdomówność, dobroczynność, wdzięczność, lojalność, wytrwałość, godność i prostotę życia, tudzież wstręt do lenistwa i do gadulstwa, do gnębienia i wyuzdania, do pochlebstw i błahostek, do gniewu i obmów, do pychy i obłudy, do brudnych myśli i mowy cuchnącej, do chytrłości i zawiści, do pazerności i mściwości - do grzechu wszelakiego. Nie rób rzeczy, za które później mogłoby cię karcić sumienie, a wcześniej policzki piętnowałyby rumieńcem wstydu. Gdyby większość ludzi posłuchała tych rad i przestróg, mając wystarczająco silną wolę, żeby niezłomnie krzewić Dobro - świat byłby zupełnie inny. Ale czyż wówczas przetrwałyby religie będące azyłem dla modlących się o wyrugowanie Zła, o uleczenie świata i o poprawę duszy ludzkiej nieśmiertelnej, bo nieśmiertelnie ułomnej, tej samej z pokolenia na pokolenie, odpornej wobec doskonałości, mimo tylu zabiegów i modłów?

Braciszek klasztorny, Atenajos - wielki figlarz i dziwak, którego spotkaliśmy wędrując ku północnym krańcom Imperium, i który przyłączył się do nas niczym bezdomny psiak szukający nowego gniazda, kiedy spalono jego monaster - miał własną receptę na ludzkie słabości, metodę prześmiewcy wykpiwającego wszystko tak lekko, jakby nie habit, lecz błazeński kubrak został mu przypisany kaprysem losu. Parsknął kiedyś do mnie (nie pomnę już dlaczego, jednak pytanie pamiętam, gdyż mocno utkwilo mi w mózgu):

- Czemu żaden moralista nie wpadł na to, by prawem zakazać cnoty?... Mnożyłoby się cnotliwych co niemiara, zwłaszcza kobiet, które szczególnie cenią zakazany owoc. Szlachetnych mężów też byś, Kaiusie, nie policzył...

Tak właśnie brzmiało moje imię, nim sam przywdziałem habit jako brat Sabinus. Zwałem się długo: Kaius Aelius Pollion. Nie musiałem przyjmować nowej wiary, gdyż urodziłem się pod



znakiem krzyża. Już mój pradziad był chrześcijaninem, w dobie wielobóstwa krwiożerczego, a rodzinna legenda opiewała jego męczeńską śmierć. Centurion, który przyniósł mu wyrok, chciał zwyczajem ludzi grzecznych zaczekać u drzwi domu, by się skazaniec zabił sam trucizną bądź przecięciem sobie żył w gorącej kąpieli, co jest śmiercią lekką niczym sen po wieczornej biesiadzie, a psyche ulatuje z ciała ku niebu bez gwałtu, elegijna i spokojna. Lecz przodek mój kazał wpuścić tego rycerskiego herolda i przyjął go wyciągnięty na fotelowym łożu, pijąc wino.

- Spełnijcie swój rozkaz - rzekł.

- Nie wolelibyście go uprzedzić, panie? - zapytał centurion. - Brak wam męstwa?

- Śmierć ponieść, znajdę. Ale wiara moja zakazuje mi odbierać sobie życie własnymi rękami.

Centurion dźgnął go mieczem, dziurawiąc pierś, i rozlewając krew z serca, a z kielicha wino.

Zostałem osierocony wskutek trzęsienia ziemi, kiedy miałem niespełna piętnaście lat. Pod gruzami zginęli moi rodzice i moje rodzeństwo. Przeżyłem, bo nie było mnie w domu - hasałem wśród zagajników, próbując ustrzelić z łuku dzikiego królika albo wiewiórkę. Później czułem się jak raniony zwierzak, którego łowiec trafił mało skutecznie, zadając tylko okrutny ból. Miesiącami gorączkowałem nim przytomność mi wróciła. Duszę leczyłem półtora roku. Musiałem uporządkować myśli tłukące się pod czaszką, gdyż wpadł tam ptak drapieżny i wymiółł je z matecznika, gdzie niczym syte wróble uwiły sobie wcześniej ciepłe gniazdo. I kiedy młodość - lekarz wszechmocny - wygłuszyła wreszcie mój ból, żyłem chwilą i słońcem, sycąc się zdrowiem jak każdy szczeniak. Mimo przeżytej tragedii, widziałem wówczas świat mniej czarno niż dzisiaj, a jeżeli widziałem coś mrocznie - to źrenicami mojego mentora, nie swoimi. Trzeba lat, żeby trwale zgorzkniał człowiekowi umysł i spęzło bielmo ze wzroku.

Dorastałem jako skryba ślepnącego filozofa, Philomususa z Madaury, bez zbytku nijakiego i bez obzarstwa. Często owocami zerwanymi pokątnie zaspokajaliśmy głód, a pragnienie metodą Diogenesa - u studni przydrożnej. Philomususowi obojętne to było, lecz mojemu młodemu ciału wielce ciążył niedostatek i burczenie brzucha, tudzież konieczność samodzielnego prania wystrzępionej odzieży. Philomusus uczył mnie, by stoicyzmem gasić i tę gorycz, i pokusę każdą. „Łatwo tak gadać piernikowi!” - myślałem wówczas. Dzisiaj, gdy to wspominam - ów czas młodzięcych chłódów i głodów widzę jako piękne dni życia mojego (jeszcze piękniejsze biegły trochę później, kiedy wędrowałem u boku króla rycerzy). Pamięć podniebienia jest tu kluczowa. Przywodzi lata, gdyśmy na rogu ulicy kupowali nędzarskie salgamy, za delicje ich smak mając, choć popijane wodą jeno były i przegryzane plackiem obsypanym czernią piecowego popiołu. Jakże chciwie się to spożywało młodymi zębami! Starym bogaczom smażone wymiona macior, subtelnym sosem liguryjskim oblane, falernem przednim opite, idą mniej szparko do ust. Nigdy nie zyskałem bogactwa, ale rozumiem już ludzi majątnych, których gnębi nostalgia za dawno postradany ubóstwem, w nim bowiem było pragnienie wszystkiego, ergo: cudowne królestwo marzeń, gdy tymczasem posiadanie wszystkiego przynosi tylko smutną prawdę o znikomości rzeczy i nicości spełnienia, które - wbrew logice głupców - nikogo wrażliwego nie umie nasycić.

Philomusus - Grek, którego huragany fatum pchnęły do Rzymu - sycił się głównie stoicką mądrością, popijając sarkazmem rozcieńczanym w zgorzkniałości. Niegdyś wiodło mu się dobrze i miał piękną bibliotekę ze wszystkim co myśl ludzka wydała na przestrzeni wieków sensownego, dowcipnego i przewrotnego, ale kiedy zbiedniał - musiał wyprzedać te swoje skarby, a ich treść zachował jedynie pod łysą czaszką. Konkurenci mawiali o nim ze złośliwością haftującą gorycz zazdrosnego gniewu: „- *Tyle wiedzy zebrał w swej pomarszczonej wazie między uszami, że mu lysina promienieje niczym latarnia morska!*”. Gardził Rzymem (twierdząc, iż Rzym niczego prócz szermierki tudzież okrucieństwa nie wymyślił) i Epikurem, czyli żądzami i uciechami, vulgo: ciałem dominującym ducha. Hordy modnych epikurejczyków miał za pseudofilozofów, którym wykwinna mądrość daje rozeznawać po smaku ptasiego mięsa czy spożywają samca, czy samiczkę, a także dyskutować finezyjnie o niuansach sosów, w których barweny kucharz winien przyprawiać do wczesnego bądź wieczornego posiłku, co dla ludzi kulturalnych stanowi zasadniczą różnicę. Wyznawał opinię Heraklita, że wszystko jest głupstwem i nicością. Złoto cenił wysoko, mniej więcę tak, jak żwir, którym się wysypuje alejki spacerowe ogrodów, dzięki czemu sandały i stopy zostają czystsze aniżeli po wędrówce ziemną ścieżką, bo nie wzniecają pyłu. Pluł na tych, co umieją mówić, a nie umieją myśleć, i dla których filozofia stała się logomachią - siewców pustych słów zamiast mądrości. Nauczył mnie cenić nie dźwięki wychodzące z ludzkich warg, lecz płynącą stamtąd treść, radząc:

- Nie przyklaskuj wymowie, lecz znaczeniu słów!

O retorach powiadał, że to „*przekupnie wyrazów i strof*”, a piętnując buńczucznych mędrków, cytował tę maksymę: „*Morosophi moriones pessimi*” \* [\* - Uczeni głupcy są najgorsi (łac).]. Szczególną zagadką, nad którą łamał sobie głowę, była dziwaczna dwoistość natury ludzkiej, warunkowana liczbą uczestników. „- *Jednostki opiekują się kalekami, masy produkują kalectwo*” - konkludował. Zdumiewało go, iż człowiek jako jedyne ze zwierząt praktykuje czynienie dobra osobnikom spoza własnej rodziny lub własnego klanu, gotów jest poświęcać się dla obcych, dawać im wsparcie, współczuć, tulić, leczyć, et cetera, wszakże tylko jako solista lub gdy działa w niezbyt dużej grupie figur. Równocześnie ten sam człowiek, występując w masie, prowadzi, jako jedyne ze zwierząt (prócz mrówek), nieustanne wojny przeciwko innym plemionom, dokonując straszliwych rzezi dla rozmaitych, mniej lub bardziej bezsensownych celów, które zwie korzyścią lub wyższą koniecznością. To się zupełnie nie trzymało kupy - liczba determinująca u tego samego gatunku żyjątek instynkt dobra lub zła, troskliwość lub okrucieństwo, wrażliwość lub drapieżność, mleko lub krew!

Szczerze mówiąc - niewiele mnie to wtedy obchodziło. Im bardziej doroślałem, tym uciążliwszym ciężarem był mi Philomusus, starał się bowiem grać rolę strażnika. Strażnika tych wszystkich surowych cnót, które zaszczepiał we mnie od początku. Mnie natomiast coraz bardziej nęciły skrywane pod sukniem fragmenty ciał młodych dziewcząt, tudzież wino, które płynęło wewnątrz rzymskich zajazdów i tawern. Na wino nie było mnie stać, lecz umiałem wyszukiwać wesołe kompanie pijące po gospodach i wkręcać się w półprzytomne grono, gdzie wino lało się strumieniami. Któregoś razu, dzięki takiemu towarzystwu, utraciłem cnotliwość, bez inicjatywy własnej, pijany nie gorzej niżli dziewczka, która mnie zwabiła na zaplecze szynku, aby dać ujście swym cielesnym chuciom.

Dosyć długo byłem wobec kobiet i dziewcząt bardziej nieśmiały aniżeli wobec innych ludzi. Zaspiając marzyłem nie o rozbieraniu żywych dziewcząt, tylko o kamiennych posągach młodych bogiń, które zstępują z postumentów i przytulają się do mnie milcząco, patrząc ślepych oczami w przestrzeń pełną głębokiej ciszy. To się zmieniło radykalnie, odkąd utraciłem niewinność. Płatne dziewczki, nawet taniego sortu, były zbyt drogie dla skryby, który nigdy nie śmierdział monetą, lecz dziewczęta luźnych obyczajów (córci rzemieślników i wozaków, knajpiane posługaczki, tancerki, przekupki, et cetera) same mnie kusiły - widać się im podobałem z figury i z twarzy, tudzież z grzecznego języka. Coraz częściej wracałem do domu późno, gniewając tym Philomususa, którego kazania puszczałem mimo uszu, choć dzisiaj muszę przyznać, że rozumnie prawil:

- Kaiusie, kobiety są jak pieniądze - nielicznych napełniają szczęściem, wielu opróżniają z rozumu.

- Mnie, mistrzu, napełniają szczęściem - odburkiwałem pijany.

- Zdaje mi się, że nie masz racji, chłopcze, bo widzę, iż kradną ci tę resztkę rozumu, której nie wypłukało jeszcze wino. Zważ, że od dawna wiadomym jest, iż w powszechnym zepsuciu kobiety nigdy nie dają się wyprzedzić, zawsze najszybciej idą. Żyją rozpustnie, nie zadając sobie nawet trudu, aby się z tego powodu rumienić.

- Sam to wypatrzyłeś u nich, mistrzu?...

- Nie drwij głupio, Kaiusie, abys głupio nie przefrymarczył swego życia. Skłoń się ku czemuś innemu.

- Pozwól, że zgadnę, mistrzu. Ku filozofii?

- Zgadłeś, choć nędzna złośliwość kieruje twoją mową. Życie to nie zabawa.

- A brak zabawy to nie życie, mistrzu. Czym jest żywot bez zabawy, co? Czym jest dusza bez wesołości? Czym jest zupa bez soli, mistrzu?

- Widzę, żeś hodował retora i epikurejczyka, wbrew woli własnej! Wyszczekanyś aż dziw, tawerny tak szkolą?... Kiedyś zrozumiesz, Kaiusie, byle nie za późno, że mądrze uczy Marek Aureliusz, który w „**Rozmyślaniach**” swoich klaruje o życiu i o duszy parę razy, zaś o filozofii nieustannie. Mówi tam: *„Życie to i wojna, i wędrówka, a dusza to sen i mara - piewsze jest rwącą rzeką, drugie zagadkowym wirem. Tedy jedyną trwałą ostoją może być filozofia, która kielzna demona ludzkiego, dając mu rozwagę, chroniąc przed pokusami przyjemnostek, wyzbywając obłudy i fałszu, wynosząc ponad cierpienia i pragnienia”*.

Miał słusność. Nie wobec filozofii mędrkującej, filozofii Arystotelesów czy Platonów, która nigdy nie o władnęła mną jak kochanka, lecz kiedy cytował, iż *„życie jest wojną i wędrówką”*. Dzisiaj wiem, że Marek Aureliusz czerpał między innymi z filozofa greckiego, Heraklita (*„Wojna jest matką i królową wszechrzeczy”*), ale wtedy znałem tylko ów cytat o życiu będącym wojną i wędrówką. Że to prawda - zrozumiałem wkrótce, gdy wyruszył u boku wojownika, którego

pokochołem, i gdy się zadurzył w kobiecie miłością bolesną oraz słodką niczym rany, które robi Kupidynowy łuk. Teraz mocniej trafia do mnie inny cytat z Marka Aureliusza, o azylu wewnętrznym jako balsamie dającym ukojenie człowiekowi siwiejącemu: „*Przed zgiełkiem codziennym i przed krzątaniną wielkomięską, także przed brutalnym trudem współżycia i współzawodnictwa, ci, którzy mogą, szukają chwilowych ustroni dla wypoczynku. A to na wsi, a to nad morzem, a to w górach. Tymczasem każdy, i każdą porą, roztropniej może to uczynić chowając się w głębi siebie samego. Nigdzie bowiem człowiek nie znajdzie bezpieczniejszego schronienia niżli w konnacie swej duszy, w owym ustroniu wewnętrznym napotykając królewski spokój. Kiedy tylko zechcesz, możesz się tak właśnie odświeżyć, smakując uroki ładu duchowego*”. Rozumiem to dobrze dziś, gdy stary i przykryty siwizną. Serce pono nie siwieje nigdy, ale mi na stare już bardzo lata nie trzeba kobiet ni przyjaciół, tylko ciszy i spokoju, bym mógł zapisać historię trybuna Fulwiusza, zwanego przez legionistów: „*Soter*” [\* - Wybawca (łac).].

Poznaliśmy go obaj, ja i Philomusus, gdyśmy wędrowali późną jesienią z prowincji neapolitańskiej do stolicy Imperium. Blisko metropolii, trzy lub cztery mile od miasta, zaskoczył nas zmrok raptowny, niczym wściekły deszcz z nieba chwilę wcześniej błękitnego. Zbyt zimnawo było, ażeby się w krzakach kłaść dla spoczynku, szukaliśmy tedy jakiejś szopy lub gościnnego domostwa. Księżyc nie świecił, stąpaliśmy prawie po omacku. Szczekanie psa przywiodło nas pod wrota w wysokim ogrodzeniu, nad którym błyszczał się duży olejny lampion z rodzaju tych, co nad zajazdami wszędzie wiszą. Brama była rozwarta, a między jej skrzydłami kilku podpitych elegantów czekało aż słudzy przywiodą im wierzchowce lub lektyki. Zabawiali się rozmową o kobietach:

- Ta twoja nowa miłośnica, Licyniuszu, jak jej tam?...

- Racilla, a bo co?

- Jest niby zwodzony most, ściele się przed każdym!

Kompani wybuchnęli śmiechem, zaś obrażony ryknął:

- Lecz przynajmniej jest ładna, nie jak ta twoja Marcja, Delmatiusie!

- Marcja to żona...

- Tym gorzej! Wybierałeś sobie żonę po ciemku?

- Twoja małżonka, Licyniuszu, też nie zdobyłaby jabłka przed sądem Parysa! - wtrącił się trzeci, wywołując kolejną chóralną wesołość.

- Ale kupiłaby je od Parysa za drobną tylko część swego posagu, głupcy! - odparował ów Licyniusz. - Wiedziałem co robię kładąc się do łożnicy z worem denarów, kiedy inni każdego wieczoru szukają paru asów na łyk cienkiego wina! Kupię jej młodego niewolnika, to przestanie mnie ciągać za priapowy korzeń i złorzeczyć, że unikam jej wdzięków...

W tym momencie dojrzał nas, bo weszliśmy pod lampion. Zbliżył się krokiem trochę chwiejnym i

wskazując mnie dłonią krzyknął:

- Taki by się jej nadał, jak myślicie?... Gładki ma pysk, bary szerokie, nogi zgrabne...

- Sprawdź jeszcze co ma długie, a co krótkie, Licyniuszu! - poradził któryś z czeredy, rozbawiając towarzystwo.

Tamten zaś spytał Philomususa wspartego na moim ramieniu:

- To twój syn, wnuk lub krewny, dziadygo?

- Mój skryba - odparł Grek.

- A więc twój niewolnik!

- Jestem filozofem, panie.

- Nie pytam kim jesteś, tylko czy ten młodzik to twoja własność!

- Odpowiedziałem ci. Prawdziwy filozof nie posiada niewolników, gdyż brzydzi się niewoleniem człowieka.

- A czy brzydzi się także złotem? Ile chcesz za niego?

- Zostaw nas, panie, nie szukamy zwady ni kłopotów.

- A ja szukam sługi dla mojej połowicy. Będzie mu dobrze, gdy i jej będzie dobrze, nie musisz się troskać. Tedy ile chcesz za niego?

- To człowiek wolny.

- Już nie!... - rzekł awanturnik, chwytając moje włosy jak chwyta się grzbiet susła, by go podnieść. - Mów ile chcesz, albo biorę darmo, dziadku!

Wtedy usłyszałem za plecami niski, spokojny głos:

- A ile chcesz dać?

Z ciemności wynurzył się rosły mężczyzna, szczelnie owinięty długim płaszczem. Stał przy nas i powtórzył w twarz człowiekowi trzymającemu moją głowę niczym dynię:

- Ile mi dasz?

- Tobie?! - zdziwił się Licyniusz. - Za co?

- Za to, że nie utnę ci ręki, którą tarmosisz kudły tego chłopca.

Cisza, jaka ogarnęła wówczas półmrok, miała siłę uderzonego dzwonu. Trwała mgnienie powieki - przerwał ją czyjś zgrzyt zębów. Tamci ruszyli ku nam, a ręka trzymająca moje włosy opadła, chwytając sztylet... I zaraz świst powietrza ciętego klingą miecza, który rąbnął płazem, łamiąc tę rękę niczym zeschniętą gałąź. To wstrzymało wojowniczość opojów; stanęli dysząc, lecz bojąc się przybliżyć. Któryś warknął:

- Trafisz w pęta nim minie noc! Wiesz li, łotrze, kogoś okaleczył?

- Zali ty wiesz kto kaleczył? - spytał nieznajomy, uchylając płaszcz.

Na piersi miał złoty łańcuch trybuna legionów, albo legata armijnego; szczegóły godła trudno było rozpoznać w ciemności. Ten, który straszył oficera, spróbował raz jeszcze:

- Twój stopień wojskowy nie upoważnia do kaleczenia ludzi stanu cywilnego, a już patrycjuszy zwłaszcza!

- Powtórzysz to moim setnikom, gdy będą cię brać jako zbójcę, który niewoli nocą ludzi wolnego stanu?

- Powtórzmy wyżej! Licyniusz jest siostrzeńcem konsula Valerianusa Maxima, pójdzie ze skargą!

- Konsul się rozplacze, to człowiek wrażliwy... - zakpił ów legat bądź trybun.

- Znasz konsula?

- Od dawna, od bardzo dawna. Wspaniały gość! Kiedyś albo filozofowie, albo dziejopisowie wyjaśnią dlaczego nikt go nie lubił... Precz!

Unieśli jęczącego towarzysza i wraz ze służbą niosącą pochodnie zniknęli w mroku niby złe duchy przepłoszone zaklęciem maga czy kropidłem kapłana. Stałem jak oniemiały, gapiąc się na twarz mego wybawiciela, a ten uśmiechnął się i rzekł:

- Pójdźmy, trzeba się rozgrzać, gdy taki ziąb.

Przez podwórzec wkroczyliśmy do westybulu, za którym była kotara, a dalej obszerna, pusta, mozaikowo sklepiąta izba z kilkoma stołami i z szeregiem ław tudzież foteli, zbyt kunsztownych (co można było rzec i o bogatym zdobieniu ścian) jak na karczmę. Otyły gospodarz, którego broda sięgała brzucha, chociaż Żydem nie był, skłonił się nisko przed naszym opiekunem, a zezami pełnymi zdumienia lustrował dziury naszych łachmanów. Usłyszał:

- Daj tym ludziom gorącej strawy i wina, Atticusie, zaczekają tu na mnie z dzieckiem.

- Uczynię jak każesz, szlachetny Fulwiuszu. Kobiety też im dać?

- A dajesz kobiety gratis?

- Skąd! Ty musiałbyś je zafundować, panie.

- Tak szczodry nie będę, krwiopijco.

- Jeśli to nie są twoi słudzy, tylko włóczędzy, jak mniemam, to bywasz najbardziej szczodrym ze wszystkich dobroczyńców, których znałem, panie! - zapiszczał przymilnym głosem tłuszcioch. - Tylko że...

- Co?

- Nic wielkiego... ale strój twoich podopiecznych, panie...

Oficer zwrócił się do nas, mówiąc:

- Siadźcie tam, z tyłu pieca, przy ogniu, nie będziecie razić wzroku bogaczy, którzy tu wpadają. Wróć za klepsydrę lub dwie.

- Kim jesteś, panie? - odważył się spytać Philomusus.

- Jestem mędrcom, który właśnie ci dowiódł, że potęga filozofii penetrującej wszystkie tajniki bytu nie równa się sile miecza gruchoczącej kości, kiedy waży się ludzki los. Los człowieka wolnego, przyjacielu. Gdybym miał trochę więcej czasu niż miewam, napisałbym uczoną rozprawę o tej przewadze materii.

- Ensis et stilus\* [\* - Miecz i pióro (łac).]... - mruknął Grek. - To nigdy nie jest para małżeńska.

- Znowu się mylisz, mózgowcu. Czyż boski Juliusz Cezar nie kreślił swojej wielkości równie dobrze rylcem jak i mieczem?

- Kim jesteś, panie? - spytał po raz drugi Philomusus.

- Też Juliuszem, dano mi to imię za tamtym. Nazywam się Juliusz Fulwiusz Corvinus. Tak, ten, o którym słyszałeś.

„Chryste!...” - westchnąłem w duchu. Słyszał o tym człowieku nie tylko każdy obywatel i każdy niewolnik Cesarstwa, lecz również każdy barbarzyńca czy Pers. Słyszał o nim cały świat, gdyż w całym naszym świecie nie było lepszego żołnierza. Teraz zostawił nas i ruszył schodami na piętro, skąd dobiegał figlarny szczebiot dwóch kobiet. Później jakaś niewiasta zeszła i zniknęła za kurtyną dzielącą izbę biesiadną od westybulu, a dwie inne zjawily się niczym widma i szybko wbiegły na górę. Trudno byłoby określić ich wiek, gdyż każda miała ciemną woalkę kryjącą twarz niby maska, lecz sądząc po żwawości ruchów, nie były staruszkami.

- To... to lupanar! - wymamrotał Philomusus, czyszcząc z ości pieczoną rybę. - Sekretny lupanar!

Ale to nie był lupanar. Już za rządów Marka Aureliusza poczęto tępić jawną niemoralność, jednak dopiero kiedy zwyciężyła wiara Chrystusowa, rygory stały się bardzo twarde. Pół wieku przed moim



narodzeniem chrześcijański cesarz kazał wyłapać w rzymskich lupanarach wszystkie męskie prostytutki, i publicznie tych nieszczęśników spalono. Teraz zaś nawet żeńskie przybytki rozpusty zostały objęte anatema Kościoła i funkcjonowały już tylko tajne, dzięki wszechpotężnej magii łapówek trafiających do kies pretorów i konsulów. Ale ten tutaj to nie był lupanar, lecz ekskluzywny dom schadzek dla „*kobiet przyzwoitych*” (żon, sióstr bądź córek bogatych patrycjuszy, senatorów, wielkich kupców i tym podobnych prymusów wyższych warstw) tudzież dla kochanków owych miłośniczek cudzołóstwa, które potrzebowały pełnej dyskrecji, vulgo: zamiejskiej jaskini, gdzie wścibstwo sąsiadów i gapienie się przechodniów nie szarpie nerwów, i gdzie kaptur, woalka lub maseczka gwarantują anonimowość. Mówiła mi o podobnych azylach młodziutka Neapolitanka, pasierbica golibrody, która uprawiała doraźny nierząd z elitą jego klientów, grając w tak fenomenalny sposób dziewicę (zatykała sobie wylot pochwy wątróbką kurczęcia), że nabierała każdego (prócz mnie, bo mnie pieściła darmo, dla własnych orgazmów). Stąd zgadłem gdzie jesteśmy; domyśliłem się, widząc woalki niewiast.

Tam, przy piecu, pamięć nie umiała mi podsunąć kiedy mój żołądek zaznał jadła równie smacznego. Ogarnął mnie błogostan. Spoza schodów dochodziły łagodne dźwięki fletu grającego pieśń eolską. Wtórowały mu drżąco cytry. Czasami piszczałka syknęła niby podrażniony gad, lub harfa załkała rozkosznie. Czuję się senny, lecz gdy zszedł Fulwiusz, senność umknęła bez śladu. Dosiadł się do nas z kubkiem wina i chwilę przyglądał Philomususowi, jakby zobaczył go po raz pierwszy. Wreszcie spytał:

- Ktoś jest, prócz tego, że się filozofem mienisz?

- Jestem myślicielem z Madaury, panie, zwą mnie Philomusus - odparł Grek.

- I którą muzę najbardziej kochasz? Pewnie kamenę mądrości, boginię filozofów.

- Nie ma takiej kameny, panie.

- Właśnie o to mi idzie. Nie ma również kameny głupców, chociaż ci mnożą się jak robactwo. Gdybym praktykował rzemiosło filozofów - uczyniłbym głupotę sferą moich roztrząsań. Zacząłbym od głupoty mężów, którzy wierzą, iż małżonki wracają do domu o późnej porze, bo brały udział w wieczornych modlitwach, w rekolekcjach lub w ceremoniach mszalnych. Nie sądzisz, Philomususie, że religijność jako woalka dla rozpusty podnieca te szacowne matrony niczym afrodyzjak? Nurtuje mnie taki oto problem filozoficzny, przyjacielu: czy te religijne kłamstewka, co wychodzą z ich ust, rajcują baby mocniej od soków, które wpadają im do ust z lędźwi amanta? Choć niewykluczone, że się mylę, bo może najsilniej cieszy te damy łatwowierność spowiedników i głupota małżonków. Co uważasz w tej kwestii, Philomususie?

- Uważam, panie, że głupota - dużo bardziej niż na robieniu głupstw - polega na ich nieudolnym tłumaczeniu lub maskowaniu. Lekarstwo bowiem często bywa gorsze niż choroba.

- Mówisz o matronach Rzymu?

- Mówię o tobie, panie.

- O mnie?! - zdumiał się Fulwiusz.

- Tak. Ty sztuką sprawności wojennej i kunsztem gładkoustego humoru maskujesz durność nieobyčajnego prowadzenia się, co mnie mierzi. I mierzi wielu, twoich familiantów gorszyło również. Nawet twój starszy brat, świętej pamięci abnegatus, żywy pomnik cnót wszelakich, którego samo spojrzenie zatruwało każdą biesiadę piętnowaniem sprośnych żartów, zmysłowych uciech i pijaństwa - miał cię za zupełnego łajdaka, wytykając ci rozpustę bezustanną. Wie o tym cały Rzym.

Fulwiusz zakrztusił się winem, i wycharczał:

- A słyszałeś, bym kiedykolwiek uczestniczył w orgii?!

- Całe twoje życie jest orgią, gdy choć cząstkę tego życia trawisz dla epikurejskiej lubieżności, Fulwiuszu.

Milczałem, chociaż przepęłniała mnie wściekłość i korciła chęć, by krzyknąć mistrzowi: „- Stul pysk! Czemu złościsz naszego dobroczyńcę?!”. Ten jednak nie zezłościł się widać zbytnio, bo tylko machnął ręką i prychnął bez gniewu:

- Starcze, gdy dojdę twego wieku, tych lat, kiedy kutas opada, a mózg się unosi, będę pewnie zrzędził tak samo.

Philomusus wzruszył ramieniem:

- To już cud, żeś dożył swoich lat, mimo tylu bitewnych wrogów, co mają setki ostrzy, i mimo tylu rogaczy, którzy kupują nocnych sztyletników. Mojego wieku nie dożyjesz.

Musiałyby żyć jeszcze trzy prawie dekady, aby dożyć lat Philomususa. Nie był już mężczyzną młodzieńczym, choć wciąż był młody - niespełna czterdziestolatek, w kwiecie wieku. Zrobił najszybszą wojskową karierę, jaką znało Cesarstwo - dzięki swej bystrości, zimnej krwi, odwadze i talentom strategicznym, mając dwadzieścia cztery lata został trybunem legionu *Adiutrix*, kilka lat później wodzem („*legatus legionis*”) korpusu złożonego z legionów *Victrix*, *Adiutrix* i *Macedonia*, do których, kiedy pobił Persów, przyłączono legiony *Germanica*, *Gemina* i *Fulminata*, a jego mianowano (przed trzydziestką!) wodzem naczelnym („*magister militum*”) całej armii rzymskiej. Kierując nią, poskromił wielki bunt północnych barbarzyńców (Markomanów i Kwadów) - był to już ostatni głośny triumf Imperium Zachodniego, i ostatni triumf bitewny Fulwiusza, bo zbytnio urósł i przestał być na dworze akceptowany; w zmienionym układzie politycznym (gdy wybrano nowego cesarza) kamaryla dworska odsunęła „*Sotera*” od głównodowodzenia wojskami Romy, zostawiając mu tylko niekompletny legion *Alaudae*. Gdyby jedynie pazury lwa wyrosły Fulwiuszowi pomiędzy rzemieni sandałów - może zachowałby stanowisko, ponieważ w całym Cesarstwie żaden hierarcha militarny nie mógł się z nim kunsztem wojennym równać. Lecz kiedy pomiędzy warg wyrosły mu kły szczerzone do hegemonów, nie szanujące ani korony cesarskiej, ani tiary papieskiej - trzeba mu je było spiłować.

Teraz zaś siedział przy naszym boku jak tuzinkowy oficer, traktując dwóch nowo poznanych

łachmaniarzy niczym kumpli, z którymi toczy się zwyczajową pogawędkę sącząc wino. Blaski olejnych kaganków kreśliły cienie wzdłuż jego twarzy, budzącej mój zachwyt od chwili pierwszego spojrzenia. Wbijałem się weń wzrokiem tak mocno, że winien był czuć swędzenie i drapać się wskutek tego dotyku moich źrenic, który głaskał mu skórę oblicza bez ustanku.

Wyglądał na człowieka znudzonego życiem, co nie mogło dziwić. Kilka już razy przegrał w kości majątek, obejmował setki niewiast, upijał się każdym winem Imperium, zdobywał poklask tłumów jako igrzyskowy woźnica rydwanu, wygrał tyle bitew, że te laury dałyby wieczną chwałę kilku wodzom, tysiąc razy obśmiał bogów, filozofów i ludzi, a nawet świat cały - świat był zbyt ciasny dla niego. Przeżył już wszystko, przetrawił i wydalil po stokroć - i nie widział żadnej atrakcji, która mogłaby krew jego rozgrzać.

Philomusus myślał chyba o tym samym, gdyż nagle wypłuł łuskę rybią i rzekł równie bezpośrednio jak już wcześniej zaczął Fulwiusza:

- Musisz być chyba bardzo samotny, żołnierzu...

- Czemu tak sądzisz, starcze?

- Bo zobaczyłem wielkiego wodza, który pragnie drobiny ciepła od przygodnych ludzi.

- Nie, ty nie dlatego tak sądzisz, spryciarzu. To byłoby zbyt proste u filozofa, gdyż nawet durnie wiedzą, że zdarza się konsulowi przytulić bezdomne szczenię, aby tym tanim gestem podbudować we własnym mniemaniu własne człowieczeństwo. Mówisz tak, bo twoja tabliczkowa i pergaminowa mądrość szepnęła ci, iż na samych szczytach panuje tylko samotność zdobywców. To również banał. A zresztą ja już ze szczytu zleciałem. Wtedy traci się ostatnich przyjaciół, nie wiesz o tym?

- Wiem, lecz traci się wtedy fałszywych druhów. Żeby wszelako utracić prawdziwych, trzeba ich przedtem mieć, a ty, panie, zawsze byłeś samotny.

- Skąd wiesz?

- Widzę to.

- Dziwaczny masz wzrok, wszystkowiedzu. Jadło chwytasz nieomal po omacku, znaczy ślepniesz, a wzorem wróżów i filozofów pragniesz, by wiercono, iż dostrzegasz każdy zakamarek wnętrza ludzkiego!

- Masz przyjaciół, Fulwiuszu, czy tylko zgrabnie unikasz odpowiedzi, by nie kłamać?

- Przyjaciół zyskuje się w młodym wieku. Kiedy wyrostkiem byłem, miałem jednego, ale choroba wzięła go do ziemi. Kiedym skończył dwadzieścia pięć lat - wiedziałem już, że zbyt późno o drugiego, i że już nikogo bratem serdecznym nie nazwę. Miewałem i miewam wierne sługi tudzież wiernych żołnierzy, ale nie przyjaciół.

Kończąc wyszczerzył uśmiechem zęby, piękne i groźne niczym zęby wilka. Usta kaleczyła mu rysa będąca blizną od cięcia nożem lub krańcem miecza, blizną niewielką i dawno zarosłą, ale lekko deformującą wargi, tak iż stale miały wyraz ciut drwiący gdy patrzyło się z prawej, a trochę pogardliwy gdy patrzyło się z lewej. Jeśli ktoś stał na wprost Fulwiusza - widział tylko fizys marmurowego posągu, którego kamienne usta kroili pęknięcie, dla głązów zwyczajne.

Mając profil drapieżnego ptaka - zdawał się wywodzić z rodu orłów. Jego ojciec był synem księcia któregoś spośród plemion barbarzyńskich dalekiej Północy, czy raczej bliskogermańskiego północnego Wschodu, gdzie wielu mężczyzn nosi długie białe włosy, choć stanowią szczerp wojowników, nie zaś świątobliwych eremitów. Wzięty w niewolę, później wyzwolony i wcielony do wojska - wzorem licznych jeńców germańskich uległ czarowi chwały i dyscyplinie legionów, tudzież całej świetności cywilizacyjnej Rzymu. Kiedy piętnaście lat odsłużył, dzielnie u wszelkich rubieży pacyfikując niesforność wrogów Cesarstwa - sam cesarz przyznał mu wyższe obywatelstwo i wręczył rycerski pierścień, a pewien senator, Corvinus Larcius, adoptował bohatera, gdyż takie ceremonialne adopcje były wtenczas modą. Chciano szczęściarza ożenić z córką szacownej (acz już zubożałej) rodziny, prawnuczką założycieli „*drewnianego Rzymu*”, lecz pojął wyzwolenicę, brankę ze szczepu nadbałtyckiego, więc synowie, których mu dała, byli również białowłosi. Pierwszy miał usposobienie świątobliwe, i dzięki swemu wujowi, Eulogusowi, został duchownym, lecz nim skończył trzydzieści pięć lat zabiła go febra. Drugi syn, Juliusz Fulwiusz, nie nadawał się na duchownego. Rodzic wychował go na Rzymianina-żołnierza, ale nie kazał mu zapominać o korzeniach rodu. O tym zresztą nie daliby Fulwiuszowi zapomnieć Rzymianie rdzenni, pochodzący z autochtonskich rodów, szczycący się krwią łacińską, dla których krew germańska lub sarmacka była i w piątym pokoleniu barbarzyńska. Gdy mu ją kiedyś wytknięto podczas rewii wojskowej przed cesarzem, rzucił w twarz dworskim dostojnikom:

- Sławicie swoich przodków, jakbyście tylko wy mieli przodków, a inni zrodzili się na drzewach niby żołędzie! U mego dziadka pasalibyście świnię lub kozy!

- U tego twojego dziadka, co mieszkał w szałasie z patyków? - zapytał pewien pretor.

- Nie w szałasie, tylko w książęcej siedzibie, i nie z patyków, lecz z dębowych bali. Mieszkała tam też, u jego boku, moja babcia, która tym się różniła od twojej, Calerusicie, że nie nadziewała się na każdy patyk sterczący między nogami co jurniejszych pretorian! - warknął „*Soter*” wyzywająco.

Ów dialog przez pół roku powtarzano ze śmiechem w całym Rzymie, zaś Calerus Flaminius zyskał wśród gawiedzi miejskiej przydomek: „*Patykopochodny*”. Lecz wśród dworskich faworytów mnożyli się wrogowie Fulwiusza. Nowemu imperatorowi podpadł, gdy mimo zaproszeń nie stawił się na huczne dworskie biesiady, a spytany czemu bawić się u cesarza nie chce, burknął, iż władcę tylko na monetach lubi oglądać. Wreszcie i dwór papieski zwrócił się przeciw niemu, bo zarządcę dóbr Fulwiusza, kociockiego Rufusa Regę, pomówiono o czarnoksięstwo i wielobóstwo, a kiedy chciano go przesłuchać, „*Soter*” nie zezwolił, i musiano ustąpić, by nie drażnić wojska, dla którego Fulwiusz był bogiem. Są tacy ludzie, co spośród żywych istot tolerują nad sobą tylko ptaki. Zapominają jednak, iż niżej kłębią się płazy i robactwo, których krecia robota rozmiękcza grunt pod stopami prawych mężów niczym krople wody cierpliwie drażące skałę. Koniec Fulwiusza wydawał

się tedy bliski, lecz ratowało go to, iż koniec Rzymu wydawał się nie mniej bliski. Stawało się już jasne prawie dla każdego, że pod ciosami barbarzyńców Imperium może lada dzień runąć niczym spróchniały pałac, i że tylko siła legionów odsuwa tę chwilę, zatem drażnienie wojska byłoby głupotą samobójczą. Gdy leje deszcz - papież oraz dziwka mokną w identyczny sposób. Nie czas więc wyświęcać ją jako wszetecznicę, kiedy jej baldachim może dać osłonę przed ulewą. Juliusz Fulwiusz Corvinus „*Soter*” był wciąż potrzebny Rzymowi.

Rozparł się między wyłogami fotela jak do długiego spoczynku po krótkim zmęczeniu na piętze, i mruknął:

- Słyszałem, Philomusie z Madaury, że pracujesz każdego dnia od bladego świtu, a słońce zachodzi ci o północy, jakbyś wcale snu nie potrzebował. Lecz teraz jesteś w drodze, a nie jesteś młody, więc czas ci chyba spocząć? Mają tu wygodne legowiska dla wędrowców.
- Dla wędrowców z pełną kiesą, panie. Przenocujemy w stajni, jeśli zezwolą nam.
- Przenocujecie na górze, ja to opłacę.
- Dzięki ci, wodzu.
- Co was pcha do stolicy?
- Praca, panie... W Neapolu porządkowałem i pielęgnowałem biblioteki dwóch patrycjuszów, a teraz najął mnie pewien senator, bym uczył jego syna.
- Który senator?
- Szlachetny Minucjusz Acilianus, panie.
- Znam go! Gdybym był imperatorem, kazałbym tego człowieka ukrzyżować.
- Ja również - zgodził się Philomusus.
- Tymczasem nie mogę go nawet wychłostać...
- A ja muszę służyć u niego, ale wolę taki zarobek, niż umrzeć z głodu. Nie dostałem innych propozycji. Wiem, że on traktuje swe sługi jak bydło, że lubi się znęcać, wyzywać, wrzeszczeć...
- Bez przesady, to samo czyni wielu. Nie trzeba się go zbytnio bać, Philomusie. Umie tylko mleć ozorem za zębami, jak kundel za płotem, ale warknij nań z góry lub pokaż pięść, a przysiądzie i podkuli ogon.
- To punkt widzenia żołnierza, nie filozofa, panie. Ja nie mam pięści. Mam tylko palce, którymi mógłbym pisać, gdyby nie szwankował mi wzrok. I nie będę warczał na człowieka, który płaci mi honorarium.

- Pewnie nędzne, bo nie lubi hojnie płacić. Lubi hojnie brać. Dorobił się, skurwysyn, jako przekupny sędzia.

- Wypada mi tylko powtórzyć twoje słowa, Fulwiuszu: to samo robi wielu. Wątpię czy znalazłbyś dziś uczciwego sędziego. Ja takich nie widziałem.

- A ja jednego widziałem. Gdy od obu stron wziął sowite przekupne, ferował wyrok sprawiedliwy.

Tylko moje gardło buchnęło fontanną śmiechu. Philomusus rzekł:

- Pójdziemy spać. Jeszcze raz dziękujemy ci, panie, za twą szczodrość.

Fulwiusz skinął nam głową, a gdy wstaliśmy, sam również wstał i ruszył do wyjścia, rzucając gospodarzowi kilka monet i kilka słów.

Kładąc się, Philomusus powiedział cicho:

- Nie zadurzaj się, Kaiusie, zbyt pochopnie... Serce to jakby żołądek prawości, wchłania dobre myśli, by wytwarzać soki dobrych czynów. Lecz to samo serce bywa żołądkiem głupoty, bo karmi je naiwność przyćmiewająca umysł. Zbyt krótko tego człowieka znasz.

- Ty, mistrzu, znasz go równie krótko, co nie przeszkodziło ci obrażać dobroczyńcę. Rzekłeś mi wszak, iż nie wypada ci warczeć na człowieka, od którego weźmiesz honorarium, a warczysz na człowieka, który mnie uratował, i który obu nas ugościł!

- To mu się podobało, on lubi ten styl, zadziorność męskiej gadki, synu. Wiedziałem co robię. Jeśli był smutny, to nie dlatego, zaś wesóły był właśnie dlatego. Ty dostrzegłeś wyłącznie jego poczucie humoru. Lecz czy zauważyłeś, iż jest smutny?

- Też byłbym smutny, mistrzu, gdybym widział, że ktoś mi się tak odpłaca, jak ty jemu, i że mnie ktoś tak rani, jak ty jego! - broniłem dalej swego zdania.

- To nie przez to... On jest człowiekiem Północy, gdzie cały rok i większą część dzionka nie świeci słońce. Stąd smutek dominuje u tych ludzi, od smutku zaś blisko do melancholii, która karmi się sama sobą, podobnie zresztą jak szalona miłość, głupota, flegmatyzm, a i kilka jeszcze temperamentów... Śpij już, wstaniemy z brzaskiem.

Długo nie mogłem zasnąć. Leżałem oddychając głęboko, i pod przymkniętymi powiekami cały czas widziałem jego twarz. Twarz bywa pułapką. Ułomność męskiego rozumu, jak i słabość kobiecej głowy, jest ta sama: nęci nas fizys, a nie psyche człowieka, któremu chcemy zaufać, z którym chcemy się kochać lub którego chcemy wielbić. Szukamy urody, a nie charakteru. Jednak wbrew przestrogom Philomususa moje pierwsze wrażenie okazało się prawdą; dowiódł tego cały czas, który spędziłem później przy boku „*Sotera*”, dlatego nie były całkiem zmarnowane godziny tamtej bezsennej nocy, kiedy zakrytymi źrenicami widziałem twarz Fulwiusza tuż przed moim obliczem. Patrząc na takiego

człowieka masz wrażenie, iż środek Ziemi jest w miejscu, w którym ten człowiek akurat stoi. Więc gdyby mnie ktoś spytał dzisiaj: kim był ów człowiek? - rzekłbym, iż był ostatnim już Rzymianinem godnym tego imienia, człowiekiem, o którym wnuki winny swoim wnukom opowiadać historię przemienioną w bajkę, w baśń starą niby sen, co się rozwiał przed stuleciami, lecz wiecznie młodą wskutek piękności tego snu, rodzącą marzenia, by taki człowiek stanął na czele ludzi, dając im przykłady męstwa i honoru. Philomusus, gdyby razem z nami wędrował, pojąłby to również. Choć niewykluczone, że już to wiedział konając, i że już wtedy mógłby - myśląc o Fulwiuszu - zacytować frazę „**Rozmyślań**” swego ulubionego Marka Aureliusza:

*„Jako Rzymianin oraz jako mężczyzna staraj się czynić wszystko, aby być prawym, żyjąc z nieudawaną godnością, i ze swobodą pełną sprawiedliwości. Znajdziesz li bowiem coś lepszego w życiu nad dzielność, szczerłość, roztropność i sprawiedliwość? Lub coś gorszego nad nieelojalność, obłudę i bezwstyd? Duszy honorowego męża nie zamieszkuje zgnilizna, sztuczność, służalczość bądź inne skalenie, które jest niczym ukryty wrzód. Dzięki temu zasady - nawet kiedy morduje je wielu - nie umierają”.*

To przykazanie ucieleśniło się w duszy „Sotera” piękniej niż w którymkolwiek innym spośród znanych mi mężów.

Gdym zeszłego lata stał nad jego mogiłą, a wiatr noc zapowiadający rozwiewał siwe resztki moich włosów, myślałem to, co myślę ciągle: że gdyby mi przyszło żyć jeszcze raz, i gdybym mógł sobie sam wybrać jaki będę - chciałbym być takim jak ten człowiek, ostatni Rzymianin pradawnego zakonu, do klechd rycerskich przynależący łacniej niżli do realnego świata, w którym tyle nikczemności i słabości ludzkiej morduje marzenia o świecie bez brudu i wstydu.



## II.

„*Domus*” senatora Minucjusza Acilianusa nie był zwykłą rezydencją bogacza, lecz pałacem z kilkoma atryami, opasłym niby brzuch gospodarza, który sobie ten kałdun rozepchał obżarstwem i picciem tuczających, słodzonych trunków. Ponieważ dano nam nędzną komnatę sąsiadującą przez ścianę z równie nędzną izdebką kucharza, więc słyszałem jak ów warczy o swym pracodawcy do swej nałożnicy, niewolnicy syryjskiej:

- Chła tyle, no tyle, że zamiast żołądka ma chyba beczkę w brzuchu!

Gdy pewnego razu spotkaliśmy przypadkiem (blisko Forum Romanum) trybuna Juliusza Fulwiusza Corvinusa, i gdy on powitał nas serdecznie, niczym starych znajomych - rozmowa, także przypadkiem, rychło zesłała właśnie ku temu „*chlaniu*”, bo zagadnął:

- Philomususie, jak ci idzie wbijanie mądrości do łba senatorskiego pomiotu?

- Ciężko - odparł filozof.

- Pluj na to, i licz pieniądze, które ci płaci ten sknera. Czego konkretnie synalka uczysz?

- Historii, filozofii i paru innych przedmiotów, wolałbym wszakże nie tylko go wyuczyć, ale i oduczyć.

- Czegóż?

- Picia. Wzorem ojca zasmakował w winie i stawia się na lekcje pijany lub podchmielony. Jest młody, więc szkodzi mu wino.

- Starym szkodzi bardziej!

- Starym szkodzi wszystko, trybunie.

- No to nareszcie wiem czemu mnie wino nie szkodzi, przyjacielu. Młody już nie jestem, zaś stary jeszcze nie, dlatego mogę chlać. A mówiąc bardziej serio: nie szkodziło mi nigdy. Przeciwnie - odkąd dwadzieścia lat temu zacząłem dużo pić, stałem się Rzymianinem wolnym, zyskując reputację człowieka, który gada to, co ma na myśli, i myśli to, co gada. Znasz wielu takich?

- Cmentarze są pełne takich, którzy gadają wszystko co tylko ślina na język przyniesie. To niebezpieczne w dzisiejszych czasach - upomniał go Philomusus.

- Jakoś wciąż żyję.

- Ale przez ten brak knebla kładzionego językowi spadłeś z hierarchicznej drabiny, żołnierzu.

- Nie tylko przez to, szkoda teraz o tym paplać. Mówiliśmy o czymś innym, Philomususie - o cnotach wina rzymskiego. Pytałem czy znasz wielu Rzymian, których wino nauczyło

prawdomówności wobec wyższych szczebli drabiny.

- Znam wielu takich, którym wino już za młodych lat przyćmiewa rozum - wymigał się Grek, ku mnie znacząco zerkając.

- To i Kaius jest winofilem? - zdziwił się trybun.

- Miał tę złą skłonność od dawna.

- I co, już nie ma?

- Teraz pilnuję go dużo solidniej, no i nie może wracać do domu zbyt późno, bo senator wcześniej zamyka bramy, a gdyby go przyłapał, lub gdyby służba doniosła, wyrzuciliby nas obu.

Fulwiusz obrzucił mnie rozbawionym spojrzeniem:

- Chłopcze, słuchaj swego mistrza!

- Słucham go, panie... - wymamrotałem, spuszczać wzrok.

- Słucha jednym uchem, nicpoń, i drugim wypuszcza równie łatwo jak łatwo wlewa trunki do gardła - westchnął Philomusus.

- A skąd bierze na trunki?

- Nie musi ich kupować czy też kraść ze stojaka piwnicznego. Służebne małżonki senatora kradną i ochoczo przynoszą Kaiusowi raz po raz.

- Darmo chyba tego nie robią, więc pewnie płaci im nie załując lędźwiowego potu! - odgadł Fulwiusz, pstrykając z ukontentowania palcami. - To lubię, sam taki byłem! Piwo i wino brane od dziewczki smakują jak mleko ssane z piersi matki, lepiej niż nektar bogów!

- Głupcom zawsze sok głupców smakuje lepiej niż sok mądrości, nie obraź się, szlachetny trybunie...

- Gdybym się obrażał na filozofów, obraziłbym się na ciebie, Philomusie, już podczas naszego pierwszego spotkania. Dziwne mi tylko, iż filozof nie wie, że „*in vino veritas* „, \* [\* - Prawda jest w winie (łac).].

- Manipulujesz sentencją, a więc manipulujesz prawdą, Fulwiuszu, bo to porzekadło mówi, iż wino rozwiązuje lekkomyślny język, a nie, że prowadzi do prawdy!

- Wszystkie drogi do prawdy są świetne, mądralo, prócz głupoty, która wie gdzie donikąd - uparł się przy swojej interpretacji porzekadła Fulwiusz. - Chcesz moje winolubstwo zwać głupotą, twoja sprawa. Chcesz oduczyć wina twojego skrybę, też ci nie będę bruździł. A już miałem was zaprosić na łyceczek, tu blisko...

- Miast bruździć, lepiej mi pomóż. Zakaż Kaiusowi pić. Ciebie, wodzu, usłucha.

- Nie mogę.

- Raczej nie chcesz, panie!

- Zgoda, nie chcę. Nie chcę, bo abstynencję uważam za chorobę, Greku.

- To dlaczego przykazałeś mi wcześniej, aby mnie pod tym względem słuchał?

- Radząc, by cię słuchał, miałem tylko na myśli, aby się nie schlewał jak wór. Normalne picie to co innego. Pić trzeba, trunek dodaje zdrowia i wigoru. Ale to ty masz pić wino, a nie wino ciebie, rozumiesz, Kaiusie?

- Rozumiem, panie - rzekłem cicho (i odtąd nie upiłem się worzasto już nigdy).

- Trzymam cię więc za słowo, chłopcze! Pij na swą miarę, tego nikt nie powinien ci wzbraniać. Łacniej już mógłbym wyperswadowywać ci obżarstwo. Z obżarstwem jest u mężczyzny jak z dupczeniem u kobiety - krótka przyjemność, a potem długo wielki brzuch. Spójrz na Minucjusza! Jego własna córka, żona pretora Atrectusa, publicznie mówi o ojcu: „- *Pocziwy stary żołądek*”. Co zresztą jest półprawdą typową dla bab, gdyż waszego chlebodawcę można posądzić o wszystko za wyjątkiem pocziwości... No, może jeszcze i szczodrości, bo nie widzę żebyście się spaśli zbyt, dalej macie żołądki przyklepione do grzbietów, nie przekarmia was ten @pocziwiec... Często trapi was głód?

- Mnie nigdy nie trapi głód, trapią mnie inne rzeczy, wodzu, jak choćby „*taedium vitae*”\* [\* - Znużenie życiem (łac)].... - uśmiechnął się gorzko Grek. - A Kaiusa dokarmiają miłe służebne szlachetnej Sulpicji...

- Więc pozwól, że dzisiaj dokarmię was ja! - oznajmił Fulwiusz.

Wymijając garkuchnie, poszukał nam przyzwoitszej jadłodajni między Tullianum a Łukiem Septimiusza Severa. Tam spędziliśmy trochę czasu przy dobrym żarciu, i przy rozmowie, w której brałem udział bierny, vulgo: milcząc. Oni gadali chętnie, bo lubili się przekomarzać. Nigdy wcześniej nie widziałem, by dialog z kimś sprawiał Philomusowi równą przyjemność co dialog z tym oficerem nie należącym do tzw. „*uczonych mężów*”, choć mogło się wydawać - zważywszy profesję, którą obrał Philomusus - że bawić go winna tylko uprawiana przezeń często szermierka na mądrości z pokrewnymi mu duszami: z filozofem, z przyrodnikiem lub z filozofującym poetą. Notabene - o poecie też była gadka, gdyśmy już wstawali od stołu. Fulwiusz klepnął mnie po ramieniu, mówiąc:

- Jakby krzywdzono was u tego wieprza Minucjusza, to gnaj do mojego domu, Kaiusie, i rzeknij mi. Mieszkam na Via Summa Sacra, blisko Łuku Tytusa, każdy tam ci wskaże. Możesz mnie nie zastać, wkrótce pewnie wyślą mój legion ku granicy, bo barbarzyństwo szykuje nowy bunt, ale mój zarządca, Rufus Rega, będzie wiedział co robić.

- I cóż on zrobi? Ukarze senatora? - spytał Grek.

- Nie, lecz da wam adres nowego pracodawcy, rymopisa, który szuka tłumacza, bo chce napisać po grecku sztukę w greckim stylu.

- Czemu nie po łacinie?

- Sam go zapytaj! Poeci są jak kobiety, miewają kaprysy i lubią zmienność, a także dziwaczność, choćby perwersyjność...

- Grekę uważasz, panie, za perwersyjność?! - zezłościł się Philomusus.

- Nie całą. Tylko tę grecką skłonność mężczyzn do amorów z chłopcami, Philomusie - wycedził Fulwiusz.

- Mnie nigdy przenigdy nie łączył z Kaiusem taki związek! - wściekł się jeszcze bardziej mój mistrz.

- A któż ci to wmawia? Każda reguła posiada wyjątki, nawet grecka, co znaczy, że jesteś odszczepieńcem, Greku. Więc jak? Mam uprzedzić poetę, że znajdzie biegłego tłumacza dla swych strof?

- Kto to jest?

- Sulpicjusz Classicus.

- Ten Sulpicjusz?!

- Tenże sławny Sulpicjusz! Popadł w niełaskę, jak i ja, lecz jego, kiedy tylko zechce, wspomagają trzy muzy: Kalliope, Euterpe i Erato, zaś mnie bez życzliwości przełożonych trudno wykazać, iż Mars to mój druh... Aaa, byłbym zapomniał! Grekofila Sulpicjusza uduchawia również wielka kolumna, którą sprowadził sobie z którejś świątyni Peloponezu. To fetyszysta, miłośnik wróżb, duchów, przesądów, zaklęć i magii. Ta helleńska kolumna wspierałaby waszą wspólną pisaninę grecką.

- Panie... - szepnął Philomusus.

- Tak?...

- Zmienię pracodawcę choćby dziś!

- Więc wymów pracę u łotra Minucjusza i staw się jutro w moim domu. Później mój sługa was zaprowadzi. Miejmy nadzieję, że do raju...

W głosie trybuna usłyszałem nutkę kpiarską, i Philomusus usłyszał ją również, bo spytał głosem trochę drżącym:

- Masz wątpliwość, panie?... Sulpicjusz to dobry poeta, lecz czy dobry człowiek także?

- Będąc filozofem winieneś wiedzieć, przyjacielu, że nie ma ludzi idealnych, i że pojęcie dobra jest względne. Sulpicjusz, choć rymopis kręty, jako człowiek zawsze idzie prostą drogą.

- Chwała bogu! - ucieszył się mistrz.

- I to w obu kierunkach - dodał Fulwiusz.

- Jak to: w obu?...

- W obu nie zbacząc ani na krok. Kopulowanie, chłanie, śpiewanie sprośne i gra w kości, lub: gra w kości, frywolne śpiewy, pijaństwo i kopulacja.

- Mamy się tedy przenieść... mamy się przenieść z deszczu pod rynnę?! - jęknął Philomusus.

- Ależ gdzie tam! Będzie was lepiej karmił, lepiej wam płacił i dużo lepiej was traktował niż senator. Szlaja się tylko poza domem, a upija na lirycznie lub na smutno. Agresywny bywa wyłącznie wobec urzędników i cenzorów, nigdy wobec swych sług, swych kochanków i swych kochanek.

- Swych kochanków?! - jęknął po raz drugi Philomusus.

- Nie dyskryminuje żadnej płci, ani żadnej rasy, i może w ogóle nikogo, trzeba by zapytać jego suczkę. Lubi dwoistość, po grecku i po barbarzyńsku, czyli różnorodność, którą praktykuje wielu Rzymian, chociaż i państwo, i Kościół zabraniają tego dziś. Igra z ogniem. Ale Kaius będzie u niego całkowicie bezpieczny.

- Czyżby?

- W stu procentach.

- Skąd ta pewność, panie?

- Stąd, iż zapowiem Sulpicjuszowi, że jeśli choć raz położy rękę na udzie Kaiusa, to mu tę rękę przetrączę jak owemu łowcy niewolników, wtedy, nocą.

- A jeśli będzie rozpijał Kaiusa?

- To będzie jadał tylko płyny, bo zabraknie mu zębów. Bezzębność też mu obiecuję. Czy już wystarczająco cię uspokoiłem, Greku?

- Myślałem, panie, że to twój bliski przyjaciel...

- To tylko mój dobry znajomy, który ma dług wdzięczności wobec mnie, bo uchroniłem go od zemsty jednego pechowego gracza, dawno temu.

Sulpicjusz Classicus istotnie nigdy nie tknął mnie dłonią (w domu pieścił palcami wyłącznie złobienia owej greckiej kolumny, która flankowała atrium, stercząc prowokująco jak fallus, który wyzywa niebo) i nigdy nie zaproponował mi wina, lecz znęcił mnie do hazardu kośćmi, bo tego nie wzbronił mu Fulwiusz. Graliśmy bez pieniędzy, gwoli samej emocji wygrywania lub przegrywania. Na pieniądze lub na klejnoty grywał, i to ostro, z kimś innym - z diakonem Plotiusem Gallusem, który dzięki aż dwóm spadkom po krewnych zyskał bogactwo w młodym wieku. Dziwny ten kapłan rzadko wygrywał (kiedy wygrywał, komentował swój triumf mówiąc: „- *Digitas Dei!*” \* [\* - Palec Boży! (łac.)]; częściej przegrywał, i wtedy wychodząc kłął swą namiętność do hazardu, samokrytycznie ubolewając: „- *Cupiditas mater omnium malorum!*” \* [\* - Chciwość matką wszelkiego zła! (łac.)]. Toczyli podczas grania soczyste lub śmieszne dialogi, z których jeden tkwi mi w pamięci trwalej niż inne, może dlatego, iż kończę żywot wśród mnichów. Pewnego razu Gallus, stawiając dużą sumę na jeden rzut kośćmi, palnął:

- Jak teraz przegram, wstąpię do klasztoru!

- Po co? - spytał rozbawiony Sulpicjusz.

- By znaleźć się między ludźmi, którzy nie gonią za żadną marnością tego świata.

- To raczej wstąp do zmarłych, w klasztorach bywa różnie, klecho! - prychnął Sulpicjusz, a chwilę później ucieszony klasnął, bo wygrał.

Ze mną też często wygrywał, lecz gołą satysfakcją, gdyż graliśmy bez pieniędzy. Zwykle wieczorami. Mówił, że to są dlań wróżby - wygraną traktował jako zapowiedź, iż kolejny dzień upłynie mu miło. Gdy przegrał - spał następnego dnia do południa, by skrócić zły dzień. Dając pechowi mniej czasu - dbał o swą sławę.

Sława uwieńczyła Sulpicjusza przed trzydziestką. Czuł się desygnowany, nie tylko talentem (talenty wegetują niczym gnuśne kwiaty, jeżeli nie poświęcić im starania plus gleby kwalifikowanego sortu), ale również wychowaniem, które zapewniła mu matka, Ummidia Quadratilla. Była kobietą uczoną. Pisała listy tak dobrze skomponowane, iż przypominały prozę Plauta lub Terencjusza, a dialogi prowadziła po męsku. To dzięki niej Sulpicjusz już jako nastolatek znał całego Wergiliusza i Cycerona, tudzież część Enniusza i traktaty Seneki. Poezje - „Listy” Horacego, „**Fasti**” Owidiusza, „**Pharsalia**” Lukana bądź „**Thebaidę**” Stacjusza - cytował dużymi fragmentami, rzadko się zacinając. Pierwsze rymy płodził mając dwadzieścia lat. Pierwsze sukcesy odniósł po pięciu sezonach tworzenia. Zrazu brylował wśród młodych wierszokletów, by rychło frunąć wyżej. Leciwi konkurenci umierali, rówieśnicy powszednieli miłośnikom rymów, on zaś nie tracił wzięcia, i tak został numerem jeden, gwiazdą bezkonkurencyjną, samodzielnym spadkobiercą Juvenalisów, Marcjalisów tudzież innych głośnych poetów Rzymu dawnego. Płacono mu krocie za liryki miłosne, za paszkwile zjadliwe lub panegiryki dające klientom złudne laury wybrańców bogów. Wreszcie chciano przyznać mu stanowisko i chwałę nadwornego poety. Ku zdumieniu całego Rzymu odmówił, a kiedy uzasadnił tę odmowę dwuwierszem finezyjnie kłującym cesarza - został aresztowany i wytoczono mu proces o „*obrazę majestatu*”. Ta dwuwierszowa fraza brzmiała:

„Starać się o twe względy to cel nazbyt marny,

Bo jest mi obojętne czyś biały, czyś czarny”.

Co było dla władz niezbitym dowodem przestępstwa. Lecz rozprawa trwała bardzo krótko, gdyż oskarżony wyparł się autorstwa, a kiedy mu nie uwierzono - pokazał zbiór rymów Katullusa sprzed pięciu stuleci (z czasów Republiki) zatytułowany: „**Żale nad śmiercią wróbla**”, gdzie heretycki dwuwiersz figurował jak byk. Sulpicjusza można było tedy oskarżyć o cytowanie jeno. Można to było również przezwąć kradzieżą rymu, lecz taka kradzież nie podlegała kodeksowi, i ośmieszona władze musiały uwolnić aroganta. Próbowano jeszcze judzić Kościół, by zajął się plotkami o „*sodomii*” praktykowanej przez Sulpicjusza, jednak by udowodnić mu stosunki miłosne z płcią własną, trzeba byłoby mieć naocznych świadków (czyli, w praktyce, współników lub partnerów, których świadectwa automatycznie czyniłyby samych świadczących podsądnymi), a do tego wśród wysłędzonych partnerów i współników mogłyby się też znaleźć osoby ze świecznika (tak dworskiego, jak i kościelnego), więc szybko ukrecono sprawie łeb, i jedyną karą była niełaska oficjalna (państwowa), która mało raniła poetę, gdyż nie zamknęła mu źródła zysków. Dla własnej przyjemności pisywał białe wiersze o tajemnicy, nocy lub śmierci; dla bliskich swemu łożu pań wdzięczne, metaforyczne strofy o „*rozmarzonych gołębiach składających jaja między dachówkami*”, o „*kołysaniu się lektyki liburnijskiej z tajemniczą damą*”, et cetera; a dla mamony - niezrównane anonimowe paszkwile, które co raz ktoś sekretnie zamawiał, by publicznie ubrudzić lub unicestwić politycznych bądź salonowych przeciwników. Fulwiusz zganił to trzecie kiedyś, mówiąc:

- Sulpicjuszu, przyzwoity facet sra tyłkiem, nie piórem.

A poeta parsknął:

- Fulwiuszu, jeśli młodo nie zemrzesz i będziesz ciągle swą prawość rozwijał, osiągniesz ów górny stopień szlachetności, który graniczy z głupotą. Że to jest fizycznie możliwe, świadczy casus Greka.

Reprimenda Fulwiusza zdała się tedy na nic - Sulpicjusz dalej pisał owe paszkwile dla zysku. Taki paszkwil był wart złota, płacono więc Sulpicjuszowi złotymi solidami, a nawet starszymi i cenniejszymi aureusami - opływał w złoto. I bardzo dumnie uzasadniał ten brudny sposób gromadzenia złotych monet, klarując, że niszczy swym piórem łotrów, bo zganieni lub wykpieni jadowicie - będą bali się kontynuować swoje postęпки. Nie przeszkadzało mu, że ci, którzy go najmują, są łotrami równego lub też większego kalibru. Bez skrupułów zresztą brał od oplutych przez siebie takie same pieniądze za oplucie tych, którzy najęli go wcześniej do oplucia tamtych - pracował dla każdego. Co traktował jako dowód swej niezależności twórczej. Grzmiał z podniesionym czołem:

- Poeta winien mieć wolność mówienia wszystkiego, by pewni ludzie nie mieli wolności robienia wszystkiego!

Brzmiało to pięknie, sam Homer biłby mu brawa.

Natomiast Owidiusz nie klaskałby chyba, czytając obscena Sulpicjusza, które były drugim

źródłem jego sowitych zarobków. Wybornie świłtuszył, ale zbyt dosadnie, co musiałoby razić delikatność Owidiusza, wirtuoza, który działał w czasach innego Rzymu - Rzymu lubieźności skrywanej wstydliwie, maskowanej cnotą publicznie demonstrowaną, gdy Rzym Sulpicjusza, Rzym schyłkowy - mimo zakazów i kar buchał nie tylko podskórnie rozwiązłością lupanaru. Znam bardzo dobrze Owidiusza, czytałem jego „**Metamorfozy**” tudzież jego przesławną „**Sztukę kochania**”, i w tej drugiej znalazłem ledwo dwie zwrotki trochę mniej przystojne (mniej metaforyczne) niżli reszta fraz - w księdze III radę dla gorączkujących się amantów, zaś w księdze II radę dla zbyt wysokich dam:

*„Podniecony namiętnością*

*nie wyprzedzaj swojej pani.*

*Cieszy ją, gdy równocześnie*

*dobijacie do przystani”.*

*„Długonoga winna w łóžu*

*zagiąć wzwyż kolana swoje,*

*by mężczyzna mógł bez przeszkód*

*toczyć z nią miłosne boje”.*

I to wszystko. Cud dowcipu, metafory i delikatności Owidiuszowej, tylko leciutko zezwierzęcony, gdy w obscenach Sulpicjusza panowała dosłowność, którą Owidiusz nazwałby prostacką. Były to wszakże zgrabniutki rymowanki, rozchwytywane, deklamowane, powtarzane przez publikę, grzejące humory biesiadników i pijaków przy karczemnych stołach, zwłaszcza soczyste fragmenty jego „**Mitologii greckiej wedle Priapa**”, gdzie Sulpicjusz krótko zaprezentował każdą figurę tej mitologii, od Zeusa po Narcyza, co cytuję niżej nie bez wstydu, dla przykładu tylko, by dać świadectwo prawdzie moich słów:

*„Zeus cichcem wali w zady*

*Czy to nimfy, czy najady,*

*Czy syreny, czy menady,*

*Czy boginię, czy ziemiankę,*

*Czy dziewicę, weterankę -*

*Każdej olimpijską piankę*

*Wpuści z kuśki gromowładnej*



*Skrytojebca wiary dawnej”.*

*„Narcyz - dziwny to przypadek:*

*Chce swój korzeń pchnąć w swój zadek,*

*Więc naciąga go jak żmiję,*

*Co się wokół uda wije;*

*Dla miłości własnej gotów*

*Celem własnych być zalotów,*

*Cudzych się ogonów strzec,*

*W kółko kręcić się jak pies”.*

Uwielbiały te „*dubeltowe ósemki*” (czyli ośmioletnie oktawy) zwłaszcza „*libertyny*”, kobiety ze świetnych domów, krwi przedniej, patrycjuszowskiej lub arystokratycznej, u których wszakże razem z krwią błoto płynie żyłami, różnorakie proporcje przybierając. Widziałem owe niewiasty (te wstydlwsze) wewnątrz tamtego domu schadzek, gdzie poznał Fulwiusza, jak przemykają niczym nietoperze na piętro, by później zbiegać schodami i wracać czym prędzej do swych rodzin „*po wieczornej mszy*” lub „*po rekolekcjach*”, świątobliwe niby westalki dawnego Rzymu. Notabene Kościół nie zwalczał „**Mitologii**” Sulpicjusza, bo uważał, iż te ośmiowieczne kompromitują pogański panteon. Wściekli się duchowni innym razem - kiedy krążyć wszędzie zaczęły odpisy petycji do Senatu wystosowanej, rzekomo przez stołeczne damy, a w istocie wysmażonej anonimowo przez Sulpicjusza. Petycja miała dziesięć punktów, które cytuję in extenso:

### ***„Petycja szlacheckich Rzymianek***

#### ***do prześwietnego Senatu Imperium”***

*„My, niewiasty Wielkiego Rzymu, uważając, iż nam się prawa pewne, a to w szczególności zdrowotne, równe z męskimi należą, wnosimy do prześwietnego Senatu, by ustanowić raczył obowiązki kawalerów, mężów, wdowców i rozwodników względem panien i pań jako przymus nieodwołalny we wszystkich punktach pomienionych niżej:*

*1. Aby każda panna nie później niż w dwunastym roku życia swego dostała męża, bo tej pory ochota już przychodzi rzecz czynić.*

*2. Aby każda, co nie dostała, czynić mogła wedle swej woli z każdym, który jej przypadnie do gustu.*

*3. Aby każda młodziczka, której kandydata na małżonka wyszukano, mogła z nim próbować całe pół roku przed zamierzonym ślubem, bo bez próby nic nie wiadomo i później mnożą się rozwody,*

*które obyczajność powszechną psują jako zaraza.*

*4. Aby młodych niewiast starym chłopom nie dawano, bo z tego zawždy więcej smrodu bywa niżli pociechy.*

*5. Aby wdowy jeno młodego mogły poślubiać, bo im się coś należy jako zadośćuczynienie, których to młodych miejski urząd wyszuka, żeby w gotowości byli każdego roku.*

*6. Aby mężczyzna nie upijał się nim uczyni, gdyż pijany czyni źle i krótko.*

*7. Aby niewiasty chrome, szpetne, nosate i dziobate, stare i bywalsze swego czasu dużo - też miały chłopą, który jak nie chce, to go władza miejska przymusi.*

*8. Aby się mężczyźni chorobą lub niemocą inną nie wymawiali od czynienia, tylko wzór z niewiast brali, boć to przecie każda niewiasta doleży chłopu kiedy chce, i choćby była chora, sprawę zdrowo czyni.*

*9. Aby miłujący niewiastę nie kończył na jednym razie czynienia, tylko ze sześć razy co najmniej czynił w ciągu doby, o tej porze, którą niewiasta zapoda mu.*

*10. Aby ten, który w podróż wyjeżdża, lub uprawiać wojenne rzemiosło, zmiennika ostawił na czas swej nieobecności, którego niewiasta sama wskaże, a jakby się przeciwiał temu (jeden czy drugi), to go kijem sękatym w pep!”.*

Dalej szły bazgroły udające sygnatury autorek podania, które to sygnatury ci, co wzięli rzecz serio, próbowali identyfikować wskazując grono czołowych matron Rzymu. Wybuchł szumny skandal, a sława Sulpicjusza rosła. Lecz on chciał sławy innej - wiekopomnej. Tę zaś, jak sądził, mógł mu dać tylko dramat zmajstrowany wedle wzorca Greków. Coś bliskiego Ajschylosowi, Sofoklesowi lub Eurypidesowi. Dlatego najął Philomususa, by Grek mu doradzał językowo. I mój mistrz to czynił, zzymając się w duchu, źle znosząc tempo, ciągle ponaglanie, rygor krótkiego czasu, tak wrogi jaźni filozofa.

Rymotwórstwo daje ekskluzywne fory. Dobry poeta uzyskuje sławę dzięki kilkunastu wersom, które mieszczą się na dwóch skrawkach pergaminu, gdy dobry filozof musi dla takiego samego lub mniejszego rozgłosu zużyć bele pergaminu, harując całe lata, a nie dzionki lub tygodnie, przez co brak mu czasu, by korzystać z życia równie intensywnie jak to może robić rymopis. U poety-motyła miesiąc jest długi, gdy życie mędrca piszącego traktat jest krótkie i spocone niczym żywot szarego owada, który mozolnie ciuła pyłki mądrości, by je sprzedać ludziom. Ta owóz konstatacja stała się zgryzotą zazdrosnego Philomususa, kiedy zobaczył jak żwawo i lekko poczyną sobie Sulpicjusz. Ale mój mistrz był już półślepy nie tylko na oczy - nie rozumiał (gdyż nie rozeznał) pobudek, które determinowały lekkoducha tworzącego paragrecką tragedię. Majstrował ją Sulpicjusz, bo sądził, iż z rzymskiej literatury nie ostanie w historii nic, przetrwa tylko greckie dramatopisarstwo. Zaś spieszył się, bo uważał, że ma już niewiele czasu, albowiem kres Imperium zbliża się równie szybko jak deszcz, kiedy niebo zasnuwają ciężarne chmury. Lub raczej: jak wybuch Wezuwiusza nad Pompejami, kiedy wulkan grozi chmurą dymu i serią wstrząsów. Tak też było, co widział, rozumiał i

złowrózył niejeden spośród Rzymian. Nawet kobiety odczuwały zimne dreszcze tej epoki przełomu.

Imperium trwało prawie pół tysiąclecia, lecz pancerne Imperium ledwo ćwierć tysiąca lat, może trochę dłużej. Już Cezar miał instynkt imperialny, August wynalazł Imperium, Seneka stworzył filozofię tego mocarstwa, a legiony uczyniły Rzymian „*narodem narodów*”. Strzegły zwartości gmachu, i rozbudowywały ten gmach, otaczając go portykami ziem wchłanianych przez boską Romę. A później spoiwo zaczęło gnić. W plugawym używaniu strupieszało niegdysiejsze bohaterstwo Rzymian. Rzym zwyciężył cały świat, lecz nie dał sobie rady z samym sobą. Widział przeżerający mu trzewia upadek obyczajów, martwił się nim i próbował tępić zgniliznę, potem kielznać, wreszcie chociaż minimalizować, jednak na tej scenie poniósł klęskę gorszą aniżeli wojenna, i zostało mu tylko obrzydzenie wyrażane milcząco przez duchy przodków, pogarda ze strony cieni wielkich mężów dawnego Rzymu, unoszący się w powietrzu odór wstydu. Rzym zwymiotował sam siebie.

Klęsce głównej, wewnętrznej (krachowi moralnemu i społecznemu) - towarzyszyć musiały klęski zewnętrzne, które przyniosła degrengolada militarna. Niegdyś ni Gal długowłosa, ni Germanin błękitnooki, ni Dak brodaty nie byli Rzymowi straszny - chorągwie i orły naszych legionów samym swym widokiem przeganiały tę dzicz w niedostępne puszcze i w gnijące błota, tak jak trąba myśliwca płoszy zwierza wylękłego. Barbarzyńców, którzy dali się ucywilizować, przyjmowano do rodziny narodów Imperium. Barbarzyńcy zupełnie dzicy, odrzucający kulturę - nie byli dla Romy narodem, tylko plagą. Ale im mniej groźni się stawali wskutek zadawanych im ciosów - tym mniej trzeba było twardych legionistów, by zadawać ciosy kolejne. Profesja wojownika rzymskiego - najlepszego wśród wszystkich żołnierzy, jakich znały dzieje świata - zrobiła się niemodna i odeszła w przeszłość, ustępując pseudożołnierce bawidamków grających żołnierzy. Sulpicjusz, który kpił z każdego masek - wykpił swym piórem i tę słabość:

*„Dzisiejsi Rzymianie*

*boją się,*

*by im szyszak nie pogniół*

*utrefionych fryzur,*

*a zbroja nie posiniaczyła*

*ramion uperfumowanych.*

*Mianowanemu rycerstwu*

*już pierścień rycerski*

*na palcu ciąży,*

*a cóż dopiero zbroja!”.*

Miał rację. Im więcej stawiano w Rzymie posągów marmurowych, tym mniej przebywało tu duchów dawnych bohaterów, które ulatywały z tej kloaki ku światłu bożemu lub ku odległym górcom albo lasom, byle dalej. Im huczniejsze wypisywano dworskie dytyramby o ciągłej świetności Rzymu, tym bardziej parszywiała mowa Rzymu - na salonach plotkowano językiem nie mniej zgniłym aniżeli dialogi w domach heter. Im solidniej Jedyny Bóg detronizował cały panteon starych bogów, tym szybciej słabła wola walki. „- *Sila i honor!*” - tak pozdrawiali się legionieści przed bitwą z wrogiem, lecz prawdziwej siły było już równie mało co honoru. Weterani pełnym głosem winili rozprzężenie obyczajów, a półgębkiem - Chrystusa, bo usunął Marsa. Nie pragnęli powrotu wielobóstwa - pragnęli tylko, by Mars został oficerem, bratem czy choćby kuzynem Syna Bożego.

Wielobóstwo, które już długo zaliczano ciszej lub głośniejsze do przesądów, kult setek bogów sławionych bajkami, w których niemoralność i okrucieństwo wiodły wspólny grzeszny taniec - wszystko to musiało runąć, co zresztą przeczuwali już dawni filozofowie i poeci, Zenon, Arystoteles, Platon, Cyceon i tylu innych, którym marzyła się jakaś jedna, czuła i sprawiedliwa Opatrzność, wolna od ułomności ziemskich. Taką Opatrzność propagowali wyznawcy Galilejczyka, budząc podziw swym niezłomnym męczeństwem, które ich sekcje przydawało glorii i nimbu. Swój triumf wypisali jako wróżbę swoją krwią na piasku aren cyrkowych. I zwyciężyli - sekta stała się Kościołem, a Kościół władzą. Lecz władza Boga chrześcijan szermowała słowem, a nie mieczem, lansując pokorę, a nie siłę, zaś łagodność nie może być skuteczną tarczą przeciwko wrogom używającym metalowego oręża. To właśnie szepotali zwolennicy pancernych legionowych kułaków: że miażdżące bojowe cnoty rzymskie stępia kult miłości bliźniego, że legiony pod wpływem chrześcijaństwa miękną miast twardnieć, że katapulty próchnieją razem z duchem rycerskim ewoluującym na rzecz subtelniejszego ducha, co agresorom ułatwia zbójcecką harówkę. Czy była to prawda? Wątpię, chociaż istotnie w legionach krzyże i znak ryb stały się ważniejsze od orłów i toporów.

Miłości do wroga (będącego bliźnim) legiony nie praktykowały, bo nie mogły - byłoby to czyste samobójstwo. Że jednak miłości do przeciwnika będącego i bliźnim, i bratem w Chrystusie, i kapłanem, nie praktykował Kościół, chociaż mógł - tego nawet sceptyczny wobec możliwości człowieka mędrzec Philomusus zrozumieć nie wydolił. Przyszło mnie i jemu żyć w czasach, kiedy Rzym nadużywał wszystkiego, a niczego nie potrafił użyć sensownie. Bogaczy zabijała niewstrzeźliwość, biedaków - niedostatek, dwór - nieudolność, Kościół - niezgoda. Kiedy on dzielił się na lepszych i gorszych chrześcijan, tudzież na odłamy i nurty (ortodoksję i schizmy) zwalczające się wzajemnie - społeczeństwo coraz boleśniej dzieliło się na bardziej uprzywilejowanych, mniej uprzywilejowanych, i całkowicie nieuprzywilejowanych, jak niewolnicy, bezrobotni (których liczba rosła strasznie) i niższa służba. To właśnie niewolnicy, bezrobotni, ciury tudzież służebni niższego sortu zdradziecko otwarli Germanom bramę Północną, i Rzym został złupiony przez barbarzyńców po raz pierwszy. Ale i tych, którym wiodło się lepiej, rozwścieczała niesprawiedliwość. Zwłaszcza fiskalna, gdyż nic człowieka pieniądze nie gniewa bardziej niż łuskanie mu pieniędzy, a kiedy urzędy cesarskie trzepią sakiewki kantując (faworyzując lub dyskryminując) - gniew judzi krzywdzonych do buntu. Kościół też cierpiał wskutek tych oszustw; prezbiter Marsylii, Salvian, pisał w onczas: „*Opodatkowanie, choćby było nie wiadomo jak surowe i brutalne - byłoby znośniejsze, gdyby wszyscy byli traktowani równo. Ale sytuacja jest tym*

*bardziej haniebna i katastrofalna, że ten ciężar nie wszyscy ponosimy lub niesprawiedliwie ponosimy”.*

Sytuacja tak Rzymu-Imperium, jak i Rzymu-metropolii zrobiła się zupełnie katastrofalna, kiedy wszystkie plemiona barbarzyńców - Wizygoci i Ostrogoci, Burgundowie i Swebowie, Alamanowie i Frankowie, Longobardowie i Turyngowie, tudzież cała reszta - zjednoczyły się, żeby zadać Rومیe definitywny, śmiertelny cios. Parli ku miastu z każdej strony - od północy i od południa, od Adriatyku i od Morza Tyrreńskiego - znosząc legiony niczym huragan. Wreszcie obiegli stolicę, przerywając dowóz żywności, a wówczas w mieście hołota podniosła łeb, jawnie warcząc na bogaczy, wielmożów i urzędników. Pretorianie i straż tłumili ten jazgot, ale nie mogli zapobiec piekłu. Nocą wzniecono pożar w północnej części dzielnicy Trans Tiberim (między Porta Aurelia i zakolem Tybru) - tam, gdzie przy Via Aurelia stał dom Sulpicjusza!

Nie było mnie wtedy w domu - byłem po drugiej stronie rzeki, u młodziutkiej służącej kwestora cesarskiego, bo miała piersi wielkości dzbanów (aczkolwiek nigdy jeszcze nie karmiła nimi niemowlęcia), mogła tedy oszołomić każdą zbłąkaną duszę, której zupełny brak światła (choćby blasku księżyca) utrudnia rozróżnianie pośladków i biustu dziewczyny. Przerwał nam te mylące igraszki narastający od strony Tybru szum, później hałas, wreszcie grzmot, a kiedy wychyliłem spoconą głowę przez okno - zobaczyłem, iż niebo po tamtej stronie rzeki jest czerwonożłote, jakby chmury dymów paliły się niby stogi siana.

Biegłem nie żałując nóg ani płuc. Kiedym jednak dotarł do rzeki, zrozumiałem, iż nie przekroczę jej suchą stopą, cały bowiem most Sublicjus, i sąsiedni, bliższy Tiberinie, zapchane były wyjącem tłumem, który pchał się z tamtej strony Tybru do centrum miasta. Szkarłatne pióropusze pretorianów falowały nad tą ciżbą niby maki polne nad łanem zboża kołysanym przez wichurę. Dzięki Bogu, już jako szczeniak pływałem tak dobrze, iż koledzy zwali mnie „*Wydrą*”. Sandały obwiązałem sobie wokół szyi, i dałem nurka. Chwilę później byłem na drugim brzegu i chciałem biec ku Ianiculum, lecz to okazało się zupełnie niemożliwe. Całą Via Aurelia wzdłuż pasażu Gratianusa barykadowała rzesza uciekinierów, a za ich plecami płonął świat. Wille gorzały, strzelając deszczem iskier jak ogniska z iglastych krzewów, kilkupiętrowe insule waliły się jak dziecięce układanki z klocków, kolumny portyków żarzyły jak rożny postawione na sztorc. Tam, gdzie żar lub płomień dopadł piwnice pełne stągwi oliwy - eksplodowały wulkany dziurawiące niebo niczym lawa. Gigantyczne fale, welony, wiry, słupy i trąby ognia szalały między ogrodami a ścianami, tudzież wewnątrz domostw. Wściekły żywioł, huczący siłą tysiąca piorunów, był coraz bliżej, ścigał ludzi. Tybr nie starczyłby dla ugaszenia tego pandemonium.

Stałem przerażony blisko zbiegu dwóch mostów, oczami szukając Philomususa w tym spanikowanym tłumie. Mijające mnie kłębowisko miało wygląd hordy skazańców i potępieńców. Osmalone nagie ciała, skowyczące gardła, rozdzierający szloch kobiet i przekleństwa mężczyzn, pisk dzieci i kaszel starców zmęczonych biegiem. Wypatrywałem starców. Philomususa dostrzegłem, gdy tumult rzedniał, kuśtykającego przy samym końcu, resztką sił. Jakieś sto kroków dalej piecił się kataklizm, pchany wiatrem ku rzece. Podbiegłem, krzyknąwszy:

- Mistrzu, chodź tutaj!

Wsparł się na mnie, kurczowo przytulił, a później odwrócił głowę, mówiąc:

- Patrz, Kaiusie, tak umrze wkrótce cały Rzym!

- Jesteś ranny, mistrzu?! - zapytałem, widząc płynącą z barku krew.

- Ach, to nie od ognia - westchnął. - To od miecza.

- Co mówisz!... Od czyjego miecza?!

- Niektórzy, mniej cierpliwi, wyrąbywali sobie szybszą drogę klingą. Dzielni Rzymianie... - zakpił.

I zemdlął; padł mi na ręce jak wór.

Niosłem go do domu Fulwiusza płacząc. Był lekki niczym dziecko, nie czułem ciężaru, prawie biegłem. U trybuna zajął się rannym medyk. Opatrzył mistrza i przywrócił mu zmysły, wtykając pod nos buteleczkę z jakąś miksturą wydzielającą kwaśny odór. Wtedy spytałem Greka:

- Co z Sulpicjuszem, mistrzu?

- Nie wiem, chłopcze... - szepnął tak cicho, że musiałem przysunąć głowę bliżej jego ust. - Krzyczałem, by wybiegł wraz ze mną, ale wrócił do biblioteki po mój traktat.

- A nie po swój dramat?

- Rzekł, iż po mój traktat, Kaiusie. Lecz może wrócił po oba...

- Dajmy mu teraz usnąć - mruknął medyk. - Chodźmy stąd.

- Gdzie jest twój pan? - zapytałem go, rozglądając się wokół.

Nikt ze służby nie wiedział gdzie jest Fulwiusz. Pomyślałem, iż może gdzieś blisko kataklizmu, wyszedłem tedy znowu na miasto i ruszyłem ku rzece. Tym razem oba mosty były pustawe, lecz strzeżone od Flumentany i od Porta Aemilius przez wojsko. Pytałem czy widzieli Fulwiusza. Calutki brzeg Tybru między Campus Tiberinus a Mons Testaceus gęstniał od tłumów wpatrujących się w straszliwy spektakl po drugiej stronie. Panowała cisza, tylko czasami rozrywał ją czyjś jęk lub krótki, spazmatyczny szloch. Przepchnąłem się ku wodzie i drugi raz przepłynąłem Tybr.

Nie było już ściany ognia - było czarne, dymiące pogorzeliisko. I było widno jak o wczesnym zmierzchu, bo gdzieniegdzie wśród tego morza spalonych kikutów płomienie, mając lepszą strawę, buchały jeszcze żwawo. Służba miejska wynosiła rannych, lecz nie zapuszczała się w głąb zgliszcz, gdzie wciąż panował gorąc, a dalej, pod murem miejskim przy Pons Agrippae, wisiały szalejące ostatkiem sił tumany ognia, niby gigantyczne purpurowe velarium nad areną cyrku. Chciałem iść tam, lecz warujący pretorianin nie puścił i kazał mi wracać ku mostom. Przypomniałem sobie wówczas o wąskich ścieżkach między ogrodami domów, kędy robiłem wieczorne wypady gwoli rozpusty

młodzieńczej. Dużym łukiem obszedłem pogorzeliśko (by zejść wartownikom z oczu) i zacząłem w nie wkraczać przez spalony ogród jakiejś willi. Cyprysowe alejki, drzewa mirtowe i klomby - wszystko było zwęglone, a dymiący popiół boleśnie parzył mi stopy, kiepsko chronione skórą sandałów. Mijając baseny atrialne zanurzałem się w brudną wodę, by namoczyć łachy i ciało. Tak dotarłem do Via Aurelia.

Trafiłem niezłe - siedziba Sulpicjusza była o kilkadziesiąt kroków. Lecz nie mógłbym zrobić więcej niż kilkanaście kroków, gdyż ruiny, tłące się po obu stronach ulicy przede mną, emanowały piekący żar, a nawierzchnia, zavalona fragmentami płonących mebli, sprzętów i gruzów, stanowiła rozpaloną blachę. Widziałem jednak dom Sulpicjusza. Poznałem go dzięki kolumnie greckiej, którą sprowadził z Peloponezu. Prawie wszystkie szczątki budowli okryte były czarną spalenizną, a ta kolumna, dziwnym zrządzeniem losu czy bóstw płomieni, zachowała swoją śnieżną biel, górując nad zgliszczem niby srebrny szpikulec przy domowym ogniu nad kupką węgla drzewnego. Prócz niej zachował swą żółtą barwę tylko mały występ kryptoportyku. Dźwigał człowieka siedzącego ze spuszczonej nogami, i czytającego w skupieniu zwitek pergaminu oświetlony resztką pożogi buzującej przed Pons Agrippae. Wyteżyłem wzrok. Gdyby nie szata - ulubiona błękitna tunika Sulpicjusza, oblamowana złotym meandrem - nie rozpoznałbym go, bo nawet włosy, czarne kręcone kudły, były teraz bielusieńkie od siwizny lub od popiołów. Jakim cudem przetrwał to piekło bez szwanku, zdolny czytać?

Kiedy dzisiaj wspominam tamtą chwilę - mam uczucie, że wspominam sen, co prawem nocnej mary niewiele miał wspólnego z rzeczywistością. Wokół snuły się dymy i płomienie, wiatr odsłonił gwiazdziste niebo, wyganiając brunatną zawieszinę pogorzeliśka, cała scena zdawała się bajką pełną milczącej poezji katastrof, które przekreślają świat. Jak okiem sięgnąć - umarło życie, wszędzie leżały trupy i zwęglone szczątki luksusu, a on przycupnął spokojnie na kruszącym się fragmencie muru niczym w fotelu hebanowym i czytał z uwagą jakiś tekst, demonstrując swym skupieniem zimną pogardę wobec fatum i całkowitą obojętność wobec zagłady otoczenia. Patrzyłem, nie mogąc tego pojąć. I wtedy pamięć mi drgnęła, jakby trącił ją demon wspominków. Przypomniał mi się moment, kiedy Fulwiusz odwiedził nas u Sulpicjusza, a późnym wieczorem siadł wraz z poetą w triclinium, by prowadzić tajemniczy dialog sam na sam. Raczyli się winem. Idąc spać mijałem triclinium i przez szparę kotary dobiegło mnie tylko jedno zdanie parsknięte głośno wargami Sulpicjusza:

- Oczekujesz dla nas dwóch łaski od świata, jakbyśmy ty i ja należeli do niego! Człowieku!...

Myślę dziś, że istotnie obaj nie należeli do współczesnego im świata, lecz nie należeli również do tej samej sfery archaicznej, pozamaterialnej, baśniowej, czy jak ją tam zwać - każdy z nich należał do zupełnie innego świata własnych mitów. Ale we wzgardzie Fulwiusza i Sulpicjusza wobec tej codzienności, na którą skazał ich ślepy los, była ta sama wielkość różnie grzesznych tytanów.

Nie pamiętam jak długo stałem, obserwując czytającego przez smużki dymu zakłócające mi widok falowaniem, którym dyrygował wiatr. Chciałem krzyknąć, by zbudzić poetę ze snu zaczytania, lecz nim zdążyłem to uczynić - mnie samego chwycił ciężki sen: rozległ się huk, ściana insuli runęła obok, i straciłem przytomność, bo trzepnął mi głowę kawałek tego gruzu.

Gdy zostałem oducyony wewnątrz willi Fulwiusza - dowiedziałem się, iż Sulpicjusz Classicus nie przeżył. Biała grecka kolumna zwała się nań, kiedy żar sproszkował zaprawę, którą była przytwierdzona w pawimencie atrium. Gdyby przeżył - pewnie ruszyłby wraz z nami ku krańcowi świata. A tak - odjechaliśmy bez niego, też ku krainie cieni, lecz zupełnie innej.

Upłynęło już zbyt wiele lat, i zbyt wiele zdarzeń, by pamięć mogła wszystkie zachować, mimo że te zdarzenia i te lata kształtowały mój los i mój umysł. Zawsze jednak, gdy patrzę w płonące szczapy lub w pogorzeliśko, przywołuję widok poety, który siedział i czytał na wulkanie, jakby chciał odegrać tę starą frazę Horacego:

*„Choćby cały świat płonął i walił się w gruzy,*

*Ów mąż się nie złąknie ni żaru, ni ruin”.*



### III.

Kiedy ja się urodziłem, Imperium było już cieniem Imperium - została tylko metropolia, trochę ziemi wokół (Italia) i nazwa. Północną Afrykę (tudzież Korsykę, Sycylię i Baleary) opanowali Wandalowie. Hiszpanię - Wizygoci i Swebowie, chociaż ci pierwsi coraz bardziej wypierali Swebów. Galię - także Wizygoci, oraz Frankowie i Alamanowie. Całą Sabaudię - Burgundowie. Pannonię - Ostrogoci. Północ i północny Wschód kontynentu - Turyngowie, Longobardowie, Kwadowie, Saksoni, Markomani i jacyś inni Germanie, tudzież Wenedowie, Jutungowie i dzicz sarmacka. Dalmacją rządził wtedy Marcellinus, lecz jakże słaby. Krainy Wielkiego Rzymu, jedna za drugą, odrywały się od jądra, niczym członki od ciała trędowatego, bo też Cesarstwo było już kompletnie przeżarte trędem.

Hordy tej dziczy (mniej lub bardziej ogładzonej, lecz dla Italczyków będącej zawsze tłumem barbarzyńców) kilka razy zdobywały stolicę i łupili ją. Spora grupa królów owych narodów i książąt owych plemion przyjęła chrześcijaństwo, ale to nie przeszkadzało im grabić metropolii (w której rezydowali papież i chrześcijański cesarz), choćby dlatego, że część przyjmowała arianizm lub jakiś inny chrystianizm, a łup to łup. Czasami zostawali sprzymierzeńcami Rzymu jako „*foederati*”, i czasami któryś ich władca zostawał chwilowo cesarzem. Kotłowało się to wszystko bez ustanku, zaś Rzym cierpiał kolejne oblężenia i łupiestwa.

Oblężenie, które już na początku rozświetlił pożar dzielnicy Sulpicjusza, miało być ostatnie. I było ostatnie. Trwało długo, nie wskutek słabości wojskowej agresorów, tylko zbyt dużej liczby sojuszników pragnących dzielić łupy. Zwaliła się i rozsiała wokół Rzymu tak różnorodna zbieranina szczepów, plemion i narodów, że nie mogło być między nimi zgody braterskiej. Każdy chciał oszczędzać krew własną, szafując krwią sprzymierzeńców, a przy dzieleniu skóry na żywym jeszcze niedźwiedziu - z góry wyrwać więcej zdobycznego dla siebie. Klócili się tedy i nie przemęczali atakami, rozumiejąc, że jeśli nie zdrada, strach lub militarna słabość, to głód musi otworzyć im bramy Rzymu.

Była też druga przyczyna, dla której przedłużanie działań wojennych i prac oblężniczych podobało się tym gromadom, a zwłaszcza ich niższemu dowódcom. U barbarzyńców, jak i u Rzymian, nie tylko każdy „*rex*” [\* - Król (łac).] i każdy „*princeps*” [\* - Książę (łac).] był figurą wywyższoną, bo naczelnikiem swoich żołnierzy, lecz i każdy szef drużyny. Jednak u Rzymian oficerowie mieli wpływ identyczny za czasu wojny i za pokoju, byli hierarchami fragmentów regularnego wojska, funkcjonariuszami państwa, na stałym żołdzie. Zaś u barbarzyńców czas pokoju robił się dla oficera, lub dla wojskowego przywódcy klanu, czasem nicości - pierwszy lepszy kapłan szczepowy bądź wiecowy krzykacz znaczył solidniej. Stąd bezkresna, bezterminowa, bezustanna wyprawa zbrojna była dla tych ludzi erą rajy, jak również dla szeregowych drużynników, albowiem wszyscy oni woleli łupić niżli pracować i nudzić się pokojowo. Już Tacyt pisał: „*Nienawidzą spokoju. Nie chcą zdobywać pracą tego, co można krwią zdobyć*”.

Kiedy ludy barbarzyńskie przyjęły (z rozkazu swych władców) chrześcijaństwo, doszły do głosu także interesy kapłanów różnych wyznań, gdyż - jak już wzmiankowałem - narody i plemiona przyjmowały różne kulty chrześcijańskie (arianizm, donatyzm i inne), dla katolickiego Rzymu będące odszczepieńczą herezją. Mściła się teraz wrogość katolickiej Romy wobec półpogańskiej magistratury prowincjonalnej chrystianizowanego Cesarstwa. Papieże i książęta Kościoła nie umieli

zapomnieć dawnych prześladowań ze strony Rzymu pogańskiego, i nie chcieli świeckiej konkurencji do rządów, więc kiedy barbarzyństwo dokonywało parcelacji „*Imperium Romanum*”, znosząc jego świeckie urzędy (strażnice świeckiej władzy) - radował się sekretnie niejeden metropolitalny kapłan. Przestał się radować, gdy barbarzyńscy schizmatycy obiegli stolicę katolicką. Nie wiedział, że oblężenie długo się ciągnie i jest mało szczelne między innymi dlatego, iż „*heretycy*” są podzieleni, nie stanowią wyznaniowego monolitu, a jeszcze współpracować muszą przy obleganiu ze szczepami, jakie kupiły wiarę papieską.

Mieszkałem wtedy w domu Fulwiusza, który bywał u siebie rzadko, bo kierował obroną dużego fragmentu murów fortecznych. Pod jego nieobecność - panem i władcą domu był zarządca majątku trybuna, Rufus Rega. Najbardziej tajemniczy, i chyba najgroźniejszy człowiek, jakiego przyszło mi poznać w życiu moim. Miał ochrypy głos, niski wzrost, lekko zgarbioną sylwetkę, mięśnie stalowe, kamienną twarz bez urody, i oczy kota, zielone, zmienne (raz przymglone, a raz lśniące złowrogo), budzące strach nawet wtedy, kiedy błądziły sennie wokół, jakby dopiero szukając ofiary do zagryzienia. Czasami martwota tego wzroku sprawiała wrażenie, iż Rega jest duchem nieobecny lub głuchy, a komuś obcemu mogłaby nasunąć myśl, iż widzi ślepcę, który nie widzi niczego. Ślepcę i niemowę. Rega bowiem odzywał się rzadko - tylko kiedy musiał. Potrafił milczeć tak znacząco, iż to milczenie krzyżowało rozmówców, i potrafił jednym słowem lub zdaniem przeciąć rozmówcy gardło jak klingą sztyletu. Bali się go wszyscy prócz Fulwiusza.

Był u trybuna nie tylko zarządcą, lecz i sekretarzem („*notariusem*”), i dowódcą przybocznej straży (kilku weteranów o wyglądzie zbójów), i człowiekiem do specjalnych poruczeń (tajemnych misji, rokowań, etc.) - prawą ręką. Szeptano, że jest magiem, astrologiem, czarownikiem, który złym duchom zaprzedał swój straszliwy, heretycki i sprytny mózg. Wielu chciało przejrzeć go lepiej, ale jak można przejrzeć człowieka, który słowa o sobie nie powie, ni o swych zamiarach, pogawędki nie lubi ani biesiady, poufałości unika, nie przypije do nikogo i nikomu się nie uzali, choćby na ból czy na cielesną słabość, małomówny jest i zimny, a wzrokiem przeszywa każdego, jakby znał wszelką cudzą myśl i wszelki sekret? Ludzie noszą płócienne łachy. Rega nosił niewidoczny, lecz odczuwalny pancerz, czy raczej mur z twardych głazów, dzielący go od reszty świata. Iluż mędrców głosiło, że bez względu na liczbę towarzyszących komuś bliźnich - człowiek jest zupełnie sam ze sobą. Każdy to zresztą wie i bez mędrców, bo każdy to czasami przeżywa. Ale tylko widok takich ludzi jak Rufus Rega potwierdza głębszy sens tezy filozofów. Rega był żywym dowodem zupełnego wyobcowania jednostki - mieszkańcem bezludnej wyspy wśród tłumu.

Źle powiedziałem - nie: był; lecz: byłby. Byłby, gdyby nie „*Soter*”, jego pan. Złośliwi zwali Regę: „*psem Fulwiusza*”, choć bardziej niż złego psa przypominał oswojonego wilka, który służy idąc u nogi, ale nie łasi się nigdy, jest dalej skryty po wilczemu, nieufny, czujny, schowany w sobie. Bez chwili wahania poświęciłby życie dla Fulwiusza, co każdy mógł wyczuć, lecz nie zauważyć, bo Rega nie zdradzał tego żadnym gestem - ani demonstracyjnym (lub choćby widocznym) oddaniem, ani jaskrawą (lub choćby oczywistą) wiernością, bądź bezgraniczną (lub choćby dostrzegalną) miłością we wzroku. Tedy nie źrenice, i nie koścista twarz, nie mimika czy sposób zachowania, reagowania, mówienia, tylko jakaś dziwna, racjonalnie nieuchwytna, niediagnozowalna aura wokół Regi wpajała każdemu pewność, iż dałby się pokroić dla Fulwiusza, i że człowiek, który podniesie na trybuna rękę, zapłaci za taki ruch amputacją, oczywiście przy dużej dozie szczęścia, to jest gdyby mimo wszystko przeżył.

Rychło zrozumiałem, że obaj myślą identycznie i chwytają między sobą w lot każdą sprawę, dzięki czemu Rega może kwitować plany, rozkazy czy nawet dłuższe wynurzenia swego pana monosylabami lub skinieniem głową, zaś tamtemu starczy ruszyć powieką, bez słów, by Rega wiedział o co konkretnie i o co dokładnie chodzi. Funkcjonowała tu jakaś instynktowna komunikacja dzikich zwierząt, które nie potrzebują mowy, a czasami nie potrzebują nawet dźwięków, wystarczy gest, ruch, poza czy usytuowanie ciała wobec kierunku wiatru lub załamania terenu, albo tylko krótkie spojrzenie. Zrazu był dla mnie bulwersujący również i sposób, w jaki Rega zwracał się do Fulwiusza. Gdy rozmawiali sam na sam, mówił: „*będziesz*”, „*jesteś*”, „*Fulwiuszu*”, itp., ale przy ludziach zawsze: „*będziesz, panie*”, „*jesteś, panie*”, „*wodzu*”, itp., jakby się bał, że zamiast dawać im lekcję szacunku należnego idolom, ośmielałby do analogicznej fraternizacji z bóstwem.

Czasami, ukryty za kotarą triclinium, podsłuchiwałem dialogi faworyta i pana. Nie sądzę, by wiedział o tym Fulwiusz, lecz Rega wiedział bez żadnej wątpliwości, gdyż miał przenikający ściany wzrok diabła i wiedział o wszystkim co się dzieje w domu. Ale nigdy nie podszedł do kotary i nie przegonił mnie złym słowem. Nawet wówczas, kiedy rozmawiali o papieżu, o cesarzu lub o polityce dworu takimi słowami, że za każde zdanie można byłoby dostać wyrok śmierci bez szans ułaskawienia:

- Jest w nim wszakże coś wielkiego...

- W cesarzu?!

- Ma wielkie stopy. Tak wielkie, że z pewnością nikt nie próbowałby ukraść mu butów, Rufusie.

- Ładne, brawo!... Sam to wymyśliłeś, czy wymyślił to Sulpicjusz?

- Nie wszystkie dowcipy o cesarzu wymyślał nasz poeta.

- Twój poeta, Fulwiuszu, ja go nie lubiłem!

- Ty nikogo nie lubisz, prócz siebie samego.

- Siebie też nie lubię zazwyczaj. Notabene, twój ulubiony rymopis zszedłby trochę wcześniej aniżeli zszedł, gdyby szczury cesarza lub szpicle Quinctusa Gelliusa przewąchały, że to on puścił żart o cesarskim dupsku.

- Który żart? Tyle ich było...

- Ów brzydki żart, czepiający się klienteli dworskiej, cesarskiej politycznej psiarni, tudzież choroby cesarza. „*Cesarz nie może się wypróżnić, bo ma zalizany otwór*”.

- Błaznować łatwo, działać trudno. Ciekawi mnie, Rufusie, czy u góry ktoś się odważy spłodzić coś więcej niż żart.

- Nikt się nie odważy.

- Może jednak...

- Kto, Fulwiuszu? Biskup Senecjon?

- Ten kundel? Nie kiwnie palcem, ma charakter potakiwacza, kocha silniejszych!

- Więc kocha wszystkich.

- A wuj imperatora, Rufusie?

- Nieee... To charakter jeszcze bardziej słaby niż Senecjon. Obelgi przełyka równie łatwo jak surowe ostrygi, nie ma co liczyć na tę kupę gnoju.

- Więc na kogo można liczyć? Przecież nie na Physcona, to łotr!

- Czy ja wiem... Kiedyś był rzeczywiście łotrem, ale się zmęczył, i dzisiaj zło, które praktykuje, to czysta celebrowanie, dla zachowania stylu i dla trwałości wizerunku.

- Bardzo mnie pocieszyłeś, Rufio! Dzięki, łaskawco!

- Nie jestem od pocieszania. Od pocieszania są kobiety.

- Kobiety są od czegoś zupełnie innego, Rufusie.

- Naprawdę!? Daj mi zgadnąć, Fulwiuszu. Od rodzenia!

- Tak mówią natura i wola Boska, a ja mówię o czymś wcześniejszym, niekoniecznie mającym rozrodcze cele.

- Już wiem! O czynieniu głupków z napalonych samców. O kręceniu nimi jak marionetkami. O przyprawianiu im rogów i skłócaniu ich między sobą. I tak dalej.

- Uspokójże się, niewiastobójco! Philomusus identycznie myśli, lecz jemu już dawno nie staje, a ty masz swoje dwie niewolnice, winienesz łaskawszym okiem sumować ich użyteczność. Gdyby przyjąć wasz antyniewieści punkt widzenia, trzeba byłoby uznać, że konie są od wierzenia, zaś ptaki od srania człowiekowi na głowę.

- Ptaki są od dziobania ziaren zbożowych, a konie są od jedzenia cukru - sprzeciwił się drwiąco Rega.

- Od tego jest nadworna sytuacja cesarskich dupolizów, Rufusie. Quintus Gellius, Senecjon, Physcon i cała reszta tej bandy. Zawsze byli od wazelinowania i skubania cesarza.

- A cesarz od czego?

- Cesarz? Od karmienia ludu własną pierśią, czyż nie taka jest święta powinność władców? Nasz tego nie robi tylko dlatego, że mu obwisły cyce ssane łapczywie ryjami dworaków i krewnych. Chcą mu się teraz odwdziżyć, wybraniając przed łapczywością barbarii wbijaniem klinów pomiędzy

wodzów plemion!

- To nic nie da, Fulwiuszu.

- Skąd wiesz?

- Z liczenia. Jest ich dużo, labirynt może się okazać zbyt rozległy i zbyt chłonny. Nie łudź się, to ostatni miesiąc lub ostatni kwartał ostatniego cesarza Rzymu. Kolejnego cesarza już nie będzie, bo tak wielka liczba chętnych nie wyłoni jednego pretendenta, zagryźliby się wzajemnie jak wściekłe psy. Podzielił Italię na ochłapy, kiedy tylko jego podzielił na kilka skrwawionych farfocli. Nie dogada się! Biedny dureń... Chciał być bogiem, niczym August lub Tyberiusz, już się deifikował. Dziś jest klientem. Jutro będzie skazańcem. Piękny koszący lot z nieba ku grobowej jamie w piachu!

- Ciekawe o jakim niebie gadasz, Rufio?

- Mówię o mentalnej autodeifikacji. Gdy tylko los, czyli papież, wykatapultował go na szczyt, ten głupek poczuł się tak już skrępowany swą ludzką cielesnością, że wewnętrznie przeistoczył się w półboga, zewnętrznie, wobec świata, grając tylko archanioła-rycerza, który dla wzmożenia swej nadludzkości, wzmożenia prowadzącego do statusu pełnych bogów, potraktuje barbarzyńców jak jedną wielką bestię, czyli rozetnie jej brzuch, by uwolnić stamtąd ofiary łakomstwa smoczego. A tu kłopot - barbarzyńcy i eks-barbarzyńcy liczą już tyle plemion i narodów, że teraz nie wiadomo komu się stawiać, a z kim układać. Wysokość liczby przerosła bezmiar ambicji i sprytu. Zresztą choćby dokonał cudu i jakoś ułagodził wszystkich, za wyjątkiem jednego - tego jednego, głównego, nie ułagodzi żadną daniną prócz ciała Juliusza Fulwiusza Corwinusa. A na to nie pozwoli mu twój legion i reszta żołnierzy broniących grodu. Pech.

Takie dialogi mogły zdumiewać, gdyż były dowodem, że ten mruk, monosylabista, umie żartować luzacko; więcej - umie mówić! Rozumiałem o czym mówił, kiedy wspomniał o „jednym, głównym” i o ciele „Sotera”. Napomknął o germańskim wodzu, królu Mangerze, i o bitwie sprzed lat, pod Carnuntum, z Turyngami, Kwadami i Herulami. Króla Mangera mieniono „Wielkim Kwadem”, gdyż został władcą tych resztek Kwadów, które nie wyemigrowały za Wandalami do Hiszpanii, lecz trwały w starych siedzibach Swebów i przyjmowały patronat coraz to silniejszych Longobardów. Władzał kilkunastotysięczną garstką, jednak przez swój spryt miał mir pośród wszystkich germańskich plemion. A Fulwiusz był wtedy legatem północnych legionów i jako „*magister militum*” dowodził całą rzymską armią. Usytuował swą piechotę między dwoma wzgórkami, na łagodnym wgłębieniu terenu, które przypominało wklęsłość między piersiami kobiety. Manger wziął to za głupotę, za szczęśliwe zrzędzenie losu, gdyż ciasny szyk Rzymian dawał większą szansę powodzenia nowej sztuczce wojennej barbarzyńców. Popędzili ku Rzymianom ogromne stado wołów i turów, które miało wbić wojska Romy w ziemię pannońską. Lecz Fulwiusz to przewidział, lub może miał wiadomość od szpiega czy zdrajcy. Nim gnające stado dobiegło połowy dystansu - z obu wzgórków toczyć się zaczęły ku środkowi równiny wielkie pnie, obwiązane pakułami, które nasączono greckim płynem gorejącym i zapalono. Turlające się rulony ognia wstrzymały zwierzęta, uderzyły w nie, skotłowały front i zmusiły resztę do odwrotu - do panicznego cwału ku hordom barbarzyńskim. Germanie mieli za plecami rzekę, więc ci, których nie stratowało stado, rozprysnęli się na boki, ale

wówczas spoza wzgórków, z obu stron, walnęła je szarża kawalerii rzymskiej i wpędziła pod tarany piechoty Fulwiusza. Kontrszarże jeźdźców germańskich nic nie dały; kaleczone przez „*diamenty*” legionowych tarcz flankujących zwarte kolumny Rzymu, sieczone gradem strzał, włóczni i kamieni z proc - poszły w rozsypkę także. Później była już tylko rzeź barbarzyńców - ostatni znaczący triumf militarny Cesarstwa. Król Manger przeżył to piekło, ale utracił pod Carnuntum wszystkich czterech swoich synów, i przysiągł, że nie spocznie póki nie dostanie Fulwiusza oraz jego cesarza. Ów cesarz zmarł wkrótce wskutek zwykłej grypy, lecz Fulwiusz żył, i Manger myślał o nim każdego dnia, bo każdego dnia opłakiwał synów. Trwało długo nim zjednoczył sto plemion, jednak zrobił to, i teraz, jako główny wódz sprzymierzeńców - miał Rzym tudzież Fulwiusza w zasięgu pięści. O tym napomknął Rufus Rega.

Gdybym nie podłuchiwał - również bym wiedział, że ten codzienny milczek umie dużo i gładko mówić. Wiedziałbym dzięki prośbie, z jaką udałem się do niego. Przyjął mnie wewnątrz swej komnaty, gdzie prócz łoża, stołu, ławy i biblioteki widniała jedna duża skrzynia (ubraniowa), która nikogo nie obchodziła, i jedna mniejsza, która bulwersowała wszystkich, bo - jak szeptało pomiędzy służbą - trzymał tam przyrzędy astrologiczne, tabele horoskopów, i mikstury oraz amulety do praktykowania czarów. Kazał mi usiąść na ławie. Usiadłem, a on, miast zapytać co mnie przywiodło, rzekł bez wstępu:

- Wiem z czym przychodzisz, lecz powiedz sam.

Nie dziwiło mnie, iż wie z góry - czarnoksiężnicy wszystko wiedzą.

- Panie... - wymamrotałem. - ... Panie, medyk szlachetnego trybuna nie umie wyleczyć mego mistrza...

- Nie wyleczy - odparł spokojnie Rufus.

- I ten drugi, którego sprowadził szlachetny trybun, tak samo nie daje rady chorobie...

- Wiem. Żaden nie da rady. Nie wyleczą Philomususa, bo ta choroba to śmierć. Twój mistrz umiera, Kaiusie. Rana, którą odniósł, gdy czmychał z pożaru, przyspieszyła to.

- Więc ty go uzdrów! - krzyknąłem, wycierając łzy.

- Jak?

- Przecież jesteś magiem, możesz wszystko!

Nie uśmiechnął się, lecz w jego zielonych oczach mignął cień gorzkiego uśmiechu:

- Nie jestem magiem, chłopcze, ani nie jestem znachorem, ani gwiazdarczem, ani wróżbitą. Słyszałeś durne plotki.

- To skąd wiesz, panie, że Philomusus umrze na pewno?!

- Umrze na pewno każdy, ty również, synu, a przed tobą ja. On umiera, bo jest wystarczająco sędziwy, by pójść do krainy duchów.

- Myślałem, że wiesz to dzięki gwiazdom, że zrobiłeś jego horoskop, panie...

- Nikomu nie stawiam horoskopów, nie bawi mnie astrologia.

- To... to czemu wszyscy mówią tutaj, że trafnie przewidujesz przyszłość, i że zgadłeś wiele razy?

- Synu, jeśli tydzień temu powiedziałem, że dzisiaj będzie padał deszcz, to nie znaczy, że deszcz pada dzisiaj dlatego, iż ja tak powiedziałem. Udaje mi się czasami celnie przewidzieć coś, choćby różne zdarzenia, ale to tylko kwestia dobrego wzroku, rozumu, znajomości ludzi i mechanizmów polityki. Patrz na wypadki i na ludzi, nie na gwiazdy.

- Ludzie zdrażliwi są! - szepnąłem.

- Los jest bardziej niestały, przyjemność mu sprawia wywracać wszystko co za trwałe człowiek uważa lub trwałym chciałby mieć. Cóż zdrażliwszego nad fortunę? Fata nasze to ród kobiecy, zmijii łatwiej zawierzyć można niżli wyrokom losu. Zważ, że nie mówię: wyrokem gwiazd. Wyrokem losu.

- Czyż nie to samo mówią wróżbici, panie? Też mówią, że wszystkim rządzi los.

- Coś całkiem innego przez to rozumieją: nieodwracalny zapis twego losu. Astrologowie gadają, że wszystko jest ściśle zapisane w gwiazdach, a wróżbici, że na skórze spodu twojej dłoni. Wszystko, całe twoje życie, więc nic nie możesz zmienić, choćbyś się bardzo starał. Myślę, Kaiusie, że jedni i drudzy bredzą. Życie to błąd, bubel, zły wyrok, który otrzymujesz przy urodzeniu, ale żyjąc możesz ten błąd naprawić, trzeba tylko próbować. Niektórym się udaje. Licho wie ile tu zależy od szczęścia, a ile od charakteru.

Wręczył mi serwetę, mówiąc:

- Otrzyj łzy.

Gdy to zrobiłem, zapytał:

- A teraz powiedz mi, kto ci mówił, że jestem czarnoksiężcą. Ktoś ze służby? Kto taki, synu?

- Nie pamiętam - bąknąłem.

- Kłamiesz.

- Nie jestem delatorem, proszę pana, nie powiem tego!

Zamilkł. Milczeliśmy obaj, aż słyszałem tłuczenie mego serca w głębi torsu. Przez prawie całą naszą rozmowę miałem spuszczone oczy, nie patrzyłem mu w twarz, lecz teraz, zdziwiony, że przestał mówić, uniosłem wzrok i spojrzałem na jego oblicze.' Zobaczyłem zimną płaszczyznę z dwiema

lśnjącymi dziurami, podobną do groźnych masek, które się wkłada dla ulicznych igrców, luperkaliów albo juwenaliów, i przerażony odwróciłem spojrzenie w bok. Padło na mniejszą skrzynkę, stojącą blisko rogu komnaty, a wtedy się odezwał:

- O tym kuferku też słyszałeś?

- Tak, panie.

- I co o nim mówiono?

- Że... że jest ci, panie, potrzebny...

- Tu nie zmyślano. To jest istotnie bardzo potrzebna mi skrzynia... Trzymam w tym mebelku wszystkie niepotrzebne rzeczy.

- Po co? - zapytałem.

- Bo rzeczy długo niepotrzebne - czasami okazują się w przyszłości użyteczne, synu. Inni je wyrzucają, lub gubią, lub niechają wśród śmieci, o których się zapomina, lecz nie jest dobrze, kiedy wszystko robisz tak jak inni. Gdy myśli się tylko jak reszta, robi się błędy powszechne. Myśl samodzielnie, wyszukuj własne sposoby, własne rozwiązania, które są lepsze od głupot. Na przykład kiedy kłamiesz, nie morduj prawdy do imentu, jak to czynią różni. Kłamstewko jest wiarygodne wtedy, gdy zawiera trzy czwarte prawdy, Kaiusie. Głupcy ulegają złudom, które wydają im się oczywistymi, sensownymi, by jedynie małpować, miast szukać tego, co przez swą nietypowość może być bardziej skuteczne. Weź choćby demonstracje tłumu. Tłum się zbiera, kipi, idzie pod schody Senatu, pod pretorski urząd, czy nawet pod cesarski pałac, i co tam robi? Ryczy, wrzeszczy, klnie, pomstuje, wygraża i żąda, zaś władza albo to przeczekuje bez frasunku, albo znużona tym wyciem rzuca straż lub kohortę pretorianów i rozpędza gawieź. A teraz wyobraź sobie, że wielki tłum, który stoi u czyichś bram, milczy...

- Jak to, milczy?... Tłum milczy?! Tłum wściekłych ludzi?...

- Wyobraź sobie. Milczy głucho, jak niemowa. Ocean łbów, gęstwa między pierzejami placu tudzież w ulicach sąsiednich - i wszyscy ponuro milczą, patrząc na bramę. Cisza taka, że przelatującą muchę usłyszałbyś równie dobrze jak tę zbiorową wściekłość i zaciętość. Długo byś wytrzymał to milczenie, czuwając wewnątrz oblężonego gmachu? Dopadłby cię strach tak świdrujący, że zamiast przywoływać wojsko, spełniłbyś wszelkie żądania tłumu. Lecz tłum jest zbyt głupi, żeby to wymyślić, a jest głupi dlatego, że składa się z głupców. Omijaj tłum bezmyślnych, Kaiusie, wynajduj skuteczność.

Nie wiedziałem co mam rzec. Siedziałem ze spuszczonego wzrokiem, i znowu była cisza taka, że ową „muchę przelatującą”, choćby przelatującą po drugiej stronie ściany, można byłoby usłyszeć równie dobrze jak konfuzję pulsującą mi w mózgu. Chciałem już wstać, aby wyjść, gdy to on wstał i podszedł do owej skrzynki zawierającej „wszystko co niepotrzebne”. Chwilę się namyślał i wyjął szklany dzbanek pełen mielonego pieprzu, z którego, nie wiedzieć czemu, wystawał przez szyjkę



Isniący tuscum sznurek, rozcapierzony u krańca.

- Spórz, Kaiusie, oto włanie wynalazek, choć nie mój.
- Metoda konserwowania pieprzu?...
- To nie pieprz.
- Zatem to jest, tak jak gadają...

Ugryzłem się w język, a Rega dokończył:

- ... ten czarodziejski proszek zielarza Rufusa! Tak się gada! Nie, synu. To czarny proszek skośnookich żółtoskórców, którzy mieszkają na drugim krańcu kuli.

- Jakiej kuli, panie?
- Ziemskiej kuli, chłopcze. Niektórzy mędrzy wiedzą już o tym. Nie mówił ci Philomusus?
- Nie, panie.

- Widać nie ufa Eratostenesowi z Cyreny i Ptolemeuszowi Klaudiuszowi, którzy o tym piszą. Lub może woli nie zawracać twej głowy Ziemią, byś szybował tylko w przestworzach filozofów?... Ale zejdźmy na deptaną ziemię, Kaiusie. Kupiłem ten proszek od Huna, który przywiózł go z dalekich Indii. Ci Azjaci mają wiele rewelacyjnych pomysłów, choćby sposób trzymania się mocno w siodłach dzięki wspieraniu stóp o zwisające rzemienie, do czego chcę przekonać naszego pana, trybuna Fulwiusza, który wszakże ma teraz głowę zaprzątniętą czymś innym, obroną murów Rzymu. Ten dzbanek nie wystarczy, aby obronić nasze miasto, jednak pół tego dzbanka starczy, by jednym ruchem zniszczyć pół tego domu, Kaiusie.

- I ty znasz takie zaklęcia, panie, które mogą to sprawić?

- Nie trzeba tu zaklęć, chłopcze, wystarczy przypalić ten sznur. Pokazuję ci dlatego, żebyś pamiętał, iż nie warto doszukiwać się czarów we wszystkim czego nie rozumiemy.

- Zapamiętam, panie.

- To przy okazji zapamiętaj również, że nie we wszystkim co się zdaje człowiekowi cudowne należy doszukiwać się cudu Bożego.

Schował dzbanek wewnątrz kufra i wyjął stamtąd krótki flet, dubeltowy jak grecki aulos, lecz nie rozszczepiony w literę V, bo obie tulejki były złączone, a jedna miała ustnik trochę dłuższy. Podał mi instrument, mówiąc:

- Weź. To dla ciebie.

- Nie umiem grać, proszę pana... Ale... mogę się nauczyć...

- Nauczyć się grać nie jest zbyt trudno. Dużo trudniej nauczyć się zabijać, synu.

- Nie chcę nikogo zabijać, nie będę zabijać! - oznajmiłem, unosząc głos.

- Nikt poczciwy nie lubi zabijać, chłopcze, ale życie nie pyta, tylko czasami zmusza. Łajdaków wszędzie jak odchodów przy gościńcu, nie zliczysz. Trzeba się niekiedy bronić, dlatego ci to daję.

- Mam się bronić grając?

Nacisnął krótszy ustnik. Z drugiego końca fletu wyskoczyła lśniąca klinga noża, szybka jak łeb żmiji w ataku, metalicznie dźwięcząc.

- Więc to sztylet! - krzyknąłem. - Piękny!... Jak go teraz schować?

- Czubek ostrza postaw na czymś twardym i mocno wciśnij rękojeść do dołu. Druga tuba to prawdziwy flet, możesz nim grać.

- I mogę to sobie wziąć?

- Dałem, jest twój.

- Dzięki ci, panie!

Byłem tą prześliczną a groźną zabawką uradowany niby maluch, który dostał figurkę legionisty, czy jak siostra tego malucha z powodu nowej lalki. Parę razy wycisnąłem i schowałem klingę, nie mogąc się nacieszyć świstem uwalnianego ostrza, a później dmuchnąłem w drugą tulejkę, dobywając miękki ton muzycznego dźwięku. Rega przyglądał mi się bacznie szmaragdowymi ślepiami. Ocknąłem się pod wpływem tego wzroku i wykrztusiłem:

- To... to chyba... pójdę sobie już...

- Nim pójdziesz, powiedz mi jeszcze coś - rzekł Rega.

- Tak, panie.

- Powiedz mi, Kaiusie, czego pragniesz w życiu.

- Szczęścia - palnąłem, ani się namyślając.

- Szczęścia zaznasz, jak i każdy. Ale nie utrzymasz go, choćbyś się bardzo starał.

- Czemu?

- Bo nikt nie utrzyma cienia, kiedy zachodzi słońce.

- Utrzyma, kiedy łuczycywo sobie zapali! - wymyśliłem bez trudu.

- Inny to już cień, bo ze światła sztucznego. Aleś sprytnie odpysknał, i właśnie to winieneś w sobie kształcić.

- Sztukę odpyskiwania?

- Sztukę myślenia. Ją winieneś ścigać przez całe życie.

- Tę wskazówkę, panie, ciągle mi wpaja Philomusus.

- I dobrze robi, aczkolwiek jemu idzie o dzielenie mózgiem włosa na czworo, co zawsze było ulubionym sportem filozofów, gdy ja polecam ci praktyczną użyteczność wynikającą z myślenia.

- Tak też pojąłem, panie, wszystko to, co wpajałeś mi przed chwilą. Myśleć samodzielnie, by wynajdywać.

- Nigdy dość powtarzania rzeczy słusznych. Mówię ci tedy raz jeszcze: pragnij rozumu, mądrości, która co prawda bezbłędna nie bywa, bo przeszkadza jej ludzka słabość, ale wyższość nad głupcami daje, i łagodzi wszelaki ból, kiedy wspomogą ją czas. Lepiej i dalej widzieć można, gdy własna głowa przyświeca w ciemnym korytarzu.

Słuchając go, zrozumiałem wreszcie o co tu chodzi, i czemu się tak rozgadał wbrew swej milkliwej naturze. Wiedząc, iż Philomusus osieroci mnie wkrótce swą śmiercią - Rega postanowił przejąć rolę mistrza, przybranego ojca, by niesforny szczeniak miał wsparcie w kimś dyscyplinującym głupie młodzieńcze bunt. Udowodnił mi jednakowoż tą chęcią, że niesłusznie podejrzewają go, iż jest wrożem, dla którego przyszłość nie ma tajemnic. Nie przewidział bowiem, że Philomusus szykuje mi już swojego następcę, nowego (i to formalnego!) opiekuna, którego twarda pięść lepiej niż starcza dłoń filozofa trzymała będzie smycz.

Kilka dni po tamtej rozmowie Philomusus zażądał widzenia z panem domu, ale Fulviusza, jak zwykle, nie było, gdyż większość czasu spędzał wśród swoich legionistów na murach obronnych. Przybył kolejnego dnia, wczesnym przedpołudniem. Mijając tablinum, klepnął ramię Regi i zapytał:

- Wszystko w porządku, Rufio?

- Wszystko, prócz zdrowia Greka, panie. A u was?

- Wciąż nie szturmują. Czekają, budują maszyny, więc i my czekamy, i oliwimy maszyny, trzeba być gotowym zawsze.

Służba zdjęła mu blachy, odpiął miecz i pas, wziął kąpiel zimną, zmienił szaty i sandały, i przez rozcięcie kotary zerknął do izdebki Philomususa. Wiedział, że mój mistrz jest posunięty w latach i słabuje wskutek rany, ale nie wiedział, że umiera, dlatego gdy zobaczył wyschnięty łachman ludzki, musiał się przerazić, bo szepnął Redze:

- Czerstwiejszych starców widywałem na marach!...

- To są właśnie mary, on kona, wodzu... - rzekł Rega równie cicho. - Jeśli oblężenie się przedłuży do zimy, będziemy widywać na marach czerstwiejsze dzieci, które padną z głodu.

- Niekoniecznie, bo handel wciąż trwa, może da się ich skłócić i odejść.

- Choćby niektórzy odeszli, Manger nie odejdzie!

- Więc może przyjdzie pomoc Konstantynopola.

- Nie przyjdzie, wodzu... Bizancjum ma teraz na swym karku Syrię, Scytów, Wandalów i wskrzeszonych Hunów, jakichś azjatyckich bękartów Hunów, trapi się o własny los.

- Ale to przynajmniej zdejmie nam z karku Wandalów.

- Nie zdejmie, bo między Konstantynopolem a Wandalami trwa tylko wojna morska. Czy ktoś chciałby brać miasto Rzym flotą?

- Nie kracz już, puchaczu! Starczy!

Po tych słowach Fulwiusz zerknął jeszcze raz przez rozcięcie, westchnął, uchylił płótno, i różnym krokiem wszedł do izby.

- Jak zdrowie twoje, mądralo?... - zapytał, siląc się na wesołość.

- Jak widać - mruknął Philomusus, też próbując przywołać uśmiech.

Mówił głosem bardzo wątlym, nie bez trudu, lecz wyraźnie - słysząc było sylabę każdą.

- Już nie wstanę, drogi gospodarzu - oznajmił Fulwiuszowi.

- Przestań, nie pleć, grecki zrzędo! - machnął ręką trybun. - Jeszcze będziemy śpiewać razem na weselu Kaiusa.

- Zrobisz to za nas dwóch, bo ja będę daleko.

- Wybierasz się gdzieś, Greku?

- Do Elizjum, panie.

Fulwiusz chciał znowu coś parsknąć, lecz powstrzymał go wzrok Philomususa. Rzekł głosem łagodnym i smutnym:

- Gdzie to jest, starcze?

- Hezjod i inni poeci mówią, że to wyspy dusz szczęśliwych przy brzegu morza. Tam odpocznę, Fulwiuszu, dobrze cię wspominając.

- Przy brzegu którego morza?

- Nie wiem.

- A gdybyś mógł sobie wybrać, Greku? Pewnie jakąś zatokę egejską...

- Nie zgadłeś, wybrałbym brzeg Kartaginy.

- Kartaginy?! - zdziwił się „*Soter*”. - Dlaczego?

- Bo tam, w Afryce, spędziłem młodość, miałem tyle lat co Kaius dzisiaj. Kartaginę zwali wtedy Wielką Konstantyną. Pamiętam ten skwar zlepiający niebo i ziemię. Było dużo cieplej niż tutaj, tu jest mi zimno, Fulwiuszu... Stuletnie oliwne drzewa rosną tam wśród ruin, budynki dotykają plaż, morze pieści stopy, zaś piasek sandały, a wszystko ma kolor ochry i pachnie młodością, chociaż dookoła tyle rzeźb sprzed wieków... Byłoby mi tam dobrze...

- Więc załatwimy ci to, przyjacielu - powiedział trybun.

- Nie jesteś aż tak wszechmocny.

- Lecz Rufus jest, to mag, słyszałeś chyba, że może zrobić wszystko.

- Ty możesz zrobić dla mnie jedno, wodzu...

- Mów, Philomususie.

- Proszę cię, byś usynowił Kaiusa.

„*Soter*” zdębiał. Zatkaną go, jakby mu knebel włożono do ust. Nie widziałem jego twarzy, bo stałem z tyłu, ale jej wyraz malował się także na potylicy i na plecach - czułem ten szok.

Philomusus zaczął tłumaczyć:

- On cię kocha jak syn, Fulwiuszu. Jest sierotą i potrzebuje ojca...

- Będę mu opiekunem, przyjacielu - wykrztusił wreszcie trybun. - Zastąpię mu i ciebie, i ojca, zrobię co trzeba, lecz...

- Trzeba tu tylko, żebyś dokonał adopcji. Adopcji wedle prawa rzymskiego, panie. Rzym pełen jest dzieci adoptowanych, praktykujecie ten zwyczaj już kilka wieków, niektórzy adoptują starszych niż...

- Dla przelania praw majątkowych! - odezwał się głucho Rega, który stał w wejściu razem ze

mną.

- Nie tylko. Również dla podtrzymania rodu, dla następstwa, dla kontynuowania tradycji, dla wielu przyczyn. Marek Aureliusz nie byłby cesarzem, gdyby nie został w młodości adoptowany przez cesarza Antoninusa. Taka jest prawda. Więc jak, Fulwiuszu?

- Cóż... - zawahał się „Soter”. - Wiem, że Kaius potrzebuje opieki...

- Tak jak ty potrzebujesz mieć syna! - stwierdził Philomusus. - Chcę uszczęśliwić nie tylko jego, lecz i ciebie. Wątpię czy się kiedykolwiek ożenisz, bo jako wyklęty przez wszystkich mężów „mąż wszystkich żon” - nie musisz, nie chce ci się. Więc nigdy nie będziesz miał dziecka z prawego łoża, nie będziesz miał formalnego następcy. Możesz mieć inaczej, bez ożenku...

- Nie dokonam tej adopcji! - przerwał mu twardo „Soter”. - Podopiecznym mogę się opiekować równie troskliwie jak synem, to nic nie zmienia.

- Czego ty się boisz, wodzu? - spytał mój mistrz.

- Boję się, że tak dorosły syn będzie mnie bardzo postarzał! - burknął trybun, próbując opędzić się żartem.

Lecz Philomusus nie ustąpił:

- Wielu adoptuje starszych od siebie, to tradycja Rzymu...

- Ale nie obowiązek Rzymu! - warknął Rega spoza pleców swego pana.

- Są inne obowiązki, które właśnie dzisiaj was dotyczą, oraz przywileje, które dziś mnie dotyczą - bronił się Philomusus.

- Co masz na myśli? - spytał „Soter”.

- Czyż nie trzeba spełniać ostatniej prośby konającego?

- Ostatnią prośbę skazańca również. Ale nie wolno mu wtedy żądać ulaskawienia, Greku! - wtrącił się znowu Rega. - Żądasz od szlachetnego trybuna nazbyt dużo! Żądasz rzeczy niemożliwej!

- Rufusie, milcz! - skarcił go trybun. - Nie potrzebuję adwokata do tej sprawy.

- Do tej sprawy potrzebujesz tylko prefekta, który przy świadkach stwierdzi usynowienie, podpisze właściwe pergaminy i wycisnie godło miasta plus godło Imperium - rzekł mój mistrz.

- Odmawiam! - uparł się „Soter”. - Bardzo lubię Kaiusa, i mogę ci przysiąc, że zadbam o niego jak rodzic, więc nie trzeba tu formalnych aktów. Dixi! \* [\* - Powiedziałem; tak zdecydowałem (łac.).]

Przez moment panowała niezręczna cisza, aż Philomusus westchnął:

- Zawiodłem się na tobie, Fulwiuszu...

- Ja też, ale już od paru lat nie dręczy mnie to - wzruszył ramionami „*Soter*”. - Straciłem złudzenia i przestałem górnolotnie marzyć. Teraz chodzę po ziemi i jest mi lżej.

- Kiedyś spoczniesz w ziemi, ale nie będzie ci tam lżej, gdy za dnia zmarłych nikt nie przyjdzie na twój grób, by postawić czarkę wina i odmówić Modlitwę Pańską. Nie chcesz mieć kogoś takiego, trybunie?

- Nie chcę mieć nikogo, kto robiłby to z rodzinnego obowiązku. Wolę, aby robił to z przyjaźni i z wdzięczności serdecznej.

- Niech i tak będzie. Wybacz, że suszyłem ci głowę nachalnością niegodną filozofa. Zachowałem się jak kleszcz, pierwszy raz w życiu. I ostatni.

- A ty mi wybacz, że nie spełniam twojej prośby. Możesz być jednak pewien, Greku, że uczynię dla Kaiusa tyle, ile uczyniłbym dla syna rodzzonego.

Tej wymiany zdań słuchałem z sercem coraz mocniej dudniącym. Było mi głupio, i było mi słodko, aczkolwiek cały czas było mi smutno, iż Philomusus wita już swoje Elizjum. Kiedy Fulwiusz pożegnał filozofa i wyszedł, usunąłem się do przedsionka. Tam, stojąc za kolumną, słyszałem jak Rega mówi:

- Lubię tego Greka, ale nie lubię gdy stosuje sztuczki hipokrytów!

- Nie było w jego prośbie hipokryzji, tylko troska o Kaiusa... - sprzeciwił się „*Soter*”.

- Był hipokrytą kiedy mówił o dniu zmarłych i o modlitwie Pańskiej, jakby stanowiła dlań świętość, choć wcale nie wielbi Chrystusa. To poganin, wyznawca greckich bogów.

- Kto ci o tym doniósł, Rufusie?

- Mój nochal.

- Masz za długi nochal. A krzyża nie masz wcale, ani na sobie, ani wewnątrz swej izby, więc może przyganiał kocioł garnkowi, łaskawco? Do świątyni też nie biegasz...

- Ale i nie gędzę o Modlitwach Pańskich, myśląc przy tym o greckim Elizjum miast o niebie Jezusa Nazareńskiego. Nie mydlę nikomu oczu.

Trybun już jakby nie słuchał - zastanawiał się. Rzekł po chwili:

- Sprowadź mu kapłana, może trzeba.

- Nie prosił o to.
- Sprowadź!
- Tyś rozkazał, panie!

Rega uklonił się nisko jak stajenny sługa i odszedł, a Fulwiusz ruszył ku atrium. Wtedy, poruszony tą wymianą zdań, wróciłem do komnaty mego mistrza i zobaczyłem, że ma przymknięte powieki. Myślałem, że zasnął, lecz otworzył wzrok, kiedy tylko usłyszał szurgot moich sandałów.

- Mistrzu... - szepnąłem.

- Mów głośniej, Kaiusie, słuch mi już... już mi trochę niedomaga.

- Mistrzu, czy ty wierzysz?

- Wierzę w rozum, chłopcze, mówiłem ci o tym często.

- I modliłeś się ze mną bardzo często, mistrzu, stojąc przy mnie, ale głośno modliłem się tylko ja. Nigdy wówczas nie widziałem, byś i ty klęknął, i nigdy nie słyszałem twoich modłów.

- Mówiłem ci, Kaiusie, że mam schorowane kolana...

- Tak mówiłeś, mistrzu. Ale nie masz schorowanych ust. Więc teraz powiedz mi czy wierzysz w Pana Boga.

- Wątpisz, że jestem religijny? Niesłusznie. Każdy człowiek jest religijny, nawet ten, który nie wierzy w żadnych bogów.

- Jak to?

- Po prostu, Kaiusie. Człowiek jest istotą religijną przez sam fakt zadawania sobie pytań o sens życia, albo o sens śmierci, przez samą refleksję nad naturą bytu, przez samo: jakim sposobem, kiedy, gdzie i dlaczego? Starczy raz pomyśleć o moralności - aby z myśli uczynić modlitwę, nieważne, że mimowolną. Starczy raz zastanowić się nad istotą dobra i zła, nad własnym uczynkiem, choćby nieporadnie, prostacko - by poczuć chłód świątyni. Starczy raz zadumać się nad relacją między człowiekiem a człowiekiem, człowiekiem a stadem ludzkim, człowiekiem a przyrodą, bądź choćby nad tajemnicą, która nas wszędzie ściga - by zostać przez chwilę tym, który puka do bram wieczności boskiej.

Zmęczył go tak długi wykład, tedy zamilkł, dysząc ciężko. Mruknąłem:

- Rega podejrzewa cię, mistrzu, że czcisz bogów dawnej Grecji.

Przełknął ślinę i ledwo słyszalnie wymamrotał:



- Grecja już za czasu Hezjoda miała trzydzieści tysięcy bogów! Ja liczyć do tylu nie umiem, a miałbym się do tylu modlić?... Czy przez to Fulwiusz odmówił, kiedy go prosiłem?

- Nie przez to, mistrzu.

Chciał chyba spytać przez co, lecz targnął nim ciężki kaszel, więc wystraszony pognałem szukać domowego medyka, który przybiegł ze służącą i z miksturą.

Kilka dni później mistrz Philomusus umarł. Była wtenczas noc, więc zauważyliśmy to dopiero o świcie. Później, blisko zmierzchu, przybył trybun i długo stał nad wymyłym już ciałem, wpatrując się w twarz zmarłego. Potem kiwnął głową, jakby akceptując słowa usłyszane z martwych ust, a wychodząc stanął na progu i szepnął:

- Niech tak będzie, Greku.

Gdy po tygodniu opuszczaliśmy razem urząd prefekta, wydusiłem z siebie, wciąż zdziwiony nie mniej niż szczęśliwy i dumny:

- Zrobiłeś to jednak, panie! Dlaczego?

- Ojczy! - skorygował.

- Tak, ojczy. Zrobiłeś to. Czemu?

- Słyszałeś jak mówi, że przyssał się niby kleszcz. Kleszcza odczepić trudno.

Mówiąc to, „*Soter*” wręczył mi biały pergamin z tekstem adoptowania, i kładąc rękę na moim ramieniu rzekł już bez kpiny:

- Boleję, synu, iż twój mistrz umarł nie wiedząc, że wypełnię jego wolę. Zdecydowałem się za późno, i teraz mam do siebie żal.

Wówczas kroczący obok Rufus Rega (który był formalnym świadkiem w urzędzie i kontrasygnował pergamin) - wtrącił się ostatni raz między rzymskiego trybuna a „*greckiego mądralę*”, rzucając swym ochrypłym głosem kilka słów:

- Wodzu, masz do siebie niepotrzebny żal... On umarł różnych rzeczy nie wiedząc, ale tę jedną, tu zapisaną, wiedział natychmiast, nie miał cienia wątpliwości, że tak się stanie. Ja zresztą również...

Rozejrzał się, i kilka kolejnych słów rzucił nie trybunowi, lecz gdzieś daleko, w tajemniczą przestrzeń, pod adresem greckiego Elizjum:

- Przewidziałem, że zwycięzysz, Greku! Teraz molestuj swych bogów, żeby zwyciężył Rzym! Oby i ta sztuczka ci się udała...

## IV.

Już dwa miesiące „*Urbs Roma*” [\* - Miasto Rzym (łac).] było otoczone hordami „*Wąsatych*” (Rzymianie wąsów nie nosili, nawet małych; golili się starannie). Tak zwano barbarzyńców podczas każdej o nich rozmowy, jakby wżgarda mogła odmienić coraz trudniejszy los. Cały „*Ager Romanus*” [\* - Otaczający miasto i związany z nim teren wiejski (łac).] był łupem wroga; przywóz żywności został odcięty zupełnie. Jeszcze nie cierpienia, lecz na razie uciążliwości rosły tym bardziej, im niżej w piramidzie mieszkańców spływały kłopoty codziennego życia: od dworu cesarskiego, przez arystokrację, ku „*honestiores*” [\* - Klasa średnia (łac).], aż po plebs. Ludzie - odźwierni, woźnice, skrybowie, ajenci składów komisowych, dzierżawcy publicznych latryn, woźni, właściciele garkuchni i kantorów, kupcy, fryzjerzy, domokrażcy, harfiarze, fleciści, licytatorzy, adwokaci, nauczyciele, stręczyciele, wróżbici, rzemieślnicy, komornicy, słowem wszyscy - wykazywali dwojaką zbiorową aktywność: jedni klęczeli po świątyniach, błagając Niebiosa o ratunek; drudzy wałęsali się ulicami w coraz większych grupach, złorzecząc i klęcząc władze. Straż miejska musiała często rozpędzać tę gawiedź bliską otwartego buntu. Dawniej prowodyrów, wyłapywanych tu i tam, zesłano by „*ad metalla*” [\* - Wysłanie do więziennej pracy w kopalni metalu (łac).]; teraz trzeba ich było upychać po karczerach, gdzie już brakowało miejsca dla więźniów, wskutek łapania złodziei, bo trend kradzieży rozhulał się nie mniej niż spekulacja żywnością. Kar śmierci wcale nie wykonywano, aby dodatkowo nie drażnić ludu.

Chodziłem wtenczas do kościoła mało regularnie, jednak wstępowałem przynajmniej raz w tygodniu, i co niedzielę byłem na mszy. Lecz żadna spośród tych mszy nie utkwiła mi wewnątrz pamięci niezbywalnej, tylko inna, nocna, na którą zaprowadził mnie Fulwiusz. Rzekł któregoś dnia:

- Chcesz iść na mszę nocną, Kaiusie, ze mną i z moimi chłopcami?

- Chcę, ojcze. Ale dlaczego nocną?

- Powody są aż dwa. Nocą nie ma w świątyni wiernych, będzie pusta, tylko dla nas, Kaiusie. I nocą „*Wąsaci*” nie atakują, więc mogę zabrać moich ludzi z murów.

- Cały legion?!

- Tylko cały mój „*ćwierćmanipuł*”, synu. Pójdziemy do pięknego kościółka, gdzie kapłan, wielce świątobliwy Eulogus, jest moim przyjacielem, tak jak był przyjacielem mego ojca. Został kapłanem, kiedy mój stary odbił mu dziewczynę, moją matkę. Potem stary ufundował ten kościół dla Eulogusa, przeznaczając na to swą zdobycz wojenną, i tak spłacił dług. Eulogus utracił kobietę, a zyskał świątynię. Piękna historia, prawda?

- Bardzo piękna, ojcze, ale nie rozumiem dwóch rzeczy. Jak twój ojciec mógł zebrać dużą zdobycz wojenną w młodym wieku? I jak może człowiek świecki dać młodemu kapłanowi świątynię tudzież probostwo? Przecie osadzać i nominować może tylko władza kościelna...

- Wyłożyłem ci to skracając, synku, cała ta rzecz trwała latami. Eulogus, kiedy uzyskał święcenia kapłańskie, został najpierw sekretarzem kardynała Bernardinusa, i razem z nim wszedł do Auditorium

Lateranense, do papieskiej kurii, gdzie urzędował długo. Było tam wielu „*notariusów*” i urzędników, lecz on przejawiał duży talent, mógłby zrobić karierę w laterańskich murach. Nie zrobił, bo podpadł dygnitarzom. Kiedy szefem któregoś audytoriatu kurii mianowano biskupa sardyńskiego, ten przyjechał do Rzymu, ale jako prowincjusz był zielony zupełnie. Papieski dwór i laterański urząd to była dlań „*terra incognita*” [\* - Ziemia nieznana (łac).]. Na izby mu przeznaczone prowadził go Eulogus. Pierwsze pytanie biskupa brzmiało: „- *Ilu ludzi pracuje w kurii?*”. Eulogus odparł: „- *Mniej więcej połowa, ekscelencjo*”. Gdy hierarchowie Lateranu dowiedzieli się o tym, nie strawili szyderstwa, Eulogus został dymisjonowany, wywalono go, dając probostwo najlichszego kościółka, który przypominał szopę, a wówczas mój stary zrobił z tej szopy kamienną świątynię, i to już cała historia, synu. Od tamtej pory Eulogus jest tu audytorialnym banitą. Zwę go wujkiem, co on bardzo lubi... Wie, że przyjdziemy dzisiaj, chociaż go nie uprzedzałem, ale zawsze przychodzimy tego dnia.

- Czemu akurat tego dnia?

- Dzisiaj wypada rocznica bitwy pod Carnuntum. To dla nas święto.

Manipuł tworzyły dwie pełne centurie. „*Ćwierćmanipulem Fulwiusza*”, alias „*półcenturią «Sotera»*”, zwano jego nieformalną gwardię przyboczną - bandę jego najzaufańszych weteranów. Kilkudziesięciu ludzi. Przeszli wraz z nim długi wojenny szlak; zabierał ich ze sobą, jak swoją własność, wszędzie tam gdzie go postawiono, służyli więc i w legionie Germanica, i w legionie Macedonia, i w legionie Adiutrix, w każdym stanowiąc twarde jądro legionu. Zobaczyłem ich pierwszy raz wtedy, kiedy maszerowaliśmy późnym wieczorem do kościółka przy Via Ostensis (daleko, gdyż blisko obwałowań po drugiej stronie miasta). Przyszło ich czterdziestu kilku, prawie sami centurionowie. Młodszy i starsi, biali i ciemniejsi, kruczowłosi, żółtowłosi i czerwonowłosi, rośli i mniej rośli, silnie muskularni i muskularni, prostonożni (piechurzy) i krzywonożni (kawalerzyści) - różni. Lecz to, co ich wszystkich wyglądem łączyło, co ich upodabniało do siebie jak bliźniaków albo sobowtórów - to nie były broje identyczne i broń identyczna, ale sam wzrok. Zobaczyłem w nim coś, co znałem już dzięki promieniowaniu lojalności Regi - oddanie Fulwiuszowi tak sumienne, tak niezłomną dla niego wierność, iż żadna wątpliwość, żadna słabość, żadna troskliwość o własny los lub własny żywot nie znajdowały tam ani krztyny miejsca. Widać było, że umrą bez żalu, jeśli tylko on tego zechce bądź sytuacja tego zechce, że bić się będą z wrogiem sto razy silniejszym, dumni, iż swemu wodzowi służą. Byli jak jeden łam żelaza, bojowy kolec na pięści trybuna, gotów uderzyć każdego.

Bramę do świątyni wieńczył blok trawertynu z przymocowaną płytą marmurową, która mieściła wyryte: „*E MANUBIS*” [\* - Wzniesiony z łupów (łac).]. Niżej czekał starowina wychudły jak Philomusus. Przytulił Fulwiusza, obejmując go drżącymi ramionami, a Fulwiusz ucałował jego dłoń.

- Bądź pozdrowiony, wujku, cieszę się, iż...

Lecz Eulogus mu przerwał:

- Witając brata w wierze, kapłana zwłaszcza, masz głosić: niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

- Na wieki wieków amen, barbarzyńco!

- Widzę, wuju, że trzymasz się równie krzepko co zeszłego lata...

- Bóg wciąż łaskaw, barbarzyńco.

- Czy kiedyś przestaniesz mnie tak nazywać, wuju?

- Zwałem tak już twojego ojca, nie tylko za pochodzenie, i ciebie też będę tak zwał, póki całym swoim sercem nie ukochasz Chrystusa Pana, wyrzekając się pijackiego Bachusa i wszetecznej Wenery! Gdzie żona twoja?

- Jeszcze nie mam, wuju...

- Twoja rodzicielka przewraca się w grobie!

- Ale mam już syna.

- Cały Rzym wie, iż masz gromadę synów, choć nikt nie wie jak dużo, bo nikt nie dałby rady ich odszukać i zliczyć!

- Ten jest urzędowo zatwierdzony, wuju. Adoptowałem sierotę. Kaiusie, podejdź tutaj.

Zbliżyłem się nieśmiało.

- Chrześcijanin? - spytał Eulogus.

- Lepszy niż ja, umie się modlić, zna nie tylko „*Pater noster*”. Chcę, byś go pobłogosławił jako mojego syna, dając Boże przyzwolenie aktowi adopcji, wuju.

Eulogus rzekł:

- Uklęknij, synu Fulwiusza.

Uklęknałem, a on zrobił znak krzyża ręką i położył dłoń na mojej głowie, mówiąc:

- Kaiusie, w imię Boże błogosławię cię jako syna szlachetnego Juliusza Fulwiusza Corvinusa, amen! Wstań.

Pocałowałem jego dłoń i wstałem, gdy on już patrzył na szereg legionistów sterczących milcząco u boku Fulwiusza:

- Tych twoich wilków zawsze mi trudniej błogosławić, barbarzyńco. Ile razy na nich patrzę, widzę mordy zbrojów. Mniemam jednak, że sami to chrześcijanie...

- I ja tak mniemam, wujku, chociaż ich nie spowiadam. Wielu nosi znak krzyża, może wszyscy. Sądzę, że już dawno w sercach nie dźwiza tamtych germańskich czy galijskich bóstw, nie czczą pogańskich bałwanów lub też italskich bogów starej wiary. Żołnierzowi łatwiej oddawać życie, gdy się może przed bitwą polecić szlachetnemu bóstwu, a starzy bogowie Rzymu spodleli niczym sami Rzymianie. Przyszliśmy do prawdziwego Boga.

- Amen! - ucieszył się Eulogus. - Wejdźcie tedy do świątyni Pana.

Podczas mszy myślałem nie o mszy, i nie o Panu Bogu, tylko o czymś, co mnie wtedy zaskoczyło, i co spodobało mi się bardzo, gdyż było bardzo piękne. Wcześniej bowiem ciągle widziałem jak Fulwiusz swą charyzmą gnie kolana każdemu, jak się przy nim wszyscy robią mali, z jakim uszanowaniem zwracają się do niego (nawet jeśli per „ty”), i jak nie sposób górować nad nim podczas dialogu. Teraz zaś zobaczyłem „Sotera”, pierwszego żołnierza Rzymu, w roli skonfundowanego sztubaka, który przy tym drobnym staruszkowi nieomal się kuli, i broniąc się niczym mały chłopiec przed reprimendami rodzica, chętnie by się skrył jak myszka do kąta ciemnego. Było to cudowne. „Tak czynią tylko rzeczywiście wielcy” - pomyślałem z miłością o Fulwiuszu.

Kończąc mszę, Eulogus sięgnął do przyołtarzowego mebla, wyjął rolkę pergaminu, rozwinął ją i rzekł legionistom:

- Bracia, za chwilę wróćcie spełniać swój prawy żołnierski ślub - bronić murów Romy. Przeczytam wam na pożegnanie hymn biskupa Mediolanu, Ambrożego. Wynieście jego słowa w swych sercach z tej świątyni, i niech wam Pan Bóg Wszechmogący sprzyja.

Czytał wolno, inkrustując swój łagodny głos namaszczeniem, a myśmy słuchali milcząc, w półmroku, w półcieniu, spoglądając czy to ku posadzce, czy ku sufitom, czy ku oliwnym lampom, lecz każdy i do wnętrza swego:

*„Twórco wszechświata, Boże nasz,*

*Dzierżący kręgu Ziemi ster,*

*Dzień przyoblekasz w jasny strój,*

*A noc otulasz łaską snu.*

*Modląc się po zamknięciu dnia,*

*W momencie gdy nastaje noc;*

*Wspomóż nas winnych spełnić ślub,*

*Ten oto podnosimy hymn.*

*Znużone członki by się znów*

*Skrzepił na jutrzejszy trud,*

*By ocknął się zmęczony duch,*

*By go opuścił smętny lęk.*

*Niech Cię serc naszych wielbi pieśń*

*I na Twą chwałę chórem brzmi,*

*Niech miłość czysta Tobie gra*

*I niech uwielbi trzeźwa myśl.*

*Gdy noc nad ziemią zamknie się,*

*W krąg ją otuli gęsty cień.*

*Niechaj nie zaćmi wiary mrok,*

*Skroś cieniów niech jej płonie blask.*

*Nie dozwól myśli zapaść w sen,*

*Niech go nie spęta żaden grzech;*

*Czystą ochłodą będzie on*

*I nie dopuści sennych mar.*

*Wyzuty z lubieżności zmysł,*

*O Tobie serce niechaj śni,*

*Zawistny i podstępny wróg*

*Niech strachem nie nawiedza go*”\* [\* - Tłum. E. Porębowicz.]

Gdy wyszliśmy z kościoła, Fulwiusz odprawił swoich ludzi i wrócił ze mną do domu, lecz nie nocował. Kilka chwil rozmawiał z Regą i gdzieś pomknął; myślałem, że udał się na mury. Tymczasem kolejnego wieczoru przybył centurion legionu Alaudae, szukając Fulwiusza. Rega był zdziwiony:

- Trybun nie nocował u siebie...

- U nas też nie. Nie widzieliśmy go od wczoraj.

- Co takiego?!... Nie było go tyle czasu?!... - zdziwił się jeszcze bardziej Rega. - Kiedy i gdzie widzieliście go po raz ostatni?

- No... w kościele, panie. A sprawa jest nader pilna, bo dwór chce nas przesunąć i zwiększyć powierzony nam odcinek murów. Zastępca szlacheckiego trybuna, Aulus Carvillus, nie wie co robić. Nie zdołamy długo ukrywać, że nasz wódz zniknął.

- Wracaj i powiedz Aulusowi, że się tym bez zwłoki zajmę - mruknął Rega. - Odszukam trybuna tak szybko jak będę mógł.

Zobaczyłem krople potu na czole „*psa Fulwiusza*”, więc i mnie wziął strach. Zapytałem:

- Czy coś złego mogło się przydarzyć memu ojcu?

- Nie wiem.. - burknął Rega. - Ale się tym martwię, bo wątpię, aby chlał w jakimś szynku, to nie jego styl. Mógł się spotkać z jakąś babą, to jego styl, ale na kilka godzin, nie na cały dzień. Puszczę moich niuchaczy, wyniuchają. Biegnij po Marcipora.

„*Pies Fulwiusza*” utrzymywał własnego „*psa*” - sługę zwanego „*psem Regi*”. Marcipor pochodził z „*wytatuowanych Bretonów*”, lecz duszę miał już łatyńską. Trochę przypominał Regę (tak jak prawdziwe psy bardzo często przypominają swoich panów i vice versa): niskawy, krępy, muskularny i małomówny, o stalowym, podejrzliwym spojrzeniu, przez wszystkich nie lubiany (choć nikomu, kto jemu, trybunowi bądź Redze nie wszedł w drogę, krzywdy nie czynił), wreszcie lekko ocieężały (acz, gdy było trzeba - szybki jak iskra). Nie lubiłem jego śmiechu, brzydkiego niby rozdzieranie spleśniałych skór. Ale lubiłem woń pachnidła, którym się bez przerwy zlewał dla tłumienia odoru ciała. Przybiegł, pytając Regę:

- Życzysz sobie?...

- Życzę sobie znaleźć Fulwiusza. Nie wrócił do legionu.

- Żle! - kiwnął kwadratowym łbem Marcipor. - Może u jakiej pupy?

- Od pupy już by wrócił, a mija dzień.

- Od noża rogatego męża nie wraca się szybko...

- Tego się boję.

- A i na dworze cesarskim porobił sobie szlachezny trybun wielu wrogów...

- Sprawdź i tam. Wszędzie! Rusz naszych kundli gdzie tylko możesz, niech się spiszą. Obiecuj za wiadomość dużo złota, lecz płacć jedynie za solidność, fruważ!

- Rzekłeś, panie! - szczechnął Marcipor i wybiegł w te pędy.

Nim wrócił (a powrócił nazajutrz), do naszego domu przybył młody, elegancki dworak, jeden z pieszczochów cesarskich noszących złocone i wysadzone kamieniami zbroje dla ozdoby, bo czasu wojny były modne.

- Gdzie twój pan? - rzucił Redze, nawet się nie witając.

- W mieście - odparł Rega.

- Gdzie w mieście?

- Nie opowiada mi się idąc do grodu.

- A idąc poza gród? Może przekupił któregoś księcia spośród „*Wąsatych*” i umknął, co już robi niejeden!

- Sam papież zrobił to najwcześniej, siedzi teraz w Bizancjum. Zaś was tu wysłano, abyście się dowiedzieli jak się to robi i u którego z książąt, bo wciąż nie możecie wymyślić sposobu własnego czmychnięcia?

Pysk dworaka przybrał kolor purpury:

- Do cesarskiego adiutanta mówisz, sługo! Bacz, bym cię nie...

- Możesz mi!... - warknął pogardliwie Rega. - Zjeżdżaj!

Dłoń trzymająca grubą klamrę pasa drgnęła mu jedynie, a elegant uskoczył jak oparzony i dosiadł konia, by siedząc w siodle krzyknąć:

- Zapłacisz, bydlaku!

Koło Regi wyrósł z nagle Marcipor i chichocząc rzucił pod nogi wierzchowca nędzną monetę oraz pytanie:

- Tyle, przesławny żołnierzu?...

Rega, marszcząc brew, długo spoglądał za odjeżdżającym, a gdy przymykał drzwi wejściowe, usłyszałem jego ciche słowa:

- Kiedyś cię dopadnę, paniczyku, i wtedy pobawię się z tobą!

Głośniej wezwał Marcipora:

- Wróciłeś tuż po przybyciu tego gówniarza, jakbyście się umówili!

- Cały czas trzymałem ogon jego konia, żeby biec szybciej! - rozchichotał się znowu Marcipor.



- Nie błażnij. Dowiedziałeś się czegoś o trybunie?
- Dowiedziałem się tylko, że ostatnio bywał u jakiejś Żydówki.
- U której?
- Nie wiem. Nasi ludzie rozpytują...
- Zatem nie znasz i adresu.

- Nie, panie. Być może zna Pistokleros, ale do domu tak potężnego Żyda trudniej przeniknąć niżli na cesarski dwór. Nie mamy szpiega pośród jego służby, zresztą służba może wiedzieć o tym mało. Jego samego trzeba by spytać, a to dla mnie zbyt wysokie progi. Źle!

Rega zastanawiał się krótko:

- Idź teraz do Caeliusza i proś, by wieczorem wziął swoich żołnierzy i przybył tu. Gdyby nie mógł, niech powie kiedy będzie mógł, ale dodaj, że to bardzo pilna sprawa. Mają wejść od podziemia, loszkiem, bo wydaje mi się, że front domu ktoś śledzi.

- Źle! - zachrypiał Marcipor. - Kto?

- Nie wiem. Może ludzie cesarza...

Izaak Pistokleros był jednym z dwóch największych kupców Rzymu, handlarzem, którego władza gospodarcza stałaby się mocarstwowa, gdyby mu nie bruździł konkurent, ten drugi. Zaś Caeliusz Pollius był dawnym oficerem Fulwiusza (w legionie Adiutrix), wkręconym przez „Sotera” do gwardii pretorskiej (Fulwiusz chciał mieć również tam człowieka sobie oddanego). Ujrzałem ich jeszcze tegoż dnia, lecz trochę wcześniej poznałem konsula Valerianusa Secundusa Maxima, eks-chlubę Senatu, gwiazdę polityczną Rzymu, kuzyna papieża, tytana Romy umierającej.

Valerianus - o czym każdy wiedział - był wrogiem Fulwiusza zaciekle. Zwał „Sotera” publicznie „barbarzyńcą”, jak i ksiądz Eulogus, ale w ustach kapłana stanowiło to przydomek pieśzcotliwy, gdy ze strony konsula było wyzwiskiem. Kiedyś Fulwiusz zapytał go, podczas ceremonii funeralnej oficerów legionu Victrix, którzy zginęli na ziemiach Kwadów:

- Miałbyś prawo do takiej urny pełnej chwały?
- Mam prawo do urny większej niż twoja rychła już urna, barbarzyńco! - padła odpowiedź.
- Zaręczysz, że twoi praojcowie szybciej niż moi wyszli z nor, w których mieszkali jak zwierzęta?
- Zaręczam ci, legacie, tylko jedno: że mogę zostać wrogiem bardzo groźnym, legatobójcą!
- W to prędzej uwierzę, konsulu. Cóż bowiem groźniejszego aniżeli nikczemność nosząca maskę cnoty?

- Cave! \* [\* - Strzeż się! (łac).] - zazgrzytał zębami Valerianus.

Rzymski salon wydał wtedy werdykt przyznający Fulwiuszowi palmę triumfatora tego dialogu, co Valerianusa mocno bolało. Zemścił się dwa lata później, wspierając odebranie „Soterowi” szefostwa armii.

Fulwiusz miał słuszość negując arystokratyczne pretensje konsula. Valerianusowe patrycjuszostwo jedynie z nazwy świeciło blaskiem, gdyż familie patrycjuszowskie prastarego („drewnianego”) Rzymu wymarły już dawno pod ciosami zwyrodniałych Kaligul i Karakallów. Jak większość obecnych dygnitarzy - był synem dorobkiewicza, a wnukiem czy też prawnukiem wyzwolenca. Ojciec Valerianusa, zdobywszy majątek na dostawach armijnych - za drobną tylko garść kradzionych milionów sesterców kupił sobie rozległe drzewo genealogiczne u greckich heraldyków, gotowych wywodzić ród każdego bogacza od Romulusa, albo od bogów olimpijskich, tych przedniej szych, samego Jowisza angażując. Pamiętam, że Philomusus zwykł był wyśmiewać takie koneksje.

Philomusus i Valerianus mieli jedną zaledwie cechę wspólną, lecz bardzo istotną - pogardę dla złota. Wszelako konsul gardził złotem z innego powodu - gardził metalem, którym można kupować ludzi. Korupcja bowiem nie tylko czyni ze złota narzędzie równie chamskie i równie skuteczne jak młot kowala, lecz i równie brudzące. Co każdy inteligentny łapówkodawca rozumie odkąd przekupił kogoś po raz pierwszy, a więc już wtedy, kiedy pierwszy raz w życiu zauważył, iż złoto lepi się do rąk niczym zgniłe mięso i śmierdzi tak samo. Administracja rzymska owych czasów funkcjonowała tylko dzięki łapówkom, a Valerianus uchodził za prymusa tego kunsztu. Będąc jednakże człowiekiem kulturalnym, wykształconym i bystrym - potrzebował tej wzgardy jako medykamentu dla swego sumienia (choć nie miał sumienia, lecz tak mu się wydawało), bo prędzej przyznałby się do korupcji niż do braku duszy tudzież braku obywatelskiego instynktu Rzymianina z wyższych sfer.

Zajechał lektyką konsularną, którą opuścił godnie, ruchem przeciwionym; i zaraz nad szpakowatym łbem, gdzie czesane kosmyki kryły pierwszą łysinę, rozkwitł mu parasol, by słońce nie spaliło tego skarbu. Myślał, że zostanie poprowadzony ku wnętrzu, lecz Rega warował na zewnętrznych schodach, milcząc obojętnie.

- Prędzej już spodziewałbyś się gromu z jasnego nieba, co? - spytał Valerianus.

Rega przytaknął ruchem głowy. Konsul podszedł bliżej:

- Wejdźmy, chcę rozmawiać.

- Rozmawiać można i tutaj, jeżeli w ogóle jest o czym rozmawiać - mruknął Rega wrogo.

- O twoim panu. Przepadł gdzieś, biedaczek.

- Widocznie taki miał kaprys, wam nic do tego, konsulu.

- Mnie dużo do tego, bo sprawuję urząd państwowy!

- To gratuluję awansu, bo jeszcze rano dzierżyliście tylko konsulat miejski.

- W mieście, które już zostało samo jedno z całego Cesarstwa! I jest oblężone, a twój pan ma go bronić! Zatem ja mam prawo wiedzieć dlaczego tego nie czyni!

- Spytajcie go, konsulu.

- Właśnie po to przybyłem!

- Ale tu go nie ma.

- Dobrze, mówmy serio. Przybyłem w innej sprawie, dla ubicia interesu.

- Mówmy serio - zgodził się Rega. - Mojego pana nie ma naprawdę, i naprawdę nie wiem gdzie jest. Boję się, iż przydarzyło mu się coś złego. A gdybym chciał zgadywać kto mu uczynił krzywdę - wskazałbym takich jak wy!

- I zrobiłbyś głupi błąd, chociaż przypisują ci zdolności wszytkowidza! - roześmiał się konsul. - Zrozum, człowieku, że nie ścigam go, tylko szukam, bo mam dla niego ważną propozycję. Ty pewnie też go szukasz. Szukajmy więc razem. Pomóż mi, a pomożesz jemu.

- Żmiji prędzej bym pomógł niż tobie! - wycedził Rega.

Valerianus spojrział w niebo, jakby prosił, by ulitowało się nad zatwardziałcem, lub jakby szukał rady. Później znowu przewiercił wzrokiem Regę, i spróbował miększego tonu:

- Niechajmy wrogości między sobą, dla każdego z nas będzie to dobre.

- O co wam konkretnie chodzi, dobrodzieju?

- O co konkretnie, to mogę powiedzieć tylko trybunowi. Tobie mówię co już rzekłem: o wspólne dobro.

- Ja dbam wyłącznie o własne dobro, i o dobro szlachetnego trybuna Fulwiusza! - prychnął Rega.

- Tedy winniście sobie i jemu mnożyć przyjaciół.

- Przyjaciół on sam sobie wybiera, a mnie do przyjaźni z nikim jakoś nie ciągnie.

- Boicie się przyjaźni? Cóżby wam szkodziła moja przyjaźń?

- Rzekłem, panie, nie trzeba nam nowych przyjaciół.

- Ale może i starych wrogów wam nie trzeba?... Zastanówcie się nad tym!

Ostatnie zdanie Valerianus znowu wygłosił twardo, tonem groźby, i widząc, że nic nie wskóra,

ruszył ku lektyce z miną zawziętą, a czołem tak chmurnym, iż dla wyrobu cienia nie byłby mu teraz konieczny parasol. Twarz Regi pozostała obojętna, tylko źrenice świeciły złowrogo.

Wieczorem przybył centurion pretoriański, Caeliusz, wiodąc dwóch pretorianów. Rega szeptał z nimi krótko i narzucił płaszcz. Zapytałem, ani licząc, by się zgodził:

- Mogę iść z wami?

Ku mojemu zdziwieniu odparł:

- Chodź, Kaiusie! To dobry pomysł. Czas, byś się wyuczył czegoś więcej niżli greckiej filozofii i trykania rzymskich dziewcząt.

- Czego, panie?

- Mów mi: Rufusie, w końcu jesteś synem Fulwiusza.

- Dobrze, Rufusie. A więc czego?

- Żydowskiego dialogu. Żyd, kiedy chce cię podejść, sugeruje, iż wie o tobie i o twoich sprawach dużo, nawet jeśli nie wie nic lub tylko przypuszcza. Mówi, iż wie, choć nie wie albo nie ma pewności. To jest gra, Kaiusie, jak spekulacja na rynku zboża - wygrywa ten, kto lepiej spekuluje. Pobawimy się z kupcem Izaakiem spekulacją...

Do siedziby Pistoklerosa przybyliśmy gdy było już zupełnie ciemno. Odźwierny, ujrawszy pretorianów, zbladł; służący także (w jakimż bowiem innym celu mogła przybyć nocą straż pretorska, jeśli nie dla aresztowania?).

- Gdzie śpi twój pan? - spytał Caeliusz.

- Mój pan jeszcze nie śpi - odparł sługa. - Pójdę po niego.

- Pójdziemy razem. Prowadź, ale cicho, nie budź całego domu.

Poprowadził nas ku zapleczu rezydencji i wskazał niedociągniętą kotarę, zza której sączyło się blade światło i odgłos szybkich słów gospodarza.

- Dalej pójdziemy sami, ty zostań tutaj - rozkazał Caeliusz.

Jeden pretorianin został ze sługą, a my podeszliśmy pod kotarę, gdzie Rega zatrzymał nas gestem dłoni i wskazującym palcem przyłożonym do warg. Z wnętrza izby biegł roznamiętniony mamrot:

- ... i muszę jeszcze znosić tę nawałę gorszą niż babilońska!... Panie mój! Boże Abrahama, Jakuba i reszty Żydów! Ty przecież wiesz, że ja jestem dobry i pobożny człowiek, nikogo nie nienawidzę, i kocham każdego bliźniego swego, bo mam w poważaniu wszystkie Twoje stworzenia i nie pogardzam żadnym. Ale czy i Ty, Panie mój, który jesteś mądrzejszy ode mnie głupiego - Ty, który

widzisz wszystko i który wiesz wszystko - czy Ty też musisz kochać wszystkich? A jeżeli już nawet musisz - to czy musisz kochać także Szamira ben Goderusa z Via Praenestina, blisko Sepulcrum, trzeci dom po lewej, idąc od Castellum Aquae? Czy nie wiesz, że ten cudzołożny syn swej czcigodnej matki odbiera mi klientów sprzedając towar poniżej ceny detalicznej? Co ja mówię!! Za pół ceny hurtowej, albo i mniej, kiedy mu się trafi okazja! To czy on się nie wyprzedaje, żeby kupić jakiegoś wąsatego psa w koronie i uciec z tego plugawego grodu? Czy nie widzisz, Przedwieczny, że to jest urodzony złodziej i paskudnik, jakiego święta ziemia nie nosiła od czasu gdy wymarło plemię Nabuchodonozorowe? A jego nowa lektyka? A swojej córce, krostowatej Racheli, dał taki posag, że ja mniej płacę za szaty odświętne mojej ukochanej żony, to też nic, Panie mój? Jeśli nie widzisz tego i nie słyszysz, to ja Ciebie przepraszam, ale co z Ciebie za Bóg?... To ja się mogę tak samo modlić do matki mojej żony, bo ona ma prawie osiemdziesiąt wiosen i też jest ślepa i głucha, ale siedzi w domu, więc ja i tak muszę płacić za to, a nie musiałbym się włączyć, żywotem ryzykując, do tajnej synagogi po ten sam interes, co?

Rufus kazał mi zostać za kotarą, i wszedł z Caeliuszem oraz żołnierzem, przerywając kupcowi modły:

- Ty jesteś Pistokleros handlarz? - spytał.

- Jam jest, panie... - wyszeptał drżącymi wargami Żyd.

- Wstąpiliśmy tu po ciebie, kupczyku, więc zbieraj się, a zwawo!

- Za co?!

- Dowiesz się za co.

- Niech się dowiem teraz, panie!

- Kiedy jesteś taki ciekaw, to wyjawię ci w zaufaniu, że kult wrogich Chrystusowej wierze bogów, tudzież układanie się z wrogiem dla sekretne opuszczenia miasta, gardłem karane są.

- Ja?! Z wrogiem?!... - jęknął Żyd. - To kłamstwo, przeświecny urzędniku!

- Znamy takich, którzy mówią, że to prawda!

- Potwarz rzucają na mnie, panie! Zapewne ten łotr ben Goderus, uwierzyliście takiemu kłamcy?! Dnia jednego nie przeżyje, by nie okpił kogoś!

- Nim się też zajmiemy, jeszcze dzisiaj.

- Ale dlaczego mną, ja jestem niewinny! Bóg mi świadkiem, że...

- Który bóg? - przerwał mu Caeliusz. - Ten, do którego modliłeś się właśnie tak gorąco?

- Panie oficerze, ja zawsze miałem najlepsze stosunki nie tylko z urzędnikami, również z

kapłanami Kościoła! Ja dalej chcę...

- Cóż takiego chcesz?

- Chcę żyć! - wypalił Pistokleros.

- Aż tyle chcesz? Dużo. Czy nie czas pozbyć się na starość tej ambicji?...

- Panie oficerze, ja... ja mam możnych przyjaciół, u samego dworu, u boku cesarza, oni mogą zaświadczyć, iż ja...

- Nie strasz, oni już nic nie mogą. Od wczoraj mogą inni, ci, którzy nas wysłali - uśmiechnął się Caeliusz.

Słuch Żyda bezbłędnie rozpoznał tę nutę. I kupiec Pistokleros bezzwłocznie zmienił ton swego głosu. Rzekł już nie trwożliwie, lecz zimno:

- Ile mnie to ma kosztować?

- Sam policz ile jest warte twoje gardło.

Żyd wyjął z niskiej komody dwa woreczki brzęczące metalem i rzucił na stół.

- Złoto czy srebro? - spytał Rega.

- Złoto, nie pozwoliłbym sobie obrażać przyjaciół, szlachetny panie!

Tym razem w głosie Żyda zadrgała nutka kpiny, lecz Rega był głuchy na nią:

- Solidy czy aureusy, przyjacielu?

- Solidy, panie. Dzisiaj aureusów nie widuje się często, gromadzi je cesarski skarb, żeby „*Wąsaci*” mieli co złupić kiedy wejdą do Rzymu.

- Solidy?... - zawahał się Rega. - Nisko się cenisz, handlarzu, ale cóż, niech będzie, byś nie myślał, że urzędnicy Rzymu są bezwstydnie żarłocznymi.

Poczułem gorycz, jakby przełknięta ślina sprawiła mi dotkliwy ból. Miałem Regę za człowieka uczciwego; był to dla mnie wstrząs. Żyd, już spokojny, rzekł:

- I nie przychodźcie drugi raz, więcej nie dam.

- Drugi raz to musiałoby być za chwilę, bo jeśli do rana nie znikniesz, jutro będziemy musieli cię aresztować. Zniknij niespodziewanie, tak jak zniknął trybun Fulwiusz, który zostawił swoją majątność i, co gorsza, swoich żołnierzy. Słyszałeś o tym.

- Słyszałem, i wcale mu się nie dziwię - pokiwał głową Pistokleros. - Własna skóra ważniejsza od własnych żołdaków.

- Ale czemu od własnej miłośnicy? Ją też tu zostawił, może dlatego, iż to Żydówka. Rzymiankę pewnie by wziął ze sobą... - zadrwił Rufus.

- Czyż Rebeka wdowa to nie Rzymianka? - obruszył się Pistokleros. - Czym ja nie Rzymianin, bom urodzony Żyd?

- Od Żydów „*Wąsaci*” biorą pono więcej za przepuszczenie - powiedział Caeliusz do Rufusa. - A dzisiejszej nocy i za pośpiech domagać się będą haraczu.

- Czy tak, żydowski sknero? - spytał Rufus. - Nieźle się obłowi ten strażnik bramy, którego przekupiłeś, i ten wąsaty książę, z którym nawiązałeś kontakt!

- Żeby z jednym ino wąsatym psem trzeba było mówić, dawno by mnie tu nie było - poskarżył się kupiec. - Teraz tam każdy wódz polany lub wsi to już samowładny książę, chociaż ziemi ma tyle, iż pies siadłszy nakryje ją zadkiem, a kiedy wiec plemienny robią, tylu się komesów kłębi, że nie spluniesz, byś którego nie opluł. Handlowałem tam jak pokój panował, to wiem.

- Masz zatem wśród nich dużo klientów, łatwiej niż innym będzie ci wyfrunąć. Tylko uważaj z tym spluwaniem, bo może ci się przydarzyć, że spluniesz pod wiatr... - zadrwił Rega, biorąc woreczki.

Kiedy wyszliśmy, pstryknął palcami triumfalnie, mówiąc oficerowi cicho:

- Szczęśliwiej poszło niż myślałem, nie trzeba go było pytać wprost, sam wygadał!... Wiesz gdzie mieszka ta Żydówka, Caeliuszu? Chyba niedaleko Porta Appia, jej mąż miał tam skład win.

- Tam i mieszka, Rufusie.

- Więc w drogę!

Szliśmy przez labirynt ciemnych ulic, przy blasku pochodni, a ja milczałem, póki Rufus nie związał obu woreczków i nie kazał mi ich dźwigać.

- Sam sobie nieś swój łup! - warknąłem doń jak do obcego.

- Co cię ugryzło, chłopcze? - zapytał zdziwiony.

- Nic, panie!

- To już nie jestem dla ciebie Rufus, tylko znowu pan?

- Tak, panie!

Stanął, grodząc mi drogę, i położył ręce na moich ramionach:

- Wysłuchaj, synu...

- Jestem synem trybuna Fulwiusza, a nie twoim, panie!

Chciałem strącić jego łapy, lecz palce na moich ramionach zmieniły się w obcęgi, unieruchamiając moje ciało.

- Kiedy nie ma trybuna, ja go zastępuję, więc jam tobie teraz patron, gówniarzu!... Przyszliśmy tu, by dowiedzieć się o imię kobiety, u której Fulwiusz mógł bawić tamtej nocy. Gdybym zapytał o to wprost, wzbudziłbym czujność tego lisa i nie dowiedziałbym się niczego. Gdybym nie wziął odeń haraczu, wzbudziłbym podejrzenie, i rano ten człowiek złożyłby donos u dworu lub u konsula. Chcesz zachować pełną uczciwość, to zostań niewyjadającą cichcem konfitur dziewczynką w domu cioci, ale nie strugaj mężczyzny bez skazy kiedy szukasz ojca w dzikiej puszczy, pełnej drapieżników bez skrupułów! Uczciwość i mądrość, Kaiusie, są dobraną parą na kartach rozpraw filozofów idealistów, lecz uczciwość i skuteczność nie tworzą kochającego się stadła na arenie walki o przeżycie. Nie znasz jeszcze zapachu krwi!

Jakby wyróżzył mi to. Dom Rebeki wdowy był zupełnie ciemny, co nie mogło dziwić o późnym zmroku, ale kiedy weszliśmy (drzwi wystarczyło leciutko pchnąć, bo nie miały zamkniętego skobla) - znaleźliśmy go zupełnie pustym, a sprzęty walały się rozrzucone niby po huraganie lub trzęsieniu. Łuczywo ukazało zeschniętą krew na pawimencie i na murach. Gnilny odór zawiódł Regę do piwnicy, gdzie leżało kilka psujących się już trupów. Nie było wśród nich Fulwiusza - była tylko ta wdowa, młoda i piękna, tudzież jej służba, wszyscy z głowami rozbitymi mieczem.

- Porwano go stąd i wybito świadków, aby żaden nie doniósł... - kojarzył głośno oficer.

- A jeszcze przedtem zwabiono go tu!... - uzupełnił Rega. - Czekali na niego wewnątrz, bo ulica i nocą może mieć oczy. Później wynieśli tyłem, ścieżkami sadu, w kufrze albo w kobiercu, i rzucili na kryty wóz. Pytanie: kto?, pytanie: gdzie?, no i pytanie: dlaczego? To trzecie łatwiejsze niż pierwsze dwa.

- Wiesz dlaczego? - zdumiał się Caeliusz.

- Myślę, że po to, aby nim handlować. W handlu z królem Mangerem on będzie więcej wart niż całe złoto Rzymu, mój drogi!

Nazajutrz około południa znowu przybył Valerianus, lecz tym razem miał duży orszak. Gdy Rufus wyszedł ku niemu, konsul rzucił drwiąco:

- Nie znalazłeś trybuna!

- Jeszcze nie.

- A ja tak!



Rega zeszywniał i zacisnął pięści.

- Żyje?

- Żyje.

- Gdzie jest?

- Zgadnij, wróżbito...

Rega przesunął lewą stopę do przodu, jakby pragnął utrzymać ciało w pionie, bojąc się zachwiania.

- Teraz porozmawiamy wewnątrz, będziesz bardziej gościnnie! - rzekł konsul.

Rufus ustąpił mu z drogi, milcząc.

- Ale nie wejdę tu sam - dodał dygnitarz. - Wejdą ze mną dwie kobiety i dwóch chłopców.

- Kto?

- Moja córka, jej służąca i dwóch wyzwolenców.

- Po co?

- Tego się dowiesz, gdy już będę siedział. Nie lubię perorować na stojąco.

Rega wyraził zgodę bez słów, ruchem głowy. Dygnitarz klasnął i z lektyki wyszły dwie kobiety, starsza oraz młoda, a z wozu dwie postacie w cienkich długich płaszczach mających kaptury zasłaniające twarze. Wtedy zobaczyłem Kornelię pierwszy raz.

Dzisiaj, kiedy jestem stary, i nie miłość do kobiety, lecz miłość do Jezusa rządzi moim umysłem, wciąż pamiętam tę chwilę tak, jakby minęła dnia wczorajszego. Zobaczyłem lico i źrenice, które musnęły moje spojrzenie, by zaraz umknąć ku ziemi; poczułem słodką woń pachnidła, kiedy przechodziła westybulem obok mnie; dziwne drżenie, niczym na skutek dotyku parzącej meduzy, wibrowało mi wewnątrz ciała. Szczęśliwie w półmroku stałem, więc nikt nie widział moich płonących oczu. Nikt nie słyszał mojego oddechu (zagłuszały go ich kroki) i pulsu dziurawiącego moją czaszkę. Przytuliłem się do marmurowej kolumny, by od kamienia zaczerpnąć trochę chłodu.

Mogła mieć czternaście albo piętnaście lat. Była wzrostu średniego, lecz przez smukłość i przez niedużą główkę robiła wrażenie wyższej. Włosy zapinała od tyłu piękną broszą - małą zieloną gemmą ukazującą profil cesarski. Długachne rzęsy, gdy je opuściła - zdawało się pół twarzy nakrywają. Rumieniec obustronny tak soczysty u niej był, jakby mazała śnieżne poliki barwiczką, choć nie robiła tego. Wargi miała drobne i pąsowe, wykrojone w serduszko do całowania. Zamknąłem oczy i nasze usta się zetknęły...

Wyrwał mnie z rojenia głos konsula:

- Mam dla Fulwiusza propozycję paktu... Zgodzi się, to uratuję go i będziemy współpracować. Odmówi, to podpisze swój wyrok, bo zostawię go nienawiści waszych wrogów. Będę widział twego pana w ciągu kilku dni, może już dziś, może jutro. Ale gdy pójdę na spotkanie, muszę mieć przy sobie jego syna. Daj mi Kaiusa, wróci tu za dobę, dwie lub trzy.

- Cały, czy w kawałkach?! - spytał gniewnie Rufus.

- Nie nudź, sługo! Właśnie dlatego chcę ci zostawić moją córkę, żebyś był spokojny o los Kaiusa.

- Mając taką zakładniczkę, byłbym spokojny... gdybym tylko wiedział, że ta dziewczyna to rzeczywiście twoja córka, konsulu, nie znam jej.

- Poślij do mego domu i rozpytaj moich sąsiadów. Pytaj ludzi, którzy mnie znają i ją znają. To Kornelia, moja córka z pierwszego małżeństwa, dziecko Kalpurnii Starszej. Moja krew, więc droższa mi niż Fulwiuszowi przybrany syn!

- A ci dwaj? - spytał Rega, patrząc na młodzików.

- Mówiłem, wyzwoleńcy... Dwa kaptury tu weszły, dwa kaptury stąd wyjdą, ale pod jednym wyjdzie syn trybuna, żeby ci, którzy obserwują waszą willę, nie domyślili się, iż ją opuścił.

- Szpiegują nas? - zdumiał się teatralnie Rega.

- Dzień i noc.

- Kto taki, konsulu?

- Ci, którzy porwali Fulwiusza.

- I zezwolą ci spotkać się z nim? Musisz mieć dużo osobistego uroku, panie...

- Mam dużo pieniędzy, furę złota, a złoto to najlepszy klucz. Nie pytaj o szczegóły. I nie zdradź się, że wiesz, iż ten dom jest pod obserwacją. Nie próbuj też śledzić mnie i moich ludzi, bo utraciłbyś cały mój plan, a to byłaby katastrofa dla nas wszystkich - nie przeżyłby ani Fulwiusz, ani Kaius, i ja sam też dałbym głowę.

- Dużo byś nie stracił dając głowę, która wymyśla taki plan! - parsknął Rufus.

- Nie znasz go, więc nie szczekaj!

- Znam tylko sposób, w jaki chcesz wyprowadzić stąd sekretnie Kaiusa, i już to mi się nie podoba, a jeśli twój plan zawiera więcej takich błędów, to skończy się istotnie tragedią. Kaptury! Masz obserwatorów za durniów?

- A ty znasz sposób lepszy?

- Znam. Przyprowadzę ci Kaiusa wkrótce do twego domu, i nikt nie spostrzeże tego.

- Aaa! - sapnął konsul z uznaniem. - Podziemne wyjście, od innej ulicy! Też zbudowałem sobie takie.

- Nie śmiałybym wątpić, iż to zrobiłeś, konsulu - mruknął Rega. - Ci chłopcy wyjdą stąd mając odkryte łepetyny. Twoja córka i jej sługa niech też wyjdą. Ja i moi ludzie zabierzemy je, kiedy przyprowadzę ci Kaiusa, a wyprowadzimy obie pod ziemią twoim wyjściem sekretnym.

- I wtedy poznasz mój ewakuacyjny sekret, spryciarzu?

- Sam mi rzekłeś, panie, że masz furę pieniędzy. Zbudujesz sobie drugi podziemny korytarz. Jeśli już nie masz takich trzech, dwóch znanych służbie i trzeciego, który znasz wyłącznie ty.

Valerianus roześmiał się, i chwilę później Kornelia zniknęła mi z oczu.

Nazajutrz wieczorem wypłem u Valerianusa nektar, po którym zrobiło mi się błogo, ślepią zaczęły mi się kleić, i frunałem w wielobarwną otchłań, widząc jak przez mgłę twarz Kornelii (choć Rega wziął ją już do naszego domu), póki nie zgasił wszystkiego sen...

## V.

Ocknąłem się w ciemnym lochu z kolebkowymi sklepieniami. Mury były wilgotne, kropelkowane, jakby się pociły lub jakby pryskała tu woda deszczowa. Ceglana posadzka lepiała się błotem. Dwa łuczywa rzucały na ściany cienie sylwetek kilku osób. Zobaczyłem Valerianusa i paru jego służących; jeden klęczał przy mnie ze szmatą woniejącą roztworem, za pomocą którego cucił mnie z uśpienia. Ten krzyknął:

- Obudzony, panie!

- Weź go i chodźmy, lecz nie wpuszczaj go do celi póki nie dam rozkazu - rzekł dygnitarz. - I ma cały czas milczeć.

- To może zatkać mu pysk? - spytał fagas.

- Niezły pomysł. Zaknebluj go.

Wetknęli mi w usta tę cucącą szmatę i ruszyliśmy korytarzem, który trochę dalej miał odnogę boczną identycznej wysokości, ale mur był tu suchy i posadzka bez błota. Skręciliśmy więc, stąpając po suchym kamieniu, aż zobaczyłem kratę, za którą panował mrok. Gdy cofnięto skobel i uchylono kratę, Valerianus wszedł do celi. Towarzyszył mu sługa niosący taborecik i kaganek; drugi został ze mną. Po chwili ten, który wniósł światło, wycofał się do korytarza i przykucnął, wspierając plecy o ścianę; chyba wiedział, że czekanie będzie trwało długo, zatem uznał, iż nie ma co męczyć nóg. Widząc to, mój strażnik też przykucnął. Ja wciąż stałem, cały rozdygotany, gdyż czułem bliskość Fulviusza. Jeszcze bardziej puściły mi nerwy (pociekły mi łzy), gdy usłyszałem jego głos - jakby głos z grobu. Lecz nim to się stało, przemówił dygnitarz. Widziałem tylko oświetlony ciemną żółcią fragment muru z kamiennych bloków; oni byli dalej, w głębi celi, po prawej stronie wejścia. Cela musiała być duża, lub może miała inny korytarz jako przedłużenie, bo skądś przychodziło echo słów. Błede, głuche, ledwie słyszalne (i to tylko czasami, gdy któryś mówił nazbyt głośno), ale dudniło, tworząc upiorny akompaniament dialogu.

- Jesteś jak wino, kochany Fulviuszu, dojrzewasz w piwnicy... - rzekł Valerianus wesołym głosem.

Odpowiedziała mu cisza.

- Brodę będziesz miał niedługo niczym Żyd, zaś wąsy niczym twój pradziad, król dzikusów...

Znowu cisza.

- Ale chyba mniej cuchnął, mimo wszystko?...

Dopiero wtedy odezwał się Fulwiusz:

- Też byś cuchnął, gdybyś szczał w łańcuchu i po ciemku, a srał wokół siebie! Uważaj, bo

przewrócisz się o moje gówna!

Chwilę milczeli obaj, i naraz Valerianus ryknął w stronę kraty:

- Lucipor!

Wbiegł strażnik:

- Co rozkażesz, panie?

- Nie zdzierzę długo takiego smrodu! Wynieście te gówna!

- Ale... ale jak, panie? Nie mamy szufli...

- To wynieście łapami, już!

Trochę trwało nim wyzbierali rękami odchody Fulwiusza. On tymczasem spytał:

- Kim jesteś?

- Nie poznajesz starych przyjaciół? - zdziwił się Valerianus.

- Od tych ciemności sparszywiał mi wzrok, razi mnie światło, widzę tylko plamy.

- To chociaż po głosie...

- Po głosie też nie. Kim jesteś?

- Jestem Valerianus Secundus Maxim, konsul Rzymu, ten sam.

Fulwiusz wybuchnął głośnym śmiechem, aż echo zagrało gdzieś w głębi.

- Co cię tak bawi, wesółku?

- Nie to co myślisz.

- A według ciebie co myślę?

- Że wciąż bawi mnie twoje nazwisko, najdurniejsza rodzinna godność spośród wszystkich nazwisk Rzymu. Twój pradziad, król spekulantów, musiał je kupić za fortunę, dla syna, wnuka i prawnuka... Nie, nie to mnie teraz rozbawiło. Bawi mnie inny fakt.

- Jaki?

- Bawi mnie, szanowny konsulu, że twoi słudzy właśnie wykonują coś, co ty wykonywałeś i wykonujesz cały czas jako cesarski pies. Na rozkaz miesicie łajno paluchami. Od tego paluszki cuchną... Cesarz kazał ci mnie porwać, czy to własna inicjatywa, gównojadzie?

- Widać już zbrzydł ci żywot, jeśli tak bezczelnie mnie obrażasz - rzeki Valerianus. - I próbujesz przyspieszyć sobie zgon, skrócić to poniżenie, prowokując mnie do zadania ciosu. Chcesz, żebym w gniewie cię ubił. Strasznieś prędko! Trochę cierpliwości, kolego... Nie zgadłeś. Przybyłem tu, by cię ratować, a nie zabijać. Wyrwać cię z łap porywaczy, bo nie ja cię porwałem, wodzu. Siedząc tu teraz z tobą, ryzykuję życie swoje i swoich bliskich, docień to!

- Docenię, kiedy mnie rozkujesz i odwieziesz tam gdzie mieszkam. Lub choćby tylko wypuścisz stąd, dalej sam już pójdę.

- Spokojnie, mądralo, mamy kapkę czasu...

- My dwaj, czy ty i twoi wspólnicy?

- My dwaj.

- Do czego mamy tę kapkę czasu?

- Do tego, bym dzięki rozmowie z tobą mógł podjąć decyzję czy mam uszczuplić moją fortunę o kilka milionów, drobiazgu!

- Wobec mnie chcesz być taki szczodry?

- Wobec ciebie, Fulwiuszu.

- Potoki łez lśnią na twoich milionach, oszczędź mi tej słonej kąpieli, Valerianusie.

- Nie pyskuj, póki nie powiem z czym przyszedłem, mądralo!

- Wolę już, byś mnie przezywał po staremu barbarzyńcą. Nie nazywaj mnie mądralą, konsulu, bo zapeszysz!

- Dlaczego?

- Tamto przypomina mi pewnego księdza, który jeszcze żyje, a to przypomina mi śmierć pewnego Greka, filozofa, którego ja zwałem mądralą. Był rozumniejszy ode mnie.

- Tak jak ja jestem grzeczniejszy od ciebie. Ty mnie nazywasz gównojadem, a ja ciebie mądralą, więc kto tu kogo obraża? Chcesz, bym zwał cię głupcem, proszę bardzo. Trzeba być głupcem, zaiste, by dać się złapać u baby kiej ten goły fiut! Ilu ich było, że taki sławny szermierz pozwolił się obezwładnić niczym owca?

- Nie dałbyś się obezwładnić będąc gołym, bez miecza, w łożu?

- Siniaka nawet nie masz, więc co, trunek odurzający?

- Rąbnęli mnie przez łeb, z tyłu i z zaskoczenia, kto jest mocny na to? Siniak mam pod włosami,

pielęgniarszu!

- Sprytnie cię ucapili...

- I mówisz, że nie twoi?

- Nie moi, nie moi, choć rzeczywiście cesarscy. Ale nie na rozkaz cesarza. On nic nie wie, kazał cię szukać i wydobyć choćby spod ziemi, Fulwiuszu.

- Co właśnie ty teraz robisz, dobroczyńco?

- Tak, chcę cię teraz wydobyć spod ziemi, ja, konsul cesarza. Ale nie dla niego, nie z jego rozkazu.

- A dla kogo?

- Dla siebie.

- Więc kto mnie przywłókł tutaj?

- „*Comes domesticorum*”\* [\* - Dowódca straży przybocznej u monarchów (łac).], Seranus Cimber. Jego ludzie.

- Twój bliski kumpel u stóp tronu.

- U stóp tronu nie ma się przyjaciół, ma się tylko rywali, winieneś wiedzieć to.

- Wiem jak się tam krzątałeś, niczym pszczołka. Interes za interesem, gierka za gierką, biesiada za biesiadą, rączka za rączką, dygi, pokłony, uśmiechy, komplementy i obmowy, zmirowisko w złotogłowie, kloaka dysponentów i profitentów łask!

- Mylisz się, trybunie, nigdy nie należałem do cesarskich faworytów.

- Ale starałeś się. Można było twój grzmot podziwiać.

- Jaki grzmot?...

- Tak ładnie umiałeś klaskać cesarzowi...

- Wszyscy to robią kiedy przemawia imperator! Ty również byś głośno klaskał, gdybyś wysłuchiwał jego mów!

- Nie słuchałem, ponieważ nie bywałem. Przemowy małych chłopców są dla mnie równie zajmujące jak głędzenia pijanych przyków, którym siwizna nie dodała trzeźwości. Ten dzieciak ma już siwy łeb, ale umysł smarkacza, nigdy nie dorósł. „*Vae regni, cuius rex puer*”\* [\* - Biada królestwu, którego władcą jest chłopczyk (łac).].

- Zgoda, to siwiejący gówniarz, stąd też wszystkie nasze kłopoty i nasze dzisiejsze spotkanie, Fulwiuszu.

- Ale nie nasza współodpowiedzialność, konsulu, moja i twoja po równo, bo ja nie promowałem tego chłopczyka na cesarza, jak ty.

- A co miałem robić?... Należałem do frakcji papieskiej u dworu, i papież chciał właśnie jego.

- Zawsze należałeś tylko do jednej frakcji - do frakcji kombinatorów, Valerianusie!

- Nie znasz mnie dobrze, Fulwiuszu...

- Znam cię dobrze, bo znam takich jak ty! - przerwał mu trybun. - Rzeźbicie w gównie. Waszym budulcem zawsze jest intryga.

Konsul chyba nerwowo się poruszył lub uniósł ramiona, gdyż na fragmencie muru, który było widać przez wejście do celi, mignął cień, jakby światło się rozchybotowało.

- Cały Juliusz Fulwiusz Corvinus „*Soter*”! Serce zahartowane w płomieniu ołtarza sprawiedliwości! „*Vir clarissimus*”! \* [\* - Mąż najświetniejszy! (łac).] Niepokalana dusza, żelazna cnota, brylantowa szlachetność, dziewica wewnątrz lupanaru!

- Coś o tym wiesz, bo współtworzyłeś ów zamtuz przez długie lata...

- Nie zgrywaj lepszego! - warknął konsul. - Przez te same długie lata strzegłeś i broniłeś owego zamtuza jak łańcuchowy kundel, szczerząc kły, warcząc i machając bronią! Jesteś tylko żołdakiem, i niczym więcej, ergo: rzeźnikiem, osobnikiem, którego sens życia polega na utaczaniu krwi!

- A więc jestem lepszy od ciebie i od podobnych tobie, gdyż mam ręce czystsze niż ty, karaluchu! Nie równaj swoich kompanów i moich weteranów! Wasza i nasza gra jest niby identyczna: przechytrzyć lub przełamać wrogów, aby zniszczyć ich dla sukcesu własnego. Tylko że wasze szczone metody są brudne jak psie gówno, a wojna w polu, choć nie mniej okrutna, jest zawsze bardziej rycerska!

- Sralalalabum! Możesz takie wzniosłe androny pieprzyć małym dziewczynkom lub małym chłopcom pokroju cesarza, lecz nie mnie! Jestem na to za stary lis!

- Że lis, to zgoda... i że stary, również!... - mruknął wzgardliwie trybun.

- Dość stary, by cię wyśmiać. Rola jest piękna, owszem, tylko kreacja niezbyt przekonująca, bo pomyliły ci się sztuki. Mylisz tragedię z komedią, więc miast się popłakać ze wzruszenia, pękam z rozbawienia, histrionie! \* [\* - Histrion - w starożytnej Grecji i w Rzymie aktor teatralny]

- Obyś rzeczywiście pękł, legatobójco!

- Nie przywołuj dawnych czasów, nie pora, kiedy ważą się twoje i moje losy! Wtedy zabrano ci



wodzostwo armijne nie tylko wskutek moich intryg, naraziłeś się zbyt wielu ludziom, Fulwiuszu. Również cesarz się obraził. A my byliśmy wrogami, to była walka. Gdybyś mógł, zrobiłbyś mi to samo.

- Gdybym mógł, obiłbym ci wtedy głowę, ale nie knułbym jak ruda lisica...

- Boże, zmiłuj się nad tym idiotą! - jęknął Valerianus.

- Prosisz boga lisów?

- Jeszcze raz ci mówię: skończ już grać przede mną człowieka sprawiedliwego, durniu, bo podobnie jak ja nie siejesz i nie zbierasz na polu sprawiedliwości! Człowiek jest z woli wyższej złoczyńcą, drapieżnikiem, ma to w sobie, nawet jeśli wbrew sobie. Każdy, tak chciała natura. Co bardzo trapi próbujących uszlachetnić się poczciwców.

- Więc ciebie nie trapi.

- Zgadłeś. Nie należę do idealistów próbujących oszukać człowiecze piętno.

- Wiem, umiesz oszukiwać tylko drugich, mniej sprytnych od ciebie.

- Co jest normalne wśród drapieżców, Fulwiuszu, życie to wojna! Różnimy się czymś?

- Czymś dużym.

- Jeśli masz mizernego fiuta, to mówisz prawdę, ale jeśli myślisz o naszych charakterach, to gadasz bez sensu. Obaj pracujemy dla wojny, która zawsze była głównym ludzkim rzemiosłem, główną pasją dwunożnych zwierząt, a żadna nie była sprawiedliwa i nie będzie. Tylko że ty uprawiasz walkę głośną, huczną, ryczącą, metalem boleśnie dziurawiącym ciała, ja zaś cichą, misterną, przewrotną, innym metalem, dziurawiącym dusze. Ty na otwartym polu, a ja w cieniu, spoza kotary, gdyż przy słabych monarchach władza zawsze tkwi za ich plecami, świat jest wówczas rządzony przez ludzi kulis teatru. Ludzi, którzy wiedzą jak się wygrywa ruszając sznurkami kukiełek.

- Powinszować, sam się już wyniosłeś do grona półbogów. Jeśli wszyscy tobie podobni robią to samo, musi wam być ciasno na waszym łotrowskim Olimpie.

- Nie kpij głupio, bo uznam, że się spychasz do Orkusu\* [\* - Orkus - dla starożytnych Rzymian miejsce pobytu zmarłych (jak dla Greków Hades).] durniów, rycerzyku! Ci, którzy sądzą, że dobro musi zwyciężyć prędzej czy później - nie skosztują zwycięstw, gdyż ono nie zwycięża nigdy, naiwna wiara w dobro nigdy się nie ucieleśnia, więc są skazani na przegraną. Wskutek własnej głupoty.

- Czujesz ten smród, Valerianusie?... - zapytał nagle Fulwiusz.

- Jaki smród?

- Własny. Kiedy mi to wszystko tak biegle wykładasz, cuchniesz bardziej niż te moje kupy, które

kazałeś pozbierać swym sługom. Nie trać czasu, uczeń jest zbyt tępy.

- Masz rację, traciłem do tej pory czas. Odtąd przestanę go tracić, i wyłożę ci tylko po co konkretnie się tu zjawiłem. Wóz albo przewóz, durniu!

- Tu, czyli gdzie? Gdzie jesteśmy? W Karcerze Mamertyńskim, wykładowco?

- W więzieniu prywatnym, w pewnych piwnicach starego Rzymu. Zapuszkował cię tu samowolnie Seranus Cimber i trzyma pod własną strażą.

- A tobie dał przywilej odwiedzin, byś jego prywatnemu więźniowi wyłożył istotę natury ludzkiej?

- Kupiłem sobie prawo od jego sług, za takie pieniądze, które ci się nie śnią! I czas krótszy niż do pierwszego świtu, więc przestańmy go tracić. Jeśli się z tobą dogadam, będę musiał dać im pięć lub dziesięć razy więcej. A czy się dogadam, czy się nie dogadam - muszę wyjść stąd jeszcze o zmroku.

- Nim rozpoczniesz dogadywanie się ze mną, powiedz mi dlaczego Seranus, za plecami swego pana, cesarza Rzymu, chwyta i więzi trybuna legionu Alaudae?

- Bo oblężeniem Rzymu dowodzi król Manger, „*Wielki Kwad*”. Rozumiesz, zwycięzco spod Carnuntum?

- Nie, nie rozumiem. Seranus mógł to zrobić przy zgodzie cesarza, nie tylko dla siebie, również dla niego. I być może tak zrobili, razem, a cichcem, bo oficjalne aresztowanie wzbudziłoby gniew moich legionistów, wojsko podniosłoby bunt. I być może ty należysz do tego spisku...

- Więc co tu robisz nocą?

- Nie wiem, niuanse kręactw to nie jest moja specjalność, Valerianusie. Pewnie chcesz ugrać coś, bo może plan się zepsuł.

- Chcę uratować ci życie, durniu, przysięgam!... Konspiruję nie przeciw tobie, lecz przeciw Seranusowi! Ryzykuję głową!

- No to ryzykuj dalej. Wyjaw mi czemu Seranus konspiruje przeciw cesarzowi.

- Seranus chce jeszcze pożyć kilka lat, a strzegąc cesarza do końca, zginąłby z rąk „*Wąsatych*”, bo oni cesarzowi nie darują „*psiego edyktu*”. Cesarz to już żywy trup - nie ma szansy, bez wątpienia da swój głupi łeb.

Dobrze wiedziałem o czym mówi, każdy Rzymianin wiedział. Cesarz - gdy koalicja narodów ruszyła ku Rzymowi ze wszystkich stron - ogłosił edykt wojenny. „*Niech to zostanie obwieszczone naszemu ludowi rzymskiemu, wielce nas miłującemu...*”. Dalej biegło tam o przymusowym poborze

do wojska, aby mogło ono zetrzeć na proch „*bałwochwalców i schizmatyków, zwłaszcza zaś ariańskich neofitów, fałszywie mieniących się prawowitymi chrześcijanami, którzy chcą brukać chwałę Cesarstwa, nie bacząc, iż sprzeciwiają się tym woli Pańskiej, albowiem jako psom nieczystym radziej im merdać pokornie ogonami u stóp naszych, niżli kły szczyrzyć i kąsać, tedy psiarnię ową do karności przymusimy, kijami ich po cuchnących grzbietach waląc, Amen!*”. Tekst był bardzo długi, i pełen różnych epitetów („*populus selerosus*” [\* - Bezczęście (łac).], „*gens peccatica*” [\* - Złoczyńcy (łac).], itp.), wśród których najczęściej występowało słowo „*psiarnia*”, z odniesieniem familijnym do nazwisk królów i książąt jako „*psich bękartów*” tudzież „*kundli Imperium*”. Stąd „*psim edyktem*” dekret ten przezwano, alias „*psią bullą*”, bo papież miał w niej także swój udział. Lecz papież zdążył czmychnąć do Konstantynopola, pod skrzydła cesarza Wschodu, więc rozwścieczeni zhańbieniem ich imion wodzowie barbarzyńców przysięgli okrutną zemstę cesarzowi Zachodu. Fulwiusz i Valerianus mieli słuszość - ów nieszczęsny władca był dufny, głupawy i porywczy jak rozwydrzony dzieciak. Lub może szalony, bo przecież choroba umysłu omija głów dźwigających koronę. Lub tylko (tak wyrokowałby Philomusus) nieoczytany - nieznający maksymy Tukididesa, że najsluszniejszym atrybutem władzy jest powściągliwość. Valerianus ciągnął:

- Cimber chce ratować swą skórę handlując z Mangerem tobą, Fulwiuszu. W końcu Manger przybył tu po ciebie. Bardziej po ciebie niż po skarby Romy. Seranus Cimber to wykorzysta.

- Chyba że ty mu przeszkodzisz, okradając Seranusa, by samemu mieć cenny towar do handlowania z Mangerem...

- I tak, i nie tak. Tak - bo zamierzam okraść Seranusa bez skrupułów, a kosztem wielkich wydatków. Nie - bo chcę opuścić Rzym bez zgody króla Mangera, razem z tobą.

- Razem ze mną?! - zdziwił się Fulwiusz (tu autentycznie, nie teatralnie).

- Razem z tobą, dobrze słyszysz.

- Chcesz zrobić Mangerowi tak wielkiego psikusa? Czemu? Masz jakąś osobistą złość do niego?

- Mam złość do wszystkich parszywych barbarzyńców, jakich nosi ten świat. Cokolwiek o mnie myślisz - jestem patrycjuszem Rzymu, dysponuję duszą Rzymianina i tchnę pogardą Rzymianina. Tego Kwada uważam za zbója, za łotra godnego wbicia na hak żelazny. Wytnę mu kawał z rozkoszą. Ale mam także kilka innych powodów. Słyszałeś, iż zwań mnie „*wielkim kalkulatorem*”. Nie bez przyczyny, trybunie...

- Mógłbyś przecież, dzięki swoim milionom, pożegnać miasto kupując pierwszego lepszego „*duxa*” [\* - Wodza (łac).] wśród oblegających nas hersztów, jak to robi wielu, korzystając z ich wzajemnych swarów i z ich łapczywości na te datki wyjściowe. Zamienili oblężenie w łapownicze przedsiębiorstwo, licytują się między sobą: który więcej uciula od zbiegów.

- Istotnie, mógłbym - przytaknął Valerianus. - Mógłbym, gdybym tylko był równie głupi jak ci wszyscy uciekinierzy, którym się wydaje, że starczy przekupić komesa frankońskiego lub gockiego, i

już ma się wolność tudzież żywot i mieszek ocalony.

- A nie?

- Nie. Pomyślałeś co się dzieje dalej z tymi, którzy uciekają?

- Wędrują czym prędzej ku Bizancjum. Morzem lub lądem.

- Myślę, że @wędrują raczej do krainy cieni, via trochę piachu lądowego, lub piachu morskiego, z dna Adriaticum, Ionium lub Internum. Rzecz jasna, tylko bezzębni. Młodszy idą w pęta. Na morzach panują piraci i Wandalowie. Na lądzie panuje barbarzyńska dzicz! Jedyne durnie sądzą, że kiedy barbarzyństwo się ochrzciło i łyknęło oraz nakradło kultury rzymskiej - ucywilizowało się choć trochę. Ucywilizowali się trochę władcy i ich dwory, lecz cała reszta to dalej ta sama plemienna barbaria co za Juliusza Cezara, absolutna dzicz! „*Psi edykt*” mówi prawdę, bo jego autor to duże dziecko, a dzieci zawsze plotą prawdę. I czyż sam król Gotów, Ataulf, nie narzekał dopiero co na „*wyzdane barbarzyństwo*” swoich współplemieńców, na ich niereformowalność, bo krwiożerczość, zwyrodniałość, nieposzanowanie praw, umów, przysiąg, et cetera? I co myślisz - że jak zawrzesz z nimi umowę, kupując furtkę w pierścieniu oblężenia, to wezmą tylko haracz i cię przepuszczą, razem z resztą majątku? Oblupią cię, wezmą ostatniego denara, legionisto!

- Gdyby tak było, musiałyby jakieś wieści przeniknąć do grodu... - rzekł Fulwiusz, ale niezbyt pewnym głosem.

- Kto miałby je przynieść? - spytał Valerianus. - Obdarte trupy, zniewoleni, czy może familie czekające w Konstantynopolu na swoich bliskich, co?

- Konkurenci do haraczy zadenuncjowaliby winnych łamania umów, żeby dla siebie zyskać więcej klientów wśród bogatych obywateli miasta. Musiałaby taka wiadomość przeniknąć, a jakoś nie było żadnej. Jednym mordem ucieliby strumień datków. Zepsuliby interes, który ciągle jest istotą oblężenia. Póki są chętni wśród bogaczy Rzymu, póty wśród barbarzyńców nie ma zbyt wielu chętnych do zaciekłych szturmów na miasto. Gdy już bogatych zabraknie, dzikusy zdobędą Romę, by wziąć ciało cesarza, „*thesaurus*” \* [\* - Skarb cesarski (łac).] i resztę łupów.

- No dobrze, jeśli nawet masz rację, mówiąc o umowach przy wyjściu z miasta, to czy możesz to samo rzec o dalszej drodze do Bizancjum?... Ta droga jest bardzo długa, zwłaszcza lądem. Droga przez dzicz, której nikt nie kontroluje, tym bardziej, że władcy rozbili swe namioty pod „*Urbs Roma*”. Cała dawna prowincja Imperium to kłębowisko szczepowych bestii, które rozszarpia każdego, u którego wyczują chociażby denara lub złoty pierścionek. Nie jestem samobójcą, by się w to pchać. Nie pachnie mi męczeństwo lub „*iugum barbaricum*” \* [\* - Jarzmo barbarzyńskie (łac).].

- Zatem co wymyśliłeś?

- Wymyśliłem ciebie. Współpracę z tobą, mówiłem już.

- Współpraca z „*wielkim kalkulatorem*”] To dla mnie wielki honor. Ale podaj szczegóły. Co

wspólnie knujemy?

- Ucieczkę.

- My dwaj? Weźmiemy się pod rączki i pójdziemy. Ty będziesz niósł wór solidów, a ja swój miecz, żeby odpędzać od tych solidów barbarzyński motłoch. To mi się podoba! Myślisz, że damy radę?

- Jeśli weźmiesz ze sobą parę innych mieczów...

- Co powiesz na cały legion?

- Czyli na prawie cały garnizon? Bo z legionowych resztek może i zebrałbyś półtora legionu. Ale i na pół legionu nie byłoby mnie stać. Dziesiątej części legionu nie przepuściłby żaden barbarzyński komes, choćby nie wiem jak chciwy, bo zauważono by to w całym obozie Mangera. Już kilkudziesięciu ludzi kosztować mnie będzie te miliony, które byłeś łaskaw opłuć.

- Kilkudziesięciu najemników mogłeś sobie kupić u prawie każdego trybuna czy legata, jemu czyniąc zaszczyt towarzyszenia ci. A tymczasem mnie, znieawidzonemu „*barbarzyńcy*”, robisz ten honor...

- Wiem co robię!... Nie wydam milionów na pierwszego lepszego oficera i na niepewną zbieraninę żołdaków. Ale na „*boga wojny*” - proszę bardzo! Czyż nie jesteś bogiem dla żołnierzy, zwłaszcza swoich? Kiedy wszystko się wali, żołdak, jak każdy, traci ducha. Miękną, zdradzają, dezertują, oglądają się do tyłu. Ale za ciebie, za ciebie jednego, każdy żołnierz da się pokroić, spalić, ukrzyżować, zemleć w żarnach na czerwoną mąkę, nie bacząc, iż płonie jego własny dom i cały świat. Tym bardziej twoi przybocznicy, twoja prywatna gwardia, o której legendy chodzą. Dlatego chcę mieć ciebie, Fulwiuszu. Przyzwyczaiałem się już jako młodzik sięgać po najlepsze, więc na starość nie będę zmieniał upodobań.

- To zupełnie tak samo jak ja, Valerianusie! - odparł Fulwiusz. - Popatrz, jednak coś nas łączy!

- Łączy nas to, co łączy wszystkich, zwierzęta również. Chęć przeżycia. Moja propozycja to dla ciebie jedyna szansa przeżycia, barbarzyńco! Uśmiech fortuny, amnestia, łaska losu.

- Właśnie o tym mówię, łaskawco! Nie chcę na starość zmieniać swoich upodobań. Zawsze bałem się uśmiechów fortuny, gdyż każde powodzenie to wspinaczka, ma swój szczyt, a niżej jest przepaść...

- Tu nie będzie! - rzekł Valerianus.

- Nawet jeśli zbiegną się zastępy Mangera? Kilkudziesięciu moich chłopców padnie niby brzoźki pod wicherą.

- Musiałby wiedzieć, a jak się dowie? Ten, kto weźmie ode mnie przepustny haracz, nie zdradzi

interesu, bo nie zrobiłby interesu.

- Ale może ktoś będzie chciał ubić swój interes z królem Kwadów, któremu przyprowadzi triumfatora spod Carnuntum jak owieczkę, wprost do wilczej jamy?...

- Ty cholerny, ciągle nieufny idioto! - spienił się dygnitarz. - Posłuchaj, niedowiarku! Będziesz mógł zabrać ze sobą swoich bliskich, a ja, prócz kilku sług, biorę swoją żonę i swoją córkę. Możesz cały czas trzymać przy szyjach tych kobiet, a także przy mojej szyi, ostrza sztyletów, i poderżnąć nam gardła gdy tylko zwęszysz zdradę z mojej strony! Będzie ci to dosyć jako gwarancja, że cię nie wystawiam, mądralo?!

- Znowu przezywasz mnie mądralą! - zachnął się Fulwiusz. - Ciekawe co by Philomusus na to wszystko powiedział...

- Kto?

- Albo Eulogus, który również zwie mnie barbarzyńcą...

- A ten kto?!

- No i ciekawe co powie Seranus Cimber, gdy się jutro dowie o twojej wizycie tutaj.

- Niczego się nie dowie, bo dowiedzieć się mógłby tylko od dwóch swoich ludzi, którzy cię tutaj pilnują, i którym musiałem dać dużo solidów. Zabiłby ich, gdyby się dowiedział. A jeśli ty dzisiaj stąd znikniesz, idąc razem ze mną, wezmą dużo więcej solidów i również znikną jak dym.

- I co wtedy zrobi Cimber? Powiesi się z żalu, iż mu ukradziono przepustkę do łaski Kwada?

- Prędzej już zabije cesarza, by tym się wkupić w łaski Mangera. Życie tak niedawno podsunęło wiernemu pieskowi dobry wzór. Czyż cesarza Walentyniana nie zabił oficer cesarskiej straży przybocznej? Jednak wątpię, by nasz Seranus się odważył bez współudziału pretora Quinctusa Gelliusa i paru innych dworskich tuzów, a takie sprzysiężenie, lub nawet próba montowania go, zawsze grozi zdradą i dekonspiracją, czyli śmiercią. Nie, nie odważy się, Fulwiuszu. Będę rychło wiedział co planuje, bo jego domowy eunuch to mój człowiek już całe dwa dni. Gdybym musiał zgadywać: Seranus czmychnie jak niepyszny, za worek solidów dany któremuś watażce barbarzyńskiemu. I wkrótce zdechnie w interiorze barbarii, niczym rozdeptany gad.

- Chyba że weźmie grupę pretorianów...

- Niech sobie bierze, udowodniłby tym, że nie jest zupełnym idiotą. Mnie interesuje czy my dwaj weźmiemy ze sobą grupę twoich własnych pretorianów, Fulwiuszu. Zatem jak, podjąłeś decyzję?

- Podjąłem.

- Słucham.

- Gdybyś musiał zgadywać, konsulu?...
- Rzekłbym, iż nie ma kwestii, robimy to!
- Nie graj dziś w kości, Valerianusie, fortuna nie jest ci dzisiaj łaskawa - nie zgadłeś.

- Mówisz serio?!...

- Czasami. Teraz akurat tak.

- Wolisz, aby cię Seranus zawiózł niczym pęk słomy do Mangeri?!

- Znowu powiem coś zupełnie serio, Valerianusie, drugi już raz dzisiaj, u mnie to dużo razy. Nie mogę zostawić mojego legionu.

- Jakiego legionu? Nie masz już choćby ćwierci legionu, została dla tych niedobitków tylko nazwa! Podobnie jak dla reszty pseudolegionów!

- Ale są żołnierze. Nie mogę ich zostawić, oni mi ufają.

- Człowieku, już zostawiłeś! - krzyknął konsul. - Oni nie wiedzą, że Cimber cię uwięził, myślą, że zwiąłeś! Jeśli się nie dogadamy, to nie wrócisz tam, i pomrą pamiętając, że wielbiony wódz ich zdradził! Czy nie lepiej zostawić im honorową wiadomość, że wyjechałeś szukać „ostatniego legionu”?

Widać mojego ojca zatkało, bo przez długą chwilę panowała cisza. Wreszcie uderzył kilka razy dłonią w dłoń i wyrzucił z siebie:

- Oklaski, cała sala bije brawo! Nowy chwyt „wielkiego kalkulatora”, następne świecidełko-mamidełko z jego skarbczyka sztuczek kuglarskich!

- Czyżbym ci nie wspomniał, że nie interesuje mnie kierunek: Konstantynopol? - zapytał Valerianus, lekceważąc drwinę. - Interesuje mnie „ostatni legion”, barbarzyńco.

- To przecież tylko plotka!

- Na dwanaście plotek jedna okazuje się prawdą. Obstawiałem już rydwany przy mniejszej szansie, i zdarzało mi się wygrywać.

- Kpisz, czy chcesz naprawdę szukać śladów tej bajdy?

- Chcę naprawdę. Jestem brudny jako polityk, bo polityka deprawuje wszystkich swoich pracowników; jestem występny jako człowiek, gdyż przyrodzona natura ludzka i fata ludzkie pchają ku grzechom; ale jestem dumny jako Rzymianin, więc kiedy tu będzie włądało barbarzyństwo - ja chcę być tam, gdzie ostał się choćby wyspiarski kawałek „*Imperium Romanum*”! Winienesz to pojmować świetnie, boś zawsze był „*Vir Romanus*”\* [\* - Mąż Rzymu, charakter prawdziwego

Rzymianina (łac).], Fulwiuszu, i winienesz tęsknić do tej wyspy bardziej niż ja, legiony to twoja miłość. Nie uwierzę, iż nie nęci cię „ostatni legion”...

Znowu zapanowała cisza roztrząsań i wyczekiwań. Przerwał ją trybun, bez złościwości:

- Co wiesz o „ostatnim legionie”?

- Niewiele. Podobno zespoliły się szczątki legionu dziewiątego i legionu trzeciego, Hispana i Augusta, tworząc prawie pełny legion. Inni mówią, że prawie półtora legionu.

- Gdzie?

- Słyszałem, że idąc z Galii na wschód przekroczyli Ren i omijając góry maszerowali w stronę Dunaju. Ale to wieści niepewne. Pono już dalej nie idą, gdzieś założyli obóz jako forteczną enklawę, i trwają tam. Szukając ich, kroczyłbym ku północy, przez Noricum lub przez Pannonię, i rozpytywałbym kogo by się dało. Pójdziesz?

- Poszedłbym... - zawahał się Fulwiusz. - Ale...

- Ale co?

- Ale nie mogę zostawić większości moich ludzi, i tych murów, których kazano mi bronić, Valerianusie.

- Wolałbyś czekać na tych murach aż twoi ludzie wezmą wzór z matek Romy pożerających własne dzieci, jak to już zresztą było dwa oblężenia temu? Ale przecież takiej szansy, możliwości skonsumowania własnego żołnierza, nie dostaniesz, bo Seranus wyda cię Mangerowi jeszcze w tym tygodniu, idioto!

- Będzie co będzie. Odmawiam. Dłużej nie próbuj, Valerianusie, blisko świt.

- Ty skurwysynu! - jęknął konsul. - Nie podjąłeś decyzji teraz, cały czas wiedziałeś, że odmówisz!

- Ummm.

- Więc dlaczego gadałeś ze mną tyle czasu?

- By zabić nudę. Siedzę tu kilka dni i nie mam do kogo otworzyć pyska, a z tobą się tak ciekawie rozmawia, @stary przyjacielu...

Chwilę później echo zapulsowało mocno, nieomal głuszając Valerianusowy ryk:

- Słuchaj, ty @chlubo legionów, ty zbójcu rzymski w dawnym stylu, pijący krew okrutnika, którego nie umiały zabić ani filozoficzne grekolubstwa, ani chrześcijańska płakliwość! Będziesz mi posłuszny jak domowy pies, wilku, albo zdechniesz nim klepsydra obróci się kilkadziesiąt razy!



Echo wolniutko gasło gdzieś, a Fulwiusz nie odpowiedział nic. Pewnie się tylko uśmiechnął; tak wnioskowałem, sądząc z pytania Valerianusa:

- I co, zdaje ci się, że kolejny raz w swym życiu wygrałeś? Że wybierając śmierć okazałeś się sprytniejszy od króla spryciarzy, mądralo?

- A nie?

- Nie! Jeszcze widać nie wiesz do jakiego jestem zdolny sprytu! Moje sztuczki uczyniły mnie krezusem, tysiąc razy wyciągały mnie z matni, dały mi przetrwać na wierzchu każde polityczne trzęsienie, łamały wyroki losu, kiedy on był mi wrogi, żaden kuglarz nie może się równać ze mną! Umie cię zmusić!

- Spróbuj. Pokaż mi to, rozbaw mnie jeszcze raz.

- Będzie bolało...

- Zobaczymy.

- Więc zobacz... Lucipor, daj go tu!

Rozkaz konsula poderwał strażnika, który wyrwał mi z ust szmatę i pchnął mnie do celi. Fulwiusz siedział przy ścianie, na kupie słomy, a Valerianus trzy kroki przed nim, na taboreciku. Zobaczyłem ojca. Nie był to miły widok - ujrzałem zarośniętego brudas, spękane wargi, zmęczone rysy, fryzurę pełną słomianych farfocli. Ślepią miał wybałuszone wskutek gniewu. Nagle powstał, i teraz on ryknął, rzucając się w stronę konsula z dłońmi rozcapierzonymi niby szpony jastrzębie:

- Ty bydlaku!!!...

Nie dosięgnął - zbyt krótkie łańcuchy gwałtownie go wyhamowały i ściągnęły, waląc na ziemię. Leżał, i krzyczał dalej, aż ślina tryskała z ust:

- Ty parszywy morderco! Ty dzieciobójcu nikczemny!!!...

- Fulwiuszu... - rozłożył ręce dygnitarz. - Coś ci się znowu pomyliło! Od zabijania, od utaczania krwi, jest „*bóg wojny*”, nie ja. Ja jestem cywilem.

- Cywilem, który mnie straszy zamordowaniem mojego syna jeśli się nie ugnę!

- Co ty gadasz, człowieku?! Widać, że parę dni ciemnicy pomieszało ci zmysły zupełnie, legionisto! Nigdy w życiu nikogo nie zabiłem, prócz jakiejś muchy. Żadnego człowieka! I nigdy nie wydałem rozkazu zabicia człowieka. Możesz to samo rzec o sobie, zwycięzco wielu starć, pogromco nieprzeliczonych wrogów?

- A czy ty możesz mi udowodnić bezkrwawość swoich łap? - zapytał Fulwiusz, już spokojniej.

- Pewnie, że mogę, proszę bardzo! Dam ci dowód najaktualniejszy: gdybym chciał handlować z królem Mangerem twoją okazdanoną cielesnością, to wiedząc już gdzie cię trzyma Seranus, zabiłbym strażników, a nie ich przepłacał, i tak skradłbym cię do handlu, a nie kusił do ucieczki wspólnej. Mógłbym też ich zabić, by cię zwyczajnie uwolnić i liczyć na twoją wdzięczność. Ale ja nie zabijam, dlatego oni teraz liczą kupkę solidów, miast gryźć kupkę piachu. Nie jestem mordercą.

- Czemuż więc Kaiusa tu przyprowadziłeś? Żeby mieć świadka?

Zanim Valerianus wyjaśnił, stąpnałem ku ojcu, chcąc go utulić. Wzbronił mi:

- Nie dotykaj mnie, Kaiusie, lepię się od brudu. Dlaczego Rega zezwolił ci przyjść tutaj? Czym ten człowiek zyskał jego ufność?

- Zakładniczką, Fulwiuszu! - rzekł dygnitarz. - Zostawiłem twemu psu moją córkę. Kaius wróci tam cały i zdrowy. Lecz tylko po to, aby szybko umrzeć, jeśli ja nie dogadam się z tobą. Bo widzisz - Kwad już wie, że masz syna, a opłakuje czterech swoich synów. Teraz Kaius jest dla niego cenniejszy niż ty, tak przynajmniej usłyszał Seranus Cimber od giermka króla Mangera.

- Więc czemu Cimber nie porwał Kaiusa dotąd?

- Bo jeszcze nie zdołał. Już ponad tydzień ludzie Cimbera warują wokół twojego domu, by schwytać Kaiusa, ale z twoim synem stało się coś dziwnego. Przestał opuszczać dom! Dawniej biegał po nocach ku pijackim jaskiniom i łatwym dziewczętom, a teraz siedzi kamieniem wewnątrz domu, chociaż myślę, że Rega nie wzbrania mu rozpusty. Rega nie wie, iż Seranus Cimber poluje na Kaiusa, więc cóż się stało?

Fulwiusz obrzucił mnie surowym spojrzeniem i zapytał:

- Nie wychodzisz z domu?... Czy dlatego, że ja zniknąłem? Rega ci wzbronił?

- Nie wzbronił. Raz wyszedłem, ojciec.

- Nocą?

- Tak.

- Sam?

- Nie, był ze mną Rufus i trzech pretorianów.

Konsul pokiwał głową ze zrozumieniem:

- Pretorianów ludzie Cimbera nie zaatakują!

- Nie wiedzieli, że wyszliśmy... Wyszliśmy podziemnym korytarzem - mruknąłem do jednego i drugiego.

- Czemu sam nie wychodzisz? - spytał Fulwiusz.
- Nie mam po co wychodzić... - bąknąłem, spuszczać wzrok.
- Mów prawdę, nie czas na kręactwa, synu!
- Lubię Atię, tato...
- Jaką znowu Atię?
- Służącą Atię.
- Czyją służącą?!
- Ona służy w naszym domu...

Valerianus wybuchnął śmiechem:

- Twojego syna zamknęła w domu i uchroniła przed Seranusem Cimberem nowa miłostka, Fulwiuszu, czyż to nie cud Boży? I czyż to nie drugi Boży cud, że przybrany syn ma identyczne skłonności co przybrany ojciec, i to tak bardzo, że twój rodzony syn nie wykazywałby pewnie równego twojemu apetytu na płeć piękną? Zaiste, da się mówić, iż to twoja krew, Fulwiuszu! Masz moc szczęścia. Tymczasem ten biedny Seranus ma dubeltowego pecha! Ja mu przekupuję niełojalne służki, a fertyczna służka chroni swym zadkiem Kaiusa od łap Seranusowych zbirów! Jak długo będą ci tak sprzyjały wyroki losu, trybunie?...

- Mów po coś przyprowadził tu Kaiusa!... - zeźlił się Fulwiusz.

- Manger chce dostać ciebie i twego syna, aby pomścić śmierć swoich dzieci. Przyprowadziłem tu Kaiusa, licząc na twoje uczucia ojcowskie, legionisto... Chciałem, byś lepiej zrozumiał, że bez moich milionów i bez mojego planu obaj umrzecie w męczarniach. Bo chyba nie sądzisz, że Manger odpuści... I co mi teraz powiesz?

Fulwiusz schylił głowę, wsadził ją między kolana i oddychał przez zatkany, świszczący nos. Czulem ten straszny ciężar, i niczego bardziej nie pragnąłem jak pomóc memu ojcu. Zastanawiałem się gorączkowo, przywołując słowa Philomususa („- *Rozum ma być twoim doradcą, Kaiusie!*”) i słowa Regi („- *Myśl samodzielnie, wynajduj!*”). Czekałem na koniec letargu Fulwiuszowego, ale trybun wciąż nie unosił głowy. Przerwałem więc milczenie, zwracając się do niego pierwszy raz po imieniu, niby do kolegi z ławki szkolnej:

- Fulwiuszu... zostawisz kogoś, któregoś centuriona, aby im wszystkim wytłumaczył, że musiałeś zniknąć dla dobra całego Rzymu, bo kiedy król Manger się dowie, iż opuściłeś gród, będzie miał mniej obłączniczej wytrwałości. Część wojsk roześle, by nas goniła i szukała, a ty będziesz szukał „ostatniego legionu”, żeby na jego czele wrócić i rozbić barbarzyńców. Jest ich więcej, ale ty już nie raz zwyciężyłeś dużo silniejszego wroga mniejszą siłą. Kiedy twoi żołnierze usłyszą to, nie będą

mieli żalu do ciebie. Gdybyś został tutaj z nimi - nie ocalisz Rzymu. A tym bardziej, gdybyś zezwolił wydać się w pętach królowi Kwadów.

Skończyłem i czekałem co powie. Dalej nie unosił głowy. Za to Valerianus nie czekał, kuł żelazo:

- Masz równie mądrego co jurnego syna, Fulwiuszu. Musiał być ćwiczony w logice przez świetnych preceptorów...

Dopiero wtedy Fulwiusz uniósł głowę i odparł:

- Był ćwiczony przez Greka, który lubił pluć na retorstwo, zwąc je pustosłowiem, choć sam potrafił argumentować jak pierwszy retor Rzymu... Wygrałeś, ruszymy do tej obiecanej ziemi.

- I pomyśleć, że wygrałem dzięki perswazji kogoś, kto jeszcze nie musi się golić, dzięki chłopcu! - westchnął dygnitarz.

- Znowu się mylisz! - zaprzeczył mój ojciec. - Młodzieńcze sofizmaty Kaiusa nie wpłynęły na moją decyzję, nie ulegam perswazjom chłopców.

- Więc dlaczego się zgadzasz?

- Bo jeśli tu zostanę, będę dalej musiał słuchać tej syryjskiej melodyjki, którą pilnujący mnie człowiek Cimbera bez przerwy gwizdże, nie pozwalając mi ani myśleć, ani spać! Dostaję od jego gwizdania szału!

- Lucipor! - krzyknął konsul.

Wbiegł strażnik:

- Słucham cię, panie!

- Przynieś narzędzia, by rozkuć trybuna. Zanim wrócisz, on da mi słowo.

Strażnik zniknął, a Fulwiusz spytał:

- Jaką masz gwarancję, że kiedy stąd wyjdę, dotrzymam słowa? Przyszedłeś tu pewnie z kilkoma ludźmi. Ilu wzięłeś, trzech, dwóch? Już w korytarzu tego lochu mogę ich zabić gołymi rękami, choćby każdy trzymał dwa miecze.

- Wiem, że możesz to zrobić - uśmiechnął się Valerianus. - Lecz nie zrobisz.

- A co mi przeszkodzi, „*wielki kalkulatorze*”!

- Słowo, które mi dasz. Dasz je gestem legionów, kładąc pięść na sercu. Tacy jak ty różnią się od takich jak ja czymś rozczulającym: należą do głupców, którzy dotrzymują danego słowa, bo cenią sobie własną pychę, zwąc ją honorem. Złożysz mi tutaj „*sacramentum fidelitatis*”! [\* - Przysięgę

wierności (łac).], barbarzyńco! Na krzyż i na twój pierścień rycerski.

- Zapomnij o tym!... Mogę ci jedynie przysiąc, że będę dowodził zbrojną eskortą twojej rodziny, i że będę razem z tobą szukał „ostatniego legionu”. Ale nie będę ci wierny we wszystkim, bo uważam, że jesteś zdolny do wszystkiego, Valerianusie. Nie ty będziesz kierował wyprawą, lecz ja!

- Będziemy nią kierowali pospołu. Ty będziesz jej wodzem, a ja mózgiem. Przysięgaj na swój legionowy honor, na pamięć swego ojca i na swą cześć Rzymianina, że wyprowadzisz mnie z grodu, będziesz bronił w drodze i nie opuścisz samowolnie, barbarzyńco!

- To mogę, wielbicielu cnoty starorzymskiej - zgodził się trybun.

- Czy możesz zrobić coś jeszcze dla dobra wspólnej sprawy?... - zapytał konsul. - Wyrzuc z gorzkiej pamięci to wszystko co nas kiedyś dzieliło. Byłbym rad.

- Tego nie mogę, nie umiem gwałcić pamięci. Ale mam zwyczaj nieoglądania się za siebie gdy już postanowiłem iść do przodu.

Winien był - siedząc w żelazach, skazany na męczeńską śmierć - przyjąć bez dyskusji i wahań każdą propozycję ratunku, by ocalić jedyny żywot, jaki Bóg mu dał. Winien był kłamać, i obiecywać, i przysięgać, nie targując się - gwoli przeżycia, które (jak słusznie rzekł Valerianus) jest głównym priorytetem zwierząt i ludzi. Byłby usprawiedliwiony, gdyż wszelki środek usprawiedliwia ten cel. Tak postąpiłby prawie każdy, i prawie nikt nie robiłby sobie wyrzutów. Mógł ustąpić Valerianusowi, aby później - będąc już wolnym - złamać słowo. Okpiłby króla kombinatorów, co samo w sobie zapewniałoby sumieniu rzetelne alibi. Czyż nie takie są prawidła gry o życie, które stanowi daną przez Boga świętość? Jest to oczywiste dla wszystkich. Ale nie było oczywiste dla trybuna Juliusza Fulwiusza Corvinusa. Słusznie tedy zwano go: „*Soter*” - imieniem bogów.

## VI.

Valerianus zawiózł nas do innej części grodu - do jakiegoś ceglanego budynku, gdzie ukrył mojego ojca, a sługom kazał mnie odprowadzić pod wylot tajnego korytarza rezydencji Fulwiuszowej. Rzekł mi:

- Wyklaruj Redze co się urodziło. Jutro złożę wam wizytę mój majordomus i omówi z Regą szczegóły planu, a najpóźniej pojutrze wszyscy znikniemy. Dziękuję ci, chłopcze, za sukurs, pragnąłbym mieć takiego syna.

„Spytaj czy ja chciałbym mieć takiego ojca” - pomyślałem. Lecz kiedy w naszym domu minęła mnie Kornelia, idąc ku wyjściu ze swą opiekunką, by słudzy Valerianusa mogli je odebrać - pomyślałem, że chciałbym mieć takiego teścia, bez względu na jego nikczemność. Rzuciła mi szybkie spojrzenie, i wydawało mi się, że również uśmiech, ale nie byłem pewny, bo w półmroku błysnęły tylko oczy. Pewien byłem czegoś innego - że sto takich dziewcząt jak Atia dałbym za Kornelię. Przespałem się z Atią następnego wieczoru, lecz szalejąc między jej udami wyobrażałem sobie, iż sapie pode mną córka Valerianusa.

Majordom konsula przybył gdy słońce szczytowało. Zwał się Mustio, bez drugich imion, tylko: Mustio. Był starszy od Regi. Pewnie służył kiedyś w armii lub pracował w stadninie jako ujeżdżacz, bo poruszał się charakterystycznym, kołyszającym krokiem kawalerzystów. Siadł z Regą przy stole i dostał czarę wina, którym przepłukał zapylone skwarem gardło. Rega nic nie pił i nie pytał o nic; czekał aż tamten rzeknie. Tamten rzekł najpierw złą wiadomość:

- Seranus już wie. Szaleje, rozpuścił chyba swoich do pilnowania, bo przy wszystkich bramach kręcą się nowi ludzie, których wczoraj nie było.

- Jeśli to sprawka Cimbera, trzeba być chytrym jak i on sam... - powiedział enigmatycznie Rufus.

- Będziemy chytry. Twój pan, szlachetny trybun Fulwiusz Corvinus, wyjdzie z miasta nocą pod płaszczem i hełmem zwykłego legionisty, i pod pozorem rekognoskowania przedpoła. Patrol będzie wiodł jeden z centurionów. Nikt się nie zdziwi, bo takie patrole wzdłuż zewnętrznej strony murów, badające czy wróg nie robi nocami prac oblężniczych zbyt blisko, to rzecz zwyczajna. Katapulty ogniowe trzymają barbarzyńców na solidną odległość, nie dając im sterczeć bliżej, ale nocą mogliby budować osłony, więc nocne patrole są koniecznością. Legion Alaudae ma obowiązek regularnego patrolowania swojej części przedpoła po zmierzchu, trybun Corvinus sam w tym uczestniczył. Inna sprawa, że brał na rekonesans mniejszą liczbę ludzi niż teraz chce wziąć, brał kilkunastu, nie więcej.

- A ilu teraz chce wziąć ze sobą?

- Osiemdziesięciu. Sześćdziesięciu konno, plus dwudziestu pieszych manuballistów\* [\* - Kuszniaków (inna starorzymśka nazwa kuszników: arcuballiści).].

- Prawie centuria... Niewielu jak na długą drogę, kiedy trzeba będzie brnąć przez tereny pełne dziczy... - zmartwił się Rufus, drapiąc czoło.

- I tak dużo, zważywszy trudność wyjścia tyluludzi razem przez pierścień oblężenia za jedną łapówkę... - rzekł Mustio. - Ale mój pan gada, iż są warci góry płaconych Frankowi klejnotów, bo trybun to genialny wódz, a jego ludzie to niezrównani wojacy, którzy pobiją każdego wroga, i będą stać przy swym wodzu do ostatka, choćby jeden na drugim miał lec.

- Eee tam! - machnął ręką Rufus. - Głupie gadanie!

- Nie są tacy dobrzy? - zmartwił się tym razem Mustio.

- Na dziewczkach wolą się kłaść, nie na sobie - wyjaśnił Rega. - Jakby na sobie się pokładali, dziewczki krzywdę by miały wielką.

Gość parsknął śmiechem, aż pochlapał sobie kubrak winem z ust:

- Mój pan mówił mi, że trybun to dowcipny człowiek, ale nie mówił, że jego sługa również...  
Uczysz się tego od swego pana?

- Jeśli ty także uczysz się od swego pana, to trzeba być ostrożnym gdy perorujesz, bo można stracić dużo... - mruknął Rega.

- Nie pluj nań, nic ci nie zrobił! - odparł Mustio kwaśnym głosem. - A teraz chce ci zrobić łaskę, ratując cię swymi pieniędzmi, byś nie doznał krzywdy po zdobyciu miasta przez barbarzyńców!

- Bóg mu to z pewnością wynagrodzi tym, że przeżyjesz swego pana, wierny sługo! - prychnął Rufus.

- Czemu właśnie tym? - zdziwił się sługa Valerianusa.

- Bo wówczas grabarze nie będą na pogrzebie twego pana jedynymi żałobnikami.

Mustio machnął ręką i odparł:

- Wiem jaki on jest. Ale go kocham, bo wykupił mnie z niewoli u Wandalów. Bez jego szczodroblewości gniłbym tam wciąż.

- Wszystkim niewolnikom okazuje podobną szczodrość szanowny konsul?

- Mnie okazał, gdyż, młodym będąc, wujowi jego służyłem.

- A któremu to Frankowi chce teraz udowodnić swoją szczodrość górą klejnotów?

- Bałwochwalcy Guntamundowi, synowi króla Rendarana. Guntamund nie przepada za Chrystusem, ale nie przepada również za „*Wielkim Kwadem*”, dlatego puści nas.

- Puści nas nie dlatego, że czci stare bałwany i że jest zazdrosny o króla Mangera, tylko dlatego, że przepada za monetą! - stwierdził Rufus. - Jest tam wśród nich wielu, którzy dalej czczą pogańskich

bogów, ale najpowszechniejszą, gdyż najsilniejszą religię wyznają czciciele złota, drogi Mustio. Winienes o tym wiedzieć, twój pan jest w chrześcijańskim Rzymie arcykapłanem tego kultu. Mnie ciekawi coś innego - czy wśród oblegających został jeszcze, prócz Mangera, choć jeden wódz, którego nie można przekupić.

- Podobno nie bierze naczelnik wojsk króla Trygemina, Agilulf.

- Ta longobardzka świnia nie bierze?!

- Podobno.

- Ciekawe. Winien się tedy obwiesić! Pamiętasz drwiny z prefekta Neapolu, Hortensjusza Fuskusa, który się obwiesił? Wykonywał najbrudniejsze roboty dla dworu cesarskiego, ale łapówek - jako jedyny wśród dygnitarzy - nie brał. Mówiono wtedy, że był niczym ta neapolitańska kurwa, która po dziesięciu latach uprawiania prostytucji odebrała sobie życie, bo się dowiedziała, że jej rzymskie koleżanki robią wprawdzie to samo, ale biorą za to pieniądze. Twój Valerianus, arcykapłan kultu chciwości i chytrości, nigdy by sobie nie pozwolił na taką naiwność.

- Sam rzekłeś, iż trzeba nam chytrości. Arcykapłan chytrości jest i dla ciebie zrządzeniem losu, panie Rego. Wymyślił, że nawet rzymskie niewiasty pomogą nam.

- Rzuci je przeciw barbarzyńcom?

- Właśnie tak!... I właśnie kurwy, o których dopiero co mówiłeś.

- Czyli prawie wszystkie kobiety Rzymu!

- Nie żartuj, on tę rzecz wymyślił serio.

- Zaczynam wierzyć w triumf! - ucieszył się drwiąco Rega. - Zawsze sądziłem, zupełnie serio, że mężczyźni to płęć słabsza, nie dorównująca kobietom ani w miłości, ani w nienawiści, czyli w wojnie między płciami, która trwa odkąd Adamowi wyjęto żebro z boku. Mam więc teraz prawo sądzić, że jeśli Valerianus rzuci Rzymianki na barbarzyńców, to nie tylko uratuje Rzym, lecz zniszczy całe barbarzyństwo, od północnych mórz po pustynie Egiptu, i dokona „*renovatio Imperii*” [\* - Odnowienia Cesarstwa (łac).], a wówczas jemu trzeba będzie dać cesarski diadem. Rzeczywiście - chytrze wymyślił, nie ma co!

- Nie ma co kpić, panie Rego, decyzję już podjął.

- Jaką decyzję? - spytał Rega, gasząc szydercze ogniki we wzroku.

- Jutro przed wieczorem straż miejska wyłapie prostytutki i wypchnie je barbarzyńcom poza mury. „*Wasaci*” są spragnieni kobiet, życie obozowe dojadło im już, nie trzymają tu zbyt wielu bab. Trochę branek romańskich z okolicznych wsi, więc nie starcza dla każdego. Rozpocznie się duża orgia, która zajmie wrogów, a trybun łatwiej prześlizgnie się tam, gdzie będzie czekał Guntamund i jego



Frankowie.

Rufus wytrzeszczył wzrok, nie mając już w spojrzeniu ani kropli kpiny. Lecz dalej argumentował:

- Co na to prefekt Paetus Laenas i pretor Quintus Gellius? Przecież tylko oni posiadają uprawnienia do takich łapanek!

- Konsul wmówił cesarzowi, że to osłabi morale wrogów, a wielu rozłoży chorobą weneryczną. Cesarz kupił to, bo kupi wszystko co przedłuży obronę. Quintus Gellius dostał już rozkazy.

Zobaczyłem podziw we wzroku Rufusa. Napełnił gościowi opróżnioną czarę i przyznał:

- Twój pan ma rzeczywiście bardzo duży łeb, mój szacunek, kolego!

Po czym odwrócił się do mnie jak belfer do ucznia:

- To jest właśnie to, co ci zalecałem, Kaiusie, coś lepszego od greckiej filozofii. Wynajduj! Wynajduj rzeczy, które innym przez myśl nie przejdą. Wynajduj skuteczność, by zmniejszać siłę kłopotów.

- Mojego pana nie bez kozery zwa „*wielkim kalkulatorem*” - wtrącił Mustio. - Cieszę się, że jego mądrość, panie Rego, uznał.

- Uznałem tylko jego przebiegłość, a nie jego mądrość. Jego spryt, a nie jego rozum. Nie mylmy pojęć.

- Dobrze i to!

- Mówiłeś, że ten Guntamund będzie czekał. W którym miejscu?

- Za cmentarzem przy Via Tiburtina. To też jest dowód rozumności konsula, gdyż „*Wąsaci*” boją się duchów ludzi zmarłych, więc omijają cmentarze jak miejsca zadzumione. No i jest tam wyjście z dawnych katakumb, którymi przejdzie Valerianus ze swoją rodziną. Znamy katakumbowy korytarz pod murami grodu. Służba przeniesie tamtędy wszystko co trzeba i załaduje na wozy, które Guntamund dostarczy nam w ramach haraczu. Ty, panie Rego, i Kaius, i wasi słudzy, możecie iść z nami.

- Słudzy i Kaius tak - rzekł Rega. - Ja pójdę z trybunem, przez bramę.

- Ja również pójdę z ojcem! - krzyknąłem, i nie usłyszałem sprzeciwu.

Gdy Mustio wyszedł, Rega kontynuował przygotowania do ewakuacji. Po wieczery, utrudzony, chciał się zdrzemnąć (minionej nocy spał lichy), ale mu nie dałem, gdyż dręczyło mnie kilka spraw:

- Rufusie... tam, w celi, Valerianus się upierał, że wojna, walka mieczem przeciw wrogom, jest równie brudna jak zakulisowa walka dworskich intrygantów. Czy to prawda?

- Nieprawda.

- Tak myślałem, ale chciałem się upewnić.

- Źle myślałeś. Wojna w polu, Kaiusie, nie jest @równie brudna, lecz brudniejsza! Valerianus mało o tym wie, bo zna wojnę ze słyszenia tylko. Wojna to ohyda, kaleczy duszę, produkuje sieroty, krzywdzi bez sensu wielu ludzi, zwłaszcza ludzi niewinnych. Wojna to wstrętne rzemiosło, dzieciaku.

- Ale Fulwiusz mu przeczył, twierdząc, iż to rzemiosło rycerskie...

- Bo Valerianus należy do osobników, z którymi trybun nie lubi się zgadzać.

- A więc mój ojciec uprawia brudne rzemiosło...

- Tak go wychowano, nic innego nie umie robić. Prócz, oczywiście, kuśkowania bab. Ale to drugie jest sportem, a to pierwsze jest zawodem. Wykonuje ów zawód, i robi to lepiej niż inni. Nie robiłby on, robiliby drudzy, zawsze ktoś musi to robić. Kiedy broni kraju lub miasta przed agresją - jest święty. Kiedy zdobywa, pacyfikuje, anektuje - jest złoczyńcą. W obu przypadkach leje cudzą krew jako rzymski bohater. Bohater, który odbiera życie, bo tylko tę jedną czynność ma spełniać. Wojna zmusza do grzechu.

- To straszne, Rufusie...

- To normalne i nieuniknione, Kaiusie. Świat byłby lepszy, gdyby składał się z samych Philomususów, ale nie składa się z samych filozofów. Jeśli ty nie zarznieś, zarzną ciebie - takie jest, niestety, prawo wojny. A wojna jest regułą życia. Życie to selekcja naturalna, dzieciaku. Nie on wymyślił tę grę, która trwa bez przerwy odkąd istnieje ludzkość. Ja również nie nadstawię łba po chrześcijańsku, wolę uciąć łeb wrogowi. Dlatego właśnie dałem ci ten sztylet... Chcesz jeszcze o coś zapytać?

- Tak. Valerianus mówił, że matki zjadały swoje dzieci podczas oblężenia Rzymu...

- To jest, niestety, prawo długich oblężeń, Kaiusie. I nie tylko oblężeń. Prawo morskich katastrof, klęsk żywiołowych, przepraw przez góry, wygnań, pustyń, nieurodzaju - głodu! Pod tym względem zwierzęta górują nad ludźmi. Wilczyca zagłodzi najsłabsze szczenię, żeby móc wykarmić silniejsze szczenięta, lecz go nie zjada. A brzuch kobiety wchłania to, co niedawno wydał do życia, stając się dla jej potomstwa grobem.

- Kiedy to było?

- Kilkadziesiąt lat temu, gdy miasto oblegali Wizygoci. Często były wtedy przypadki ludożerstwa nim ogłoszono: „*Urbs capta!*” [\* - Miasto zdobyte! (łac).].

- Ale na co dzień, w czasie bez wojny i bez głodowego przymusu, nie zjadamy ludzi, a barbarzyńcy pono to czynią.

- Kto ci tak rzeki?

- Służba tak gada. Boją się wejścia barbarzyńców. Mówią też, że barbarzyńcy lubią kopulować z zabitymi niewiastami...

- To nonsens! Powiedz tej swej Atii, by używała tylko dolnych warg, bo górnymi plecie głupoty zasłyszane wśród kuchcików!

- Sam Valerianus mówił Fulwiuszowi, że większość barbarzyńców, prócz ogładzonych trochę książąt i królów - to dzicz zupełnie bestialska!

- Bestialsko prowadzą wojny i traktują jeńca, tu miał rację. Odurzają się do walki i półprzytomnie szaleją na polach bitew, co jest u nich zwyczajem, robili tak za każdym razem. Gallowie, Longobardowie, Turyngowie, Berserkowie, wszyscy oni to demony wojny nie zważające na ryzyko utraty życia. Ale zwyciężaliśmy ich. Też musieliśmy wściekle walczyć, a po bitwie nie różniliśmy się zbyt od mniej cywilizowanych ludów. Żołnierz po bitwie zawsze dobija rannego wroga i zawsze obdziera trupy ze wszystkiego co ma jakąś wartość. Lecz nie słyszałem, żeby barbarzyńcy zjadali trupy wrogów.

- Nawet Hunowie?

- Nic o tym nie wiem, a znałem pewnego Huna. Nie był ludożercą. Jedyne kanibala poznałem w Rzymie, nosi lamowaną togę. Nasz dobroczyńca, konsul Valerianus.

- Też mi żart! Przecież on nie zjada ludzi!

- Zjada, Kaiusie, tylko inaczej... Rozumiem, że pytasz mnie o to wszystko, gdyż będziemy iść przez dzikie tereny barbarzyńców, i się boisz. Ja barbarzyńców, nawet Hunów czy ich potomków, boję się mniej niż tego człowieka. Boję się również złośliwości losu, ponieważ najlepsze plany walą się przez głupi przypadek, albo przez zdradę. Zbyt wielu uczestniczących, choćby spośród sług, zna już plan Valerianusa, może być „*Źle!*”, jak mawia Marcipor... Daj mi się teraz zdrzemnąć, bo nie spałem ubiegłej nocy, a jutro wieczorem ruszamy, i cała jutrzejsza noc będzie nieprzespana. Chcesz sobie poczytać o barbarzyńcach, weź w bibliotece kronikę Marcellinusową. Jest świeża, prawie wszystko aktualne, choć już zniknęło kilka szczepów i narodów.

Aż do wieczora, do pożegnalnego spotkania z Atią, czytałem księgę Ammianusa Marcellinusa o dziejach Cesarstwa Wschodniego. Szczególnie interesujący był fragment o zwyczajach Hunów: „*Młodziutkim chłopcom Hunowie tak kaleczą policzki, by dorastając nie mieli zarostu, przez co starzy Hunowie bród nie mają i eunuchom są podobni z oblicza. Żrą surowe mięso lub półsurowe mięsiwo wszelkich, nawet obrzydliwych stworzeń, grzejąc je na końskim grzbiecie pod udami, albo tyłkiem swoim. Domostw nie cierpią, cały czas spędzają na koniach, również śpią na koniach, a schodzą z konia jeno za potrzebą i do kopulacji. Dla kobiet i dzieci mają mnóstwo wozów. Żaden spośród Hunów nie tknie pługa, nie orze, nie uprawia niczego - są w ciągłym ruchu i w ciągłym boju. Bardzo są podczas walki niebezpieczni, albowiem własne życie lekce sobie wazą, a wobec przeciwnika stosują sztuczki chytre. Gdy ten skupia swą uwagę na ich żelazie, niespodziewanie*

*opłatują go linami, czyniąc bezbronnym. Rozejmy łamią kiedy chcą, ufać im nigdy nie można. Jak tępe bydłeta - nie wiedzą co to uczciwość. Żadna religia, czy nawet zabobon, nie hamuje ich przeniewierstw. Rozpala ich ciągła chęć zyskiwania złota”.*

Jestem pewien, iż Rega by tu mruknął: „- Zupełnie jak Valerianus!”.

Lecz wtenczas nie było mi do śmiechu. Słyszałem już, co prawda, że Hunowie rozproszyli się i odeszli ku Wschodowi, jednak wiedziałem, że zostały między dzikimi terenami Północy (wschodniej Północy) ich bękarty z różnych szczepów, całe stada, a wyobrażałem sobie większość barbarzyńców jako dzicz analogiczną. Bałem się drogi ku północno-wschodnim ziemiom istotnie. Bałem się również tamtejszych chłodów, bo o północnych zimach i o kopnych śniegach straszne rzeczy mówiono. Nie wiedziałem wówczas - nie mógłbym sobie tego nawet wyobrazić - że nie wrócę tu, na Południe, już nigdy. Lecz trwożąc się - radowałem się zarówno. Cieszyło mnie, iż będę męźniał u boku „*Sotera*”, jako współpogromca tego świata dzikich ludów. Cieszyło mnie i to, że będę przez całą drogę blisko córki Valerianusa. Boże mój - byłem taki młody! Pamięć młodzieńczych lat to najmiłsza i zarazem najdokuczliwsza z blizn, które pielęgnuje starość.

Rufus miał dubeltową rację - kiedy mówił o białej nocy, i gdy mówił o przecieku. Wieczorem dnia kolejnego dołączyliśmy do Fulwiusza i do jego żołnierzy. Sprzyjała nam mgła, i równocześnie była wrogiem, bo musieliśmy wolno stąpać, więcej licząc na słuch niż na wzrok. Rufus złożył Fulwiuszowi raport o tym co zabrał z domu (dźwigał to jeden muł, głównie szaty dla zmiany ubrania), a Fulwiusz roześmiał się:

- Valerianus bierze tyle, iż trzeba mu będzie kilku wozów i trochę jucznych koni! Jego słudzy kursują katakumbami wte i wewte, parę razy obróć.
- Byle któryś nie obrócił do Cimbera... - rzekł ponuro Rufus.
- Seranusa nie ma już w murach Rzymu, nie wiesz nic?
- Nie wiem, panie.
- Konsul mi rzekł. Cimber zniknął wczorajszej nocy, bał się dłużej czekać.
- Może teraz czeka na nas, gdzieś tutaj, blisko...
- Niech czeka, o niczym bardziej nie marzę jak o tym, by go spotkać, przyjacielu!
- Jeśli zna plan Valerianusa, mógł zawiadomić „*Wielkiego Kwada*”, i wtedy nie damy rady, panie.

Fulwiusz pokręcił hełmem (trybunowym hełmem; oddał już hełm szeregowego legionisty):

- Ryzykowałby życie, jadąc do namiotu Mangerana... Bo gdyby Mangerowi nie udało się nas schwytać, rozerwałby tę dworską hienę. Nie wierzę, iż...

- Ciszej, panie! - syknął Rega. - Słyszać jakiś głos!

Fulwiusz dał ręką znak, wstrzymując kolumnę. Usłyszeliśmy zbliżających się jeźdźców. Byliśmy już kilkaset kroków od murów miejskich, na granicy między przedpołem a strefą oblężniczą.

- Barbarzyńcy? - spytał trybun.

- Legioniści - szepnął Rega. - Mówią bez akcentu. Są już blisko! Zgaśmy łuczywa, wszystkie!

- Po co?

- Zobaczą nas, wodzu!

- Gotuj się! - rzekł Fulwiusz do żołnierzy. - Kuszniczy w środku, konni po bokach! Ile mamy włóczni?

- Tylko dziesięć, bo tylko dwudziestu mamy pieszych, wodzu - odparł zapytany centurion.

- Na sam przód, końce w ziemię, groty wprost!

Centurion uderzył pięścią swój pancerz:

- Tyś rozkazał, wodzu!

Z mgielnego oparu wyłoniły się płomienie wysokich wojskowych lamp, a za nimi gromada pretorianów. Przynajmniej pół kohorty, wszystkich nie było widać. Na czele zobaczyłem i bezzwłocznie rozpoznałem tego oficerka, adiutanta cesarza, który przybył do naszego domu szukać Fulwiusza i obraził Regę. Towarzyszył mu drugi elegant, nieco starszy, też bez legionowego hełmu z czerwonym pióropuszem gwardii pretorskiej, tylko w złocistym hełmie dworaków.

- Wy, tam! - krzyknął młodszy. - Stójcie, i ani kroku dalej, stać!

- Przecież cały czas stoimy - odparł Rega, wysuwając się do przodu na flance kuszników Fulwiusza.

- Zawracajcie!

- Czyj to rozkaz? Prowadzę patrol legionu Alaudae i...

- Rozkaz zwierzchniej władzy, zdrajco!

- Ja też mam swój rozkaz! - warknął Rega. - Kazano nam ścigać uciekiniera Seranusa, twojego dworskiego kolegę, młodziku!

- Kłamiesz! Szlachetny prefekt Seranus Cimber opuścił miasto wczoraj z misją specjalną, za zgodą władzy!

- Czyli kogo? Cesarza?

- Szlachetnego pretora Quinctusa Gelliusa! Zawracaj do Rzymu, chyba że wolicie bój! Jest nas dużo więcej...

- Ale ty jesteś dużo mniejszy - rzekł Fulwiusz, wychodząc przed Regę. - Ja jestem trybun Juliusz Fulwiusz Corvinus, wódz legionu Alaudae.

- Właśnie ciebie ścigam! Pan mój, szlachetny Quinctus Gellius, kazał mi zawrócić was, choćby siłą.

- A czy kazał ci też przemawiać z konia do trybuna legionu?

- Nie widzę tu trybuna, tylko zbiega! - odwarknął tamten zuchwale.

- Na ziemię, sługo!

- Mam rozkazy!

- Masz łeb za wysoko, gdy szczekasz do większego od siebie! Zejdź, lub twój łeb zaraz zejdzie pod kopyta twego wierzchowca!

Cisza trwała krótko, bo tym dłużącym dialogiem Rufus się znużył.

- Jak przekupki na jarmarku! - mruknął. - A to takie proste.

Wyjął kuszę z rąk stojącego obok manuballisty i nie podnosząc jej do ramienia strzelił dworakowi w gardło, zwalając trupa pod kopyta.

- Przyrzekłem ci zabawę, paniczku! - dodał, zwracając broń kusznikowi.

Wszyscy osłupieli, nawet Fulwiusz. Starszy elegant ryknął:

- Bić ich!

Lecz nim wyciągnął żelazo, błysnął gladius w rękę setnika pretorianów i spadł na bark rozkazującego. Drugi trup zwałił się pod kopyta. Osłupieliśmy jeszcze bardziej, nawet Rufus. A ten setnik wstrzymał uniesioną dłonią swoich ludzi, zeskoczył z siodła, podszedł do Fulwiusza, klęknął przed nim na jedno kolano i rzekł:

- Panie, przyjmij mój miecz w twą służbę, będę ci wierny po grób! Daj mi iść z tobą!

- Tak wierny, jak temu, którego zabiłeś? - wtrącił się Rega. - Po grób tego, którego prosisz?

- Milcz, Rufio! - skarcił go Fulwiusz. - A ty mów kim jesteś?

- Jestem centurion pretorski, Frontinus Sijan. Nie służę temu, którego zabiłem. Gardzę nimi.

- Czemu chcesz jechać ze mną?

- Bo cię kocham, wodzu. Zawsze chciałem tobie służyć. Byłem już w legionie Fulminata, kiedy brałeś ten legion, ale ze względu na wysoki wzrost przeniesiono mnie do gwardii pretorskiej.

- Nie wiem czy mogę ci ufać...

Zza pleców trybuna rozległ się głos:

- Możesz, panie!

I spośród szeregu konnych „przybocznej gwardii «Sotera»” wyjechał setnik Caeliusz Pollius, który towarzyszył nam od wrót Rzymu.

- Możesz, Frontinus jest człowiekiem prawym, ręczę za niego.

- Więc dołącz, Frontinusie - zgodził się Fulwiusz.

Gdy tylko to powiedział, wśród gwardzistów pretorskich rozległy się wołania:

- Ja też! Ja też! Ja też!

Około trzydziestu ludzi z czerwonymi pióropuszcami wyjechało przed pretorski tłum, a mieli proszący wzrok.

- Ręczysz i za nich, Caeliuszu? - spytał mój ojciec.

- Nie za każdego, nie znam serc ich wszystkich, trybunie, ale jeśli Frontinus poręczy, możesz mu ufać.

Frontinus zlustrował twarze i dał wyrok:

- Ręczę za nich, wodzu!

- Więc idą z nami.

Rega znowu nie wytrzymał:

- Dopłacimy własną monetą, panie?!

- Bądź spokojny, Rufio, on to wszystko zapłaci - rzekł „Soter”. - Sam mówiłeś, że mało nas, ci chłopcy się nam przydadzą. Frontinusie, odpraw resztę ku miastu.

- Twój rozkaz, wodzu! - huknął na piersi kułak pretorianina. - Jeden Bóg wie jaką czujemy

wdzięczność! Nie będziesz żałował, wodzu!

Kohorta zniknęła we mgle, a my ruszyliśmy przez swoje ciemności, trochę po omacku wynajdując kierunek i trakt. Kiedy zlokalizowaliśmy cmentarz - stało się coś dziwnego: zobaczyłem, iż mgła się unosi, rozplywa, wreszcie zanika, odsłaniając sklepienie Boskie i księżyc świecący zimnym blaskiem tak mocno, że nie trzeba było pochodni czy lamp. Bezmierna liczba gwiazd nakrapiała granatowe niebo, jakby zleciały się tu dusze zmarłych, by w milczeniu obserwować śpiącą ziemię, albo może błogosławić naszym czynom i drogom. Wtem ze wschodu ukazała się większa złota plamka, ciągnąc warkocz strzępiasty niby ogony egzotycznych ptaków.

- Kometa - mruknął Rufus. - Znak Boży!

- Żle! - przytaknął Marcipor.

- Nie mówię, że źle, durniu, tylko że znak! Los pokaże czy dobry, czy zły, i dla kogo dobry, a dla kogo zły. Żegna nas lub wita, kto to wie?

Wokół, jak okiem sięgnąć, drzemały grobowce minionych czasów: proste kamienne płyty, kamienne piramidy i większe mauzolea, budowane na kształt pogańskich świątynek. Całe rody patrycjuszowskie, zastępy ich klientów, rzesze wyzwoleńców, a dalej od centrum również pokolenia sług wolnych i niewolnych spoczywały tutaj cicho, pilnując - jak chciała ludowa gęźba - fortuny imperialnego Rzymu. Mech ozdobił i pleśń malowała te nagrobki bez przeszkód, nikt już ich bowiem nie odwiedzał. Umierały kryjąc umarłych, skazane na banicję przez to samo oblężenie, które skazywało miasto na ruinę grobową Imperium. Nie było wieńców ani żadnej innej pamięci żyjących, prócz krzątający gryzoni i ptaków, a czas poszerzał szczeliny, w których kwitła dzika roślinność. Wyniosłe cyprysy pełniły milczącą wartę wzdłuż alei głównej, prowadzącej za mur cmentarny, do wieży z gabińskich bloków, której attykę wieńczyła grupa figur alegorycznych. Pod wieżą zobaczyłem Valerianusa i jego gromadkę. Skoczył ku nam, machając dłonią; kiedy ujrzał szeregi pretorianów, zatrzymał się.

- Co oni tu robią, Fulwiuszu? - spytał.

- Towarzyszam nam. Będziesz miał eskortę solidniejszą.

- Będę miał większe wydatki, bo Guntamund więcej zażąda!... Lecz cóż, trudno, większa siła to i większe bezpieczeństwo, a bezpieczeństwo jest ważne przede wszystkim.

- Kiedy zobaczymy go tu?

- Już wkrótce. Na pewno się zjawi, lubi klejnoty jak kobieta.

- Pod tym względem każdy jest kobietą - zauważył filozoficznie Fulwiusz.

- Gdy o kobietach mowa, współniku, chodź, przedstawię ci moją żonę, Terencję, i moją córkę, Kornelię - rzekł Valerianus, prowadząc trybuna tam, gdzie czekały niewiasty.



Uśmiechnąłem się do Kornelii, a ona do mnie. Terencję Sabineę ujrzałem wtedy pierwszy raz. Była naonczas niewiastą w pełni rozkwitu. Valerianus zaślubił ją jako wdowę. Poprzedni jej mąż, senator ze szlacheckiej rodziny, wziął Terencję gdy ukończyła czternaście lat - kilkunastoletnia dziewczyna wydała mu się godnym kąskiem dla jego spróchniałych zębów. Zostawił fortunę, więc Valerianus, sam również wdowiec, przygruchał sobie owdowiałą piękność - ten spadek wydał mu się godnym łupem dla jego szponów drapieżcy. Była już wtedy wykwinną elegantką, światową damą, rozrzutną i nie liczącą klejnotów. Wobec jej szyku i jej urody pasierbica, choć ładna, wyglądała niczym zaniedbana sługa, której brakuje wdzięku i oblicza kształnego. Kornelia zdawała mi się istotą ziemską, a więc dostępną; Terencji przyglądałem się jak zjawie z tajemniczych wnętrza pałacu imperatora. Miała smukłą, lecz pełną sylwetkę. Miała cerę białą bez pomocy mącznego pudru, oczy błyszczące, zaś wargi szkarłatnookowocowe, co razem dawało zachwycającą twarz, ale twarz zimną, jakby ciosaną dłutem w białym lśniącym kamieniu. Cała zresztą sprawiałaby wrażenie posągu, gdyby tylko posągi nosiły suknie marszczone spod biustu ku upięściom palcom stóp owiniętych złocistymi rzemieniami sandałów, plus czarne włosy, przeplecione sznurami pereł i obsypane złotym proszkiem, nadającym fryzurze barwę jaśniejszą. Te falujące miękko włosy były tak gęste, że niejednego w Rzymie kusiły, by chwycić je, ścisnąć i przyciągnąć wiśniowe usta do własnych ust.

- Cudowna klacz, o bogowie!... - palnął cicho któryś pretorianin.

- Dla ogiera nie twojej stajni, Dorusie! - zganił go setnik Frontinus.

Fulwiusz musiał być zaskoczony, że ubrała się na ciężką drogę jak na dworską biesiadę. Gdy stanął przed nią - wydali mi się parą krewniaków. I on miał twarz jakby stworzoną dłutem rzeźbiarza, lecz śniadą i trochę dziką, co kontrastowało z białą cerą i z gładkimi rysami Terencji. Mimo to, stojąc tak obok siebie, wyglądali niczym dzieło tego samego warsztatu - para antycznych posągów u wejścia do świątyni pogańskiej. Biały marmur i oksydowany brąz.

Zbliżyłem się, żeby słuchać dialogu prezentacyjnego, i nie tylko ja zaznałem zdumienia. Ledwie bowiem Fulwiusz się przedstawił - Terencja, miał go grzecznie powitać i rzucić kilka dwornych słów, spytała obcesowo:

- Czemuś się nigdy nie żenił, trybunie?

- Nigdy nie miałem okazji, pani... - wykrztusił zaskoczony Fulwiusz.

- Brzydko tak kłamać! Nigdy nie szukałeś okazji, a jeśli okazja sama się zdarzyła - unikałeś tej możliwości jak dżumy. Ze strachu?

- Widzę, pani, że dużo o mnie wiesz...

- Słyszałam trochę o twoich konkietach.

- Mówię o czymś innym. O tym, że wiesz, pani, iż jestem człowiekiem powodowanym siłą strachu, czyli tchórzem. Dość długo dawałem radę ukrywać to przed ludźmi, i doszedłem do takiej wprawy, że niektórzy widzieli mnie odwrotnie, biorąc za...

- Za herosa?

- Właśnie, czego to ludzie nie wymyślą, prawda?

- Beżenny gładkousty tchórz, z dowcipem, jaki niektórzy mogliby wziąć za autentyczne poczucie humoru! Miło, że ktoś taki będzie nas strzegł od dzikusów. Jeśli nawet nie pozabijasz ich śmiechem, trybunie - to przynajmniej nam wszystkim będzie w drodze wesoło!

- Terencjo!!... - rozsierdził się Valerianus.

- Słucham cię, mój mężu?

- Pozwalasz sobie...

- Pozwalam sobie, mężu, mniej niż inne Rzymianki. Zostaw mi chociaż prawo oceniania twoich kompanów!

Valerianus wzruszył ramionami i wziął Fulwiusza ku stronie:

- Te baby! Ale cóż począć, mężczyzna bez żony jest jak dom bez ogniska, a świątynia bez ołtarza. Wiem, że uznałeś jej słowa za wulgarność, Fulwiuszu, wszelako...

- Nie uznałem, @kompanie. Zresztą zawsze lubiłem wulgarne baby. Ale wulgarność musi mieć swoją klasę; wulgarna baba bez klasy to gorsze nawet niż cicha i uprzejma.

- Daj spokój! - westchnął Valerianus. - Kiedy klujesz drwiną, rządzi tobą złość! Jak wtedy, u Cimbera, w piwnicy. Nie przejmuj się tak, mnie przy pierwszym spotkaniu zbesztła gorzej. Ma dobry charakter, ale sprawia inne wrażenie na pierwszy rzut oka. Na drugi, dokładniejszy - wypada lepiej. Cieszy dopiero na trzeci rzut oka, sam się przekonasz, Fulwiuszu. Co innego Kornelia, prawdziwa słodycz, byłaby cudowną żoną dla każdego męża, który chce...

- Jakiś konny! - krzyknął Rufus.

Wszyscy naraz odwrócili twarze. Spomiędzy drzew wyjechał barbarzyńca, rozglądając się czujnym okiem, zawrócił i zniknął. Chwilę później zjawilo się kilkunastu. Przewodził im ubrany bogato dzikus na koniu białawej maści - Guntamund Frank. Valerianus powitał go grzecznie, a tamten wybuchnął:

- Nie dotrzymałeś umowy!

- Ja?! - zdziwił się Valerianus.

- Miało być was stu! Czy ci pretorianie zawrócą?

- Nie zawrócą. Ale miała być jedna skrzynka klejnotów, a będą dwie.

- Daj wszystkie, które wzięłaś ze swojego domu, a przepuszczę cały dwór cesarski, z wyjątkiem cesarza, konsulu! Jest bezcenny, nie ma ceny na taką głupotę jak jego!

- Słusznie mówisz, królu, nie ma ceny na tak wielką głupotę - zgodził się Valerianus. - Sami to rozumiemy.

- Rozumiecie?! Od kiedy?! Czy rozumieliście już wówczas, gdy wskrzeszanie chwały Imperium zaczął przywracaniem instytucji, które dawno już zniesiono, czego dowodem gwardia pretorska, zlikwidowana przez cesarza Konstantyna półtora stulecia temu? A może wtedy, gdy dla glorii swych faworytów zaczął urzędy Rzymu dwoić i troić, mnożąc konsulów, pretorów oraz prefektów, czego przykładem ty jesteś, „konsulu metropolitalny”? Czy dopiero wówczas, gdy mnie i wodzów innych plemion mianował „psiarnią”, ściągając na Rzym wszystkie plemiona świata?

- Nie będziemy przecież radzić teraz o głupocie cesarza, szlachetny Guntamundzie... - rzekł pojednawczo konsul.

- Dobra. Będziemy liczyć tych wskrzeszonych pretorianów, Valerianusie.

- Jest ich trzydziestu czterech! - krzyknął Fulwiusz.

- Zobaczę - mruknął Frank, i ruszył ku pretorianom.

Ujechał kilka kroków, lecz mijając trybuna zatrzymał się. Spojrzał mu świdrująco w twarz i zeskoczył z siodła, a ton przybrał uprzejmy:

- Pamiętam cię, pamiętam bitwę na moczarach zakola Łaby, „Wybawco”! Cudem wybawiłeś wtedy swe legiony od klęski sromotnej! Pozdrowienie wodza Franków dla pierwszego żołnierza Rzymu!...

- Pozdrowienie żołnierza Rzymu dla wielkiego wodza Franków!... - odparł „Soter”, lekko chyląc hełm trybuna zwieńczony pyskiem wilka.

- Cieszę się, że i dzisiaj z piekła uchodzisz.

- Uchodzę, by wrócić silniejszym i sprawić wam piekło.

- Liczysz na „ostatni legion”, trybunie? Słyszałem, iż gadacie w Rzymie, że taki legion gdzieś jest, ale myślę, że to bzdura. Nie widział go nikt.

- Zanim go zobaczysz, usłyszysz go. Gdy będziemy wracali, będzie głośno o nas, będzie huk!

Guntamund skrzywił wargi z politowaniem:

- Sądziłem, że tak nierozsądny jest u was tylko cesarz! Zwiecie nas hordą barbarzyńską, dziczą bez mózgow, tępą psiarnią, a jakie mózdzki nosicie w swoich oświeconych głowach, żołnierzu? Czy używasz własnego, czy myśli za ciebie ta wilcza skóra z wypchanym łbem basiora, którą

przyczepiłeś do hełmu legionisty?... My też słyszeliśmy, że pewien strzęp legionów gdzieś się błąka, to normalne, rozbiliśmy sporo legionów, więc niedobitki mogą się jeszcze szwędzić i łączyć w grupę większą. Ale my ją zwiemy „ostatnią kohortą”, a nie „ostatnim legionem”, i nawet to traktujemy jako żart. Nie widział jej nikt. Goci i Swebowie twierdzą, że z pewnością nie ma jej w Hiszpanii; my wiemy, że nie ma jej na ziemi Franków; Alamanowie są pewni, że nie ma jej na ich ziemiach; Burgundowie również. Spytaj Kwadów, Sasów, Longobardów - powiedzą to samo! Jeśli nie zauważyliśmy kohorty, to myślisz, że przeoczylibyśmy masę legionu? Zezwolilibyśmy mu wędrować i krzepnąć na naszych tyłach? Gdzie mógłby się schować? W jakiejś górskiej kotlinie, o której zapomnieli ludzie i Bóg? W środku jakiegoś boru, którego nie penetruje żaden myśliwy? Wewnątrz jakichś pustyń lub bagien, których nawet ptaki nie odwiedzają? Gdzie? Legion to sześć tysięcy pieszych, plus pół tysiąca do dwóch tysięcy konnych, plus pomocnicy i służba - prawie dziesięć tysięcy ludzi! Duże miasto! Wykarmisz je z leśnych łowów? Bez widu ni słyhu? Trzeba codziennej spyży dla zwierząt i strawy dla każdego żołnierza. Dziesięć tysięcy ludzi! Jak moglibyśmy dowiedzieć się, że istnieje taki ogrom? Czarnoksiężnik zrobił ich niewidzialnymi, a czarodziejki dostarczają im magicznego pokarmu?...

Umilkł, patrząc to na Fulwiusza, to na Valerianusa, lecz oni też milczeli, tylko bardziej ponuro. Wiedziałem, że obaj są z tych, którzy nigdy nie zapominają języka w gębie - a teraz brakowało im słów! Ciarki przeszły mi pod tuniką od ich milczenia. Guntamund, czując swój triumf jak ryś czuje krew, dobił ofiary:

- Wariat albo spryciarz wymyślił ten „ostatni legion”, żeby krzepić ducha mieszkańców Rzymu, i gawiedź to kupiła, co rozumiem, bo strach jest matką i karmą łatwowierności człowieka czekającego na cud. Ale nie rozumiem co sprawiło, że tacy jak wy dwaj, myślący, wykształceni Rzymianie, kupili ten idiotyzm! Zwłaszcza legionista, rzymski „bóg wojny”, wielki „Soter”! Dziesięć tysięcy ludzi przykrytych czapką-niewidką! Powodzenia!... A „ostatnia kohorta”? Może, tu nie będę się kłócił. Kilkuset wojaków - trzystu, czterystu, sześciuset, powiedziałem: może... Choć i to byłby cud. Z tym będziesz wracał, żeby zrobić nam piekło?

Pierwszy raz ujrzałem zawstydzonego Fulwiusza. Zawstydzonego nie dziecięco i nie sztucznie, jak wtedy, gdy karciał go ksiądz Eulogus, lecz zawstydzonego głęboko, tak, jak zawstydzają tylko bezsporność publicznej kompromitacji. Byłby pewnie cofnął się do miasta, gdyby nie obawa, że cesarscy mogliby chcieć dalej handlować nim i mną z królem Kwadów. Tymczasem Valerianus demonstrował chłodne oblicze, jakby perswazja Guntamunda spłynęła mu po twarzy niczym wiosenna mżawka po masce aktora. Myślę, iż był zawsze histrionem grającym swoją komedię bez względu na okoliczności - typem demonstrującym to całkowite zaabsorbowanie własną figurą, charakterystyczne dla ludzi pragnących władzy i żądających od wszystkich akceptacji, szacunku tudzież podporządkowania; nie mógł sobie zezwolić na publiczną słabość.

Guntamund, zlustrowawszy okiem drugą, mniejszą skrzynkę klejnotów, kazał ją wziąć swojej służbie, a wówczas Valerianus zapytał:

- Gdzie woży?

- Stoją tam, wśród krzewów. Cztery duże, i dwa mniejsze, jak umówione było.
- Więc umowę mamy dopełnioną, możemy ruszać.
- Niezupełnie... - rzekł Frank. - Brakuje jednego klejnotu.
- Jakiego klejnotu?

Guntamund wskazał rubinowożłoty naszyjnik, spływający z karku ku piersiom żony konsula:

- Głównego, Valerianusie. Chcę go mieć, albo zwracam mniejszą skrzynkę i twoi pretorianie nie przejdą.

Valerianus pobladł. Tym razem jego wydłużające się milczenie pachniało słabością, zaś uległa zgoda byłaby kompromitacją, której aktor grający rolę triumfatorów nie zniósłby, bo nie wyszedłby z tego bez hańby. Wiedział, że musi dać, wszelako wiedział również, że trzeba dać górując. Zagrał lekceważenie:

- Zdejmij tę nędzną błyskotkę, żono, będziesz nosiła dziesiątki cenniejszych.
- Ale ta jest po mojej matce, mężu! - odparła Terencja.

Przełknął ślinę niczym grudę, i widać było, że gorączkowo myśli jak uratować swój aktorski honor nie tracąc godności dyktatora zdarzeń. Wyręczył go Fulwiusz. Zbliżył się do kobiety, mówiąc:

- Podaruj mi go, pani.
- Nie oddam go!
- Oddasz go tylko mnie.

Rozpięła naszyjnik i wyciągnęła dłoń z klejnotem w stronę Fulwiusza. On zaś wyciągnął ku niej swoje ramię, prosząc:

- Zapnij go na moim ramieniu, pani.

Zrobiła to. Miał bardzo muskularne ramię, grubsze od jej szyi; klejnot opiął je ciasno, dopięła z trudem. Guntamund przyglądał się temu drwiąco. Gdy skończyli, powtórzył:

- Chcę go mieć!

Fulwiusz przewiercił swym spojrzeniem oczy Franka i szepnął głucho:

- Weź...

Teraz Guntamund - jako ostatni już spośród trzech głównych aktorów farsy - znalazł się w pułapce

grożącej kompromitacją. Przy stanowiskach plemion oblegających gród trwała orgia sycenia się prostytutkami Rzymu, lecz ciężka walka musiałaby ściągnąć pod cmentarz intruzów, a wówczas Manger by się dowiedział, że Frankowie pragnęli go okpić wypuszczając z klatki jego śmiertelnego wroga. No i miast klejnotów - trzeba byłoby liczyć trupy własnych wojów, gdyż bitwa z wilkami „Sotera” zakończyłaby się hekatombą. Mógł zrobić tylko jedno: skopiować gierkę Valerianusa, okazując lekceważenie. Prychnął:

- Nie będziemy się droczyć dla jednej kobiety, Fulwiuszu. Przez jedną kobietę padła Troja, ta lekcja winna studzić umysły rozsądnych rycerzy. Zachowaj sobie tę nędzną błyskotkę.

- Dzięki ci, królu, szczodrobliwość hegemonu świadczy o jego majestacie królewskim, tudzież o jego powołaniu rycerskim - rzucił grzecznie Fulwiusz.

Była w tym komplemente kpiarska dwuznaczność, choć bez kpiarskiego tonu, i dopiero drugie zdanie ukłuło wprost:

- Nawet tak nędznej błyskotki szkoda dla kobiet lekkich obyczajów, które dziś was radują, Guntamundzie.

Frank się roześmiał:

- To był dobry pomysł, żołnierzu! Twój?

- Nie, Valerianusa, królu.

- Znowu przypomina się Troja, koń dany wrogom! Ale rzymskie dziwki nie rozłożą nas do szczętu. Są zbyt słabe. Trzeba było raczej wysłać rzymskie patrycjuszki, cesarskie dworki i senatorskie faworyty... Wiesz zapewne, boś wziął wykształcenie nie gorsze od tego, które kupił mi mój ojciec, frankoński barbarzyńca - że, wbrew pozorom, prostytutki szybciej się męczą przy pieprzeniu niżli dworskie damy, zwłaszcza gdy pieprzy je całe stado samców...

Spojrzał ku Terencji, a ja zrozumiałem, że Fulwiusz mimowolnie dał mu pomysł wzięcia jadowitego odwetu za utracony klejnot. Pewnie i Fulwiusz już to wiedział, jednak nie mógł nic uczynić - mógł tylko słuchać.

- Pamiętasz, żołnierzu, iż Messalina, żona cesarza Klaudiusza, wyzwała na pojedynek Scyllę, główną kurwę Rzymu. Leżały obok siebie, cesarzowa i prostytutka, a samce stały w dwóch kolejkach i wkraczały jeden za drugim. Po dwudziestu pięciu ogierach Scylla wymiękła i przegrała, a Messalina dalej biła rekord dworu... Żegnaj, i już tu nie wracaj, bo wróciłbyś na ten cmentarz jako stały lokator!

Dał znak swoim ludziom i zniknęli w mroku za cmentarzem. Zrobiło się cicho, każdy bał się poruszyć, tylko wiatr dalej szeleścił koronami cyprysów. Fulwiusz ściągnął naszyjnik przez dłoń i zwrócił żonie konsula.

- Dziękuję ci, trybunie - rzekła identycznym tonem co uprzednio, pełnym wyniosłego chłodu.

Nie przejął się tym, lecz uśmiechnął:

- Miałaś rację, pani, zupełnie nieźle idzie mi rozśmieszanie barbarzyńców... Może dlatego, iż sam noszę ich krew, twój mąż ciągle zwie mnie „*barbarzyńcą*”. Postaram się dalej rozbrajać ich śmiechem, wedle twego życzenia.

- Trzymam cię, trybunie, za słowo! - burknęła, i odwróciła się, by pójść do wozu.

Nie biwakowaliśmy tej pierwszej nocy, chcieliśmy ująć możliwie daleko, zwłaszcza że wędrowka była żółwia. Konni spali w siodle, a służba w wozach; najgorzej było pieszym, którzy spać nie mogli wcale. Mijając wóz Valerianusa usłyszałem przez płótno kłótnię małżeńską:

- Tylko spóbuj! Nie dam mu Kornelii!

- Nie jest twoją córką, Terencjo!

- Będąc moją pasierbicą - jest moją córką! Nie dam dziewczyny człowiekowi takiego rodzaju!

- Co ty mówisz! Każda posiadająca córkę matrona Rzymu śniła, by ją wydać za...

- Za pomnik? Jako mąż byłby rzeczywiście bryłą kamienia!

Mój koń chrapnął, trzęsąc grzywą, więc w obawie, iż wyrzą i zobaczą podsłuchującego - odjechałem do przodu. Byłem zbyt młody, żeby już wiedzieć jak rodzi się nienawiść między matkami a córkami; dla zdobycia tej wiedzy nie trzeba siwych włosów, ale trzeba trochę przeżytych lat. Wtedy myślałem tylko o tym, czy tą kłótnią nie zbudzą Kornelii, chociaż kłócili się półszepem. A prawdę mówiąc - myślałem jeszcze o czymś innym: cieszyłem się, że Kornelia nie będzie żoną mojego ojca.

## VII.

Rano zsiadłem z konia, bo tyłek by mi się odparzył. Nie będąc kawalerzystą, miałem zbyt miękkie pośladki do długiego telepania się w siodle. Wolałem kroczyć pieszo, trzymając uzdę wierzchowca. Pewien kusznik o zmęczonych nogach spytał czy może wskoczyć na moje siodło. Zezwoliłem mu i obaj byliśmy zadowoleni.

Dzień szybko zrobił się bardzo upalny - tak upalny, iż chciało się wejść w nurt rzeki lub w toń jeziora goło, i pływać bez końca. Żar słoneczny dusił zapachy żywic i kwiatów, pot zasychał na ciele nim zdążył spływać, nogi wlokły się jakby je obwieszono ciężarami. Pragnienie snu muliło mi umysł i zwieszało mi głowę, żem idąc widział buty sunącego przede mną włócznika i nic więcej. Nawet ptactwo ucichło, chowając się w gęstwinie, aby przeczekać skwar. Zrobiliśmy to również my, rozbijając pierwszy biwak między brzegami polany leśnej, i ogniska ugotowały jadło dla każdego. Nie mieliśmy dużych zapasów, dlatego Fulwiusz kazał Rufusowi wyszukać wśród żołnierzy takich, którzy parali się już myślstwem:

- Będziemy kupować gdzie się da, ale nie wyżyjemy bez łowów. Wśród arcuballistów i łuczników z pewnością są myśliwi, niech się zgłaszają.

Tego dnia sen nas wcześniej zmorzył, lecz przedtem każdy mógł się ostudzić i oczyścić, gdyż w pobliżu biegł strumień, a chociaż woda jego była słońcem wygrzana - dawał rozkosz. Rankiem, tuż po posiłku, Fulwiusz zebrał wojskowych i oznajmił:

- Pretorianami dowodzi Caeliusz, a jego pierwszy zastępca to Frontinus Sijan. Ludźmi z mojej legii dowodzi Aulus Carvillus, a jego zastępcą będzie centurion Isidorus. Nad nimi - gdy ja będę nieobecny, ciężko ranny lub ubity - stoi ten oto mój zastępca, Rufus Rega. Gotuj się do wymarszu!

Pamiętam ów ranek lepiej niż wiele innych dni naszej wędrówki, bo zobaczyłem wtenczas coś niezwykłego: bunt żołnierzy ojca! Rozległ się w szeregach pomruk, znamionujący jawną niechęć. Pretorianie milczeli, gdyż będąc świeżo przyjętymi do „gwardii «Sotera»”, godziliby się na wszystko. Lecz weteranów z Alaudae poniosło, nie wstrzymali gniewu.

- O co chodzi, Isidorusie? - zapytał Fulwiusz setnika. Wystąpił rosły centurion, któremu duża blizna kroiała młodą jeszcze twarz, i rzekł:

- Panie, ten człowiek to cywil!

- A wy nie chcecie podlegać cywilowi, bo nie lubicie cywilów? Widziałeś jak zdjął oficera cesarskiego?

- Strzelić kuszą, i trafić z kilku kroków, dziecko umie, starczy ruszyć spust, gdy już naciągnięta.

- Czyli on wam się nie podoba, chłopcy...

- Jeśli taki jest twój rozkaz, wodzu, będziemy słuchać, ale...



- Masz rację, Isidorusie, ja też nie lubię tego człowieka. Daję ci więc rozkaz: zabij go. Zabij go natychmiast, tu, bez zwłoki!

- Co takiego, panie?!

- Dałem ci rozkaz, żołnierzu! Każesz mi powtarzać rozkaz?!... Więc powtarzam: zabij go! Drugi raz nie powtórzę, tylko każę zabić ciebie, bo kiedy żołnierz łamie dyscyplinę wojskową, nie wykonując rozkazu swego dowódcy, jest przestępcą wartym kaźni dla renegatów! Sam to wpajałeś setki razy młodym legionistom. Wykonać!

- Jak, panie?

- Jak chcesz. Włóczyńią, mieczem, nożem, toporem, byle osobiście, własnymi rękami. Bierz się do dzieła, już!

- Rozkaz, trybunie!

Centurion obnażył miecz i zaczął iść w stronę Regi. Rega wyjął swój gladius i czekał. Isidorus uniósł broń, a Rega się nie poruszył. Klinga spadła ku hełmowi Rufusa tak gwałtownie, że atakujący przewrócił się na trawę, bo cięła powietrze, gdyż Rega stał już nie w tym samym miejscu, lecz obok, chociaż nikt nie widział jego kroków - jakby stał obok cały czas. Setnik, purpurowy ze wstydu, poderwał się szybko, chwycił miecz i teraz machał nim uważniej, ale Rega bez trudu parował ciosy.

- Dosyć, Rufio! - zniecierpliwił się Fulwiusz. - Dnia szkoda.

W tej samej chwili miecz Isidora frunął ku niebu, a gladius Regi trzymała lewa dłoń, chociaż cały czas walczył prawą. Centurion roztarł stłuczony nadgarstek i wodząc wzrokiem po ziemi bełkotał:

- Jak ty to czynisz, człowieku?! Jak ty to...

- Nie wykonałeś rozkazu, Isidorusie! - rzekł mój ojciec. - Jeśli pierwszy lepszy cywil robi z ciebie gladiusem pośmiewisko...

- Panie, to są jakieś kuglarskie sztuczki! - bąknął Isidorus.

- Nie, Isidorusie, to są sztuczki rycerskie, zezwalające wygrywać. Jeśli on umie wygrywać, a ty nie umiesz, to powiedz mi kto jest żołnierzem lepszym, ty czy cywil? Mam cię odesłać do cywila, centurionie?... Weź swój miecz i wróć do szeregu!

Tymczasem Caeliusz klepał bark Rufusa, mówiąc:

- Brawo, fehmistrzu, pyszności! Trybunowi też dałbyś radę tak łatwo?

- Spróbowałem siedem lat temu... - odparł Rufus.

- I co?

- Do dzisiaj jesienią boli mnie gnat, który mi wtedy płazem złamał. Mógłby zabić, gdyby ostrza użył. Ale teraz ja bym wygrał, tylko że nie pieszo, lecz konno.

Chciał, by Fulwiusz usłyszał, i Fulwiusz usłyszał zaproszenie:

- Cóż takiego mówisz, łaskawco?

- Mówię, panie, że nie dostoisz mi na rumaku.

- Daj spokój żartom, Rufio.

- Daj spróbować, panie.

- Konia! - krzyknął Fulwiusz. - Jakiej broni sobie życzysz?

- Tępej, panie. Weźmy grube drągi i tarcze, i zobaczymy kto kogo strąci z siodła.

Gdy cięto w lesie dwa solidne kije, Rufus kazał Marciporowi przynieść worek, z którego wyjął długi rzemień, zakończony obustronnie pętelką, i przerzucił go przez siodło swego konia, mocując czymś pośrodku. Później wsiadł i wsadził buty w pętelki.

- A więc o to idzie! - roześmiał się Fulwiusz. - Męczyłeś mnie już tym azjatyckim wynalazkiem, Rufio!

- Męczyłem cię słowami, panie, lecz na słowa byłeś głuchy. Teraz będzie praktyka, wodzu.

Tłukli krańcami drągów o swe tarcze, aż wreszcie Rufus tak mocno rąbnął, że pchnięty Fulwiusz zwałił się pod brzuch konia. Wstawał kręcąc dezaprobująco głową:

- Drągiem przeciw wrogowi nie walczymy, tylko włócznią lub mieczem!

- Ale barbarzyńcy z konia też używają włóczni, a z ziemi i włóczni, i drągów, którymi zwalają nas łatwo. Machając mieczem trudno się w siodle utrzymać, gdy chcemy się wychylić, by sięgnąć dalej. Kiedy zaś można dać wsparcie stopom, nie tak szybko się spada. Dlatego dzicz azjatycka miała konnicę lepszą od naszej, wszystkim wiadomo.

- My tego próbowaliśmy podczas boju! - krzyknął któryś pretorianin.

- Gdzie? - spytał Fulwiusz.

- Jak byłem w legionie Gemina, wodzu, na Wschodzie.

- I co?

- Dwie centurie próbowały. Ale nie szło dobrze, panie. Kiedy się walczy bez takich rzemieni lub sznurów wokół butów, i spada się z konia rannym nie będąc - można wstać i walczyć dalej. Lecz tym, którzy to mieli, ostrogi lub całe kaligi\* [\* - Buty wojskowe (łac).] zaplątywały się w pętelkach, i kiedy spadali, rozszalałe konie ciągnęły ich niby snopki, że mało który się podniósł. Zrezygnowano, bo oficerowie uznali, że to jest niebezpieczne, a garbki i wypustki siodeł starczą do hamowania upadku każdemu kto ma mocne uda.

- Jak buty właściwie trzymasz, to się nie zaplącą - próbował bronić swego Rufus. - Piechur przewróci się o rzemyk własnego sandała, gdy jest głupolem i lekceważy szczegóły. Wandalowie pono całej swej jeździe chcą to dać, zatem chyba widzą, iż to ma trochę sensu. Bo ma! Trzeba spróbować, a w boju uważać!

- Konny w boju ma uważać głównie na przeciwnika, na rozkazy swojego wodza, na swoje cięcia i na swoje zasłony, Rufio... - rzekł Fulwiusz. - Każ mu uważać na zbyt wiele aspektów, a pogubi się. Lecz nie będę chłopcom wzbraniał; który chce, może próbować. Dużo wzięłeś tych rzemieni?

- Wziąłem płachtę skóry, wystarczy ją ciąć. Jeszcze nad tym popracuję. Zamknę pętlę rzemykiem od przodu. Wtedy noga nie będzie przez nią wpadała i wplątać się będzie raczej trudno.

- Łatwo będzie nam się wplątać tylko w zbrojną dzicz tych ziem, ku którym idziemy - mruknął Fulwiusz.

Iść mieliśmy początkowo doliną Tybru ku północy, by blisko Peruzji skrócić na wschód, sforsować łatwe tu do przekroczenia (jak twierdził Fulwiusz) pasmo górskie, i blisko Ancony znowu skrócić na północ, ku Rawennie, wędrując szlakiem równoległym do wybrzeża Adriatyku. Tamte ziemie znajdowały się we władaniu Ostrogotów, czyli arian. Nie był to jeszcze bardzo dziki, lecz już bardzo groźny teren. Wolny od dużych zbrojnych zastępów barbarzyńców (gdyż te skupiły się wokół „*Urbs Roma*”), lecz pełen ich patroli, drobnych garnizonów tudzież kurierów, którzy mogliby donieść o nas. Pędziliśmy tedy co sił, klucząc, zbaczając, gubiąc trop, zaszywając się w lasy dla krótkiego odpoczynku, korzystając z ulewnych deszczów, które rozmywały widoczność, z jasnych nocy, z pustkowi naturalnych i wojennych. Wszędzie mijaliśmy zgliszcza. Spalone osiedla, wioski, farmy, rezydencje. Zwęglony ugór. Gdzieniegdzie - przy patiach i wewnątrz zniszczonych ogrodów - zachowały się posągi, lecz żaden nie miał nosa. Spytałem Regę:

- Czemu nie rozbijają naszych posągów, tylko obtłukują im nosy? Czemu nie całe głowy? Mogliby zwałć figury z cokołów i postumentów, a nie robią tego, tylko tłuką nosy. Co im to daje?

- Daje im to radość - odparł Rufus.

- Jaką radość? O co im chodzi?

- O szpecenie fizjonomii naszych dawnych bogów i herosów. Ariańska furia. Chociaż Jezus zdetronizował już te bożki, a więc przestały być celem modłów i stały się wyłącznie ozdobą, dekoracją, lecz dla wielu funkcjonują jako symbole minionej potęgi Rzymu imperialnego, krzewią sentyment, karmią pamięć, wskrzeszają duchowy kult...

- Zatem barbarzyńcy winni je zwałać, Rufusie!... A oni tylko tłuką im nosy. Po co?

- Po co?... - zastanowił się Rega. - Może dlatego, żeby oszpecone gęby nie były ładniejsze aniżeli facjaty barbarzyńców. Cieszą się, że te kaleczone twarze są równie koślawe jak pyski marmurotłuków. Patrząc na nie, widzą siebie samych.

Nie sędzę, by rzucił serio to wyjaśnienie, raczej kpił, ale trudno było znaleźć jakiś logiczny powód, więc może miał słusność?

Z Rzymu prowadziły na północ cztery bite drogi: Via Aurelia (wzdłuż brzegów Morza Tyrreńskiego), Via Solaria (ta szybko skręcała na wschód, ku Adriatykowi), Via Cassia (po lewej stronie Tybru, patrząc od Rzymu) i Via Flaminia (po prawej). Nie mogliśmy wykorzystać żadnego spośród tych traktów, bo nie przeszlibyśmy jednej mili bez ciężkich walk - trzeba było używać szlaków bocznych, dużo gorszych, ale bezpieczniejszych. Łatwiejsze (mniej uczęszczane) były tereny między Tybrem a Via Cassia, więc ruszyliśmy tamtędy, lecz to oznaczało, że prędzej czy później trzeba będzie przekroczyć Tybr. Fulwiusz liczył na znany mu bród, i zawiódł się, gdyż wiosna rozlała wielką rzekę jak nieczęsto. Solidny most istniał blisko Peruzji, stacjonował tam jednak duży garnizon Ostrogotów. Ruszyliśmy dalej. Wieśniacy rzekli nam, iż kolejny most znajdziemy w lichym gródku, leżącym kilkanaście mil za Peruzją, gdzie nie ma garnizonu, jest tylko placówka straży miejskiej. Innego wyjścia tu nie było (Fulwiusz rozważał jeszcze z Rufusem budowanie tratw, ale mieliśmy zbyt ciężkie wozy i zbyt wielu ludzi oraz zbyt wiele koni do przewiezienia, dlatego zarzucili ów pomysł, wybierając mniejsze ryzyko).

Peruzję minęliśmy nocą, sunąc płaskowyżem wśród kęp krzewów i lesistych wzgórków. Dalekie miasto spało, jednak między nim a rzeką rozciągała się przybrzeżna równina łąkowa, cała pokryta ogniskami tak gęsto, że zdawało się, iż to nocny widok morza, na którym leniwe fale mienią się blaskiem gwiezdny i księżycowym.

- Garnizon? Trochę zbyt duży ten garnizon... - szepnął Caeliusz.

- To jest obóz wojskowy - rzeki Fulwiusz. - Dziwne, iż tak wielki tutaj. Być może ubezpieczają oblegających Rzym przed ewentualnym kontruderzeniem z Bizancjum.

- Albo przed nadejściem „ostatniego legionu”, chociaż twierdzą, że to zwykła bajda - podsunął Valerianus.

Lecz trybun tylko wzruszył ramionami, gdyż logika Guntamunda przekonała go całkowicie, a gadanie konsula brał za próbę reaktywowania mitu, którym został znęcony do wędrówki ku ziemiom barbarii północnej.

Dzień spędziliśmy w głuszy, śpiąc. Pod gródek zaszliśmy kolejnej nocy. Zobaczyliśmy most, lecz nie można było zbliżyć się doń brzegiem rzeki, gdyż mury miasteczka wyrastały ze stromej skarpy, a między nią i nurtem ciągnął się namokły szuwar. Tak więc jedyna droga do mostu prowadziła przez miasto i bramę mostową. Brama wjazdowa nie była zaryglowana. Spało tam dwóch wartowników, którzy obudzili się po to tylko, aby umrzeć z bełtami w gardłach. Fulwiusz wysłał kilku pieszych dla

penetrowania terenu za bramą. Kiedy wrócili mówiąc, że miasto śpi, dał znak do pochodu. Stąpaliśmy ostrożnie ulicami przypominającymi głębokie wąwozy, gdyż po obu stronach piętrzyły się wysokie kamienice, których dachy utworzyły z ciemnym niebem jedną całość. Trzeba było uważać na każdy krok, omijać ścieki płynące rynnami bruku i wdychać zapachy wewnątrz, niczym nie przypominające woni pachnideł orientalnych. Mrok połykał turkot kół o bazaltowe bryły jezdni. Każdy widział ledwie plecy i zady kroczących przed nim, tylko na samym froncie niesiono dwa łuczywa, których płomieniami wiatr wściekle szarpał, jakby chciał te rozstrzępione ognie zerwać z głowni i rzucić w przestwór niby deszcz gwiazd. Tak zaszliśmy do przyczółka mostowego, gdzie również warowały straże. Powtórzyła się scena z wjazdowej bramy - kusze zgasiły te życia nim którykolwiek wydał krzyk.

Kiedy przeszliśmy drewniany most, chwiejący się pod naporem wysokiego, spienionego nurtu, Valerianus klepnął udo rozradowany:

- Idzie nam jak z płotka! Byle tak dalej!

- Zbyt łatwo nam idzie! - mruknął Rufus. - Słyszałeś, konsulu, o miłych złego początkach? Los to złośliwiec, lubi prowadzić do zguby ukwieconą drogą.

- Nie kracz, Rufio! - skarcił go Fulwiusz. - Nie budź diabła!

Dzieło diabła ujrzeliśmy nazajutrz. Wpierw zadrwił sobie z wędrowców, dając im dużą przyjemność. Był nią sad, który ominęła pożoga wojny. Drzewa przędły rajską owocową woń, i tylko wyziewy sąsiednich siarkowych źródeł (takich, które leczą przyrodzenia rozpusztników, by je do nowej rozpusty podrychtować) zakłócały ździebko czystość naszych nozdrzy. Zebraliśmy tam parę koszy owoców. Kiedy wszakże wznowiliśmy marsz, błoga sceneria flory poczęła szybko niknąć. Roślinność zmieniła się raptownie na mniej bujną, bardziej oschłą i spaloną, jakbyśmy wkraczali do krainy smutku stąpając ku jałowej ziemi, ciągnącej się za plecami ogrodu pałacowego. Wtem przewierciła nasze nosy gnilna woń trupów. Leżało ich przy drodze sporo, coraz to więcej, dając cuchnące świadectwo niedawnej bitwy. Ptaki kłębiły się nad zwłokami uszczęśliwione, rozdziobując ciała.

- Gnią już parę dób... - mruknął Marcipor. - Ładna rzeź! Żle!

- Żle ci, że ty żyjesz, a oni puchną? - zdumiał się Isidorus.

- Ludzie, co ich zabili, mogą być blisko nas - smędził dalej „*pies Regi*”. - Żle!

- To są wyłącznie gockie truchła - zauważył Aulus Carvillus. - Kto ich tutaj tylu natłukł?

- Sami się chyba nie pomordowali! - krzyknął Valerianus. - Musieli to zrobić legioniści, panowie!

- No to jesteśmy w domu, panie konsulu! - prychnął drwiąco Rega. - Wkrótce ujrzymy „*ostatni legion*”, złożony z nadludzi, z niedotykalnych i nieśmiertelnych wojaków, bo jakoś żaden nie poległ! Cud! Spójrzcie, chłopcy. Nie widać tu choćby jednego hełmu czy choćby jednej tarczy Rzymianina,

leżą tylko „*Wąsaci*”. Równie cudownego triumfu Rzym nie odnotował nigdy wcześniej, sam wielki Juliusz Cezar chciałby mieć taki legion, który nie traci w bitwie ani jednego naramiennika!

Valerianus zamilkł speszony i czekał co powie Fulwiusz. Ale trybun milczał, rozglądając się bacznie wokoło. Zdawało się, iż liczy trupy, których krew wchłonął piach. Krajobraz utracił już całkowicie swoją zieloność i stał się tak mocno piaszczysty, że niskie wzgórki przypominały wydmy pustynne. Gdy minęliśmy ich kilkadziesiąt, wiatr zaczął miotać tym piachem, że trzeba było mrużyć powieki.

U dna kotliny leżało następne miasteczko. Droga wiodła ku willowemu przedmieściu, lub raczej ku jego szczątkom. Po bitewnym kataklizmie ta elegancka dzielnica wyglądała jakby rozszarpał ją ognisty tajfun: morze ruin i zgliszczy, już nie dymiących, zagastych, malowanych sadzą. Żadnego śladu życia - jeśli nie liczyć śmiertelnie chudych psów, które błąkały się szukając czegoś do żarcia. Brakowało wyobraźni, żeby w tych kikutach murów rozpoznawać ślady dawnych rezydencji i luksusowych sklepów.

Właściwe miasto leżało o ćwierć mili dalej. Było prawie wymarłe i pomalowane tą pustynią, która rozciągała się wokół. Zabarwiła fasady, place, drzewa, pomniki i fizjonomie tudzież stroje nielicznych przechodniów, którzy apatycznie przyglądali się nam. Nie mieli w oczach strachu, tylko obojętność wobec tego, co przyniosą czas i los, choćby miały przynieść same krzywdy. Tak patrzą ludzie, którym wyrządzono już zło niejednym razem, uodporniając na ból. Maleńkie ziarenka wirowały w powietrzu, penetrując nasze usta i nozdrza. Wszystko śmierdziało piachem.

Minąwszy pusty rynek, wyczuliśmy jednak przyjemniejszy odór - woń świeżego pieczywa! W wąskiej uliczce, pełnej nieuprzątniętego gruzu, zobaczyłem samotny stragan z chlebem, wciśnięty między zwały ziemi piętrzące się jak po wykopkach. Sprzedającemu towarzyszyło kilku osiłków, pewnie synów, kumów lub braci, dla ochrony przed rabusiami zdesperowanymi głodem i nędzą. Valerianus wykupił cały zapas chleba i tyle worów mąki, ile piekarz zgodził się dać (osobno sprzedał nam wóz transportowy i muła), a Fulwiusz spytał tych ludzi:

- Co tu się dzieje?

Rzekli mu:

- Sigbert i Egfrid biją się między sobą.

- Kim są ci Sigbert i Egfrid?

- Są Gotami, lecz z dwóch różnych plemion, panie, choć jedną wiarę wyznają.

- Arianizm?

- Cóż by innego, ten sam gocki arianizm.

- Więc nie biją się o religię. Zatem dlaczego się wzajemnie mordują?

- Ich musisz, panie, spytać. My tego nie wiemy. Zdawało się nam, że walczą o nasz gród, lecz żaden nie zostawił tu swoich ludzi.

- I który wygrywa?

- Pono Egfrid, panie... Wizygot. Komes, choć mieni się królem, bo jest następcą tronu.

- A tamten?

- Ostrogot. Jeden pies! Niechaj się wyrzynają, byle nas, Latynów, nie tarłosili. Bo gdzie indziej zdarza się, że Goci krzywdzą romańską ludność. Parszywe psy!

Mówiąc to piekarz splunął ze wstrętem. I szybko spytał, widząc, że Fulwiusz zawraca rumaka do odjazdu:

- Panie, czy Rzym się jeszcze broni?

- Nie wiem. - odparł trybun. - Myślę, że jeszcze tak. Bóg z tobą i z twoją rodziną!

- I z tobą, panie.

Kiedy Fulwiusz pognał na czoło kolumny, Valerianus zapytał piekarza:

- Przejeżdżał tędy jakiś duży wojskowy orszak rzymski, kilka dni temu?

- Przejeżdżał, panie. Równy tydzień temu, dzień przed bitwą.

- Czerwone pióropusze na hełmach?

- Nie, panie, kaptury na głowach... Lecz żołnierze. Nie płacili za żywność, siłą brali. Mówili, że są cesarscy, więc mają prawo.

- Słyszałeś jak się zwracali do swego wodza?

- Słyszałem, panie, lecz nie pamiętam już.

- Może Seranus, co?

- Tak, któryś krzyknął: Seranusie!, teraz pamiętam!

- Nie wiesz gdzie zmierzali?

- Nie opowiadali się, panie. Wrzeszczeli jeno na wszystkich jak na swoich niewolników.

Cztery mile za miastem stanęliśmy, i mój ojciec rozesłał kilka podjazdów, żeby przepatrzyły teren. Nie napotkały Gotów bezpośrednio, lecz wszędzie znajdowały ich stare ślady i mrowie zwłok.

Świeże ślady znalazł tylko patrol pretorski. Setnik Frontinus meldował:

- Poszli na północny zachód, wodzu. Spalili wieś, niedawno, trupy jeszcze ciepłe.

- Ktoś ostał żyw?

- Żywego ducha, prócz jednego szczeniaka.

- Trzeba tedy migiem odbić ku góróm, bo wszędzie indziej kręcą się te psy - rzekł Caeliusz. - Są rozgrzani mordem, smakuje im krew, lepiej stąd zniknąć.

Nim Fulwiusz otworzył usta, konsul spytał dowódców patroli:

- Czy widzieliście trupy legionistów?

Nie widział zaden. Rega mruknął:

- Mówiłem już, że to legion niezabijalnych, Valerianusie.

- Nie mam na myśli ludzi z „ostatniego legionu”, tylko ludzi Seranusa Cimbera! - burknął konsul.

- Idą przed nami, byli tu tydzień temu, tak gadają piekarze.

- Dziwne, że Seranus wędruje tą samą co i my drogą...

- Idzie tam, gdzie i ja chcę iść.

- Czyli gdzie, szanowny konsulu?

- Nie twój interes, sługo!

- Jesteś pewny?

Fulwiusz, jakby nie słysząc tej wymiany zdań, zagadnął Frontinusa:

- Mówiłeś, centurionie, że ktoś tam przeżył...

- Mały dzieciak, może czteroletni, wodzu. Nie da się go wypytać. Siedzi koło chaty, przy zwłokach matki, i potrząsa nią, żeby wstała.

- Ty i dziesięciu konnych ludzi ze mną! - rozkazał trybun. - Rufusie, ukryjcie się wewnątrz tego lasu i czekajcie na mój powrót. Gdybym nie wrócił do jutra, ruszajcie ku góróm.

- Musimy bezzwłocznie pędzić ku góróm! - krzyknął Valerianus. - Trzeba jak najszybciej oddalić się z tego piekła, tu grozi nam śmierć!

- Wszędzie może grozić ci śmierć - wzruszył ramionami Fulwiusz. - Poczekacie.



- A ty gdzie się wybierasz?

- Na spacer, konsulu. Wrócę szybko.

Tracił konia piętami i wkrótce zniknął za pagórkiem. Wrócił przed zmierzchem, tuląc splakanego malca. Valerianus, widząc to, dostał furii:

- Ty cholerny durniu!... Miałeś mnie cały czas chronić, a nie igrać moim życiem!

- Cały czas chronię cię, Valerianusie, jak kura chroni pisklaka - uśmiechnął się Fulwiusz. - Ale i to pisklę wymaga opieki.

- Dookoła pełno mordujących kogo tylko się da dzikusów, trzeba gnać stąd ku górcom póki jeszcze można to zrobić, a ty każesz nam sterczeć tu, bo zachciało ci się ratować jednego pędraka! Nawet nie wiesz czy to dziecko romańskie, czy barbarzyńskie! Dla jednego szczenięcia hazardujesz losem nas wszystkich!

- Zawsze możesz mnie karnie zwolnić, konsulu.

- Daruj sobie głupie dowcipy!... Myślałem, że masz we łbie trochę oleju, że taki wódz umie roztropnie kalkulować co ważne, a co mniej ważne. Tymczasem okazuje się, iż z ciebie żaden wódz! Nie rozróżniasz rang spraw, nie rozumiesz jaka jest hierarchia ważności, Fulwiuszu!

- Tak, wiem, zawsze brakowało mi wyczucia proporcji, Valerianusie. To feler płynący z nieobycia politycznego, mało się kręciłem wśród ludzi dworu.

I nie bacząc dłużej na spienionego konsula, podjechał ku wozowi Terencji. Tam spytał:

- Pani, czy zechcesz zająć się tym brzdącem? On właśnie został sierotą.

Wyciągnęła rękę, mówiąc:

- Daj mi go. Zastąpię mu matkę póki nie znajdziemy jakichś dobrych ludzi, którzy przygarną biedaka.

- Już jest przygarnięty. Ja go przygarnąłem.

- Nie chcesz dać go gdzieś, gdzie miałby rodzinne ciepło?

- Właśnie znalazłem mu rodzinę. Ci dobrzy ludzie, o których rzekłaś, pani, to my, po cóż szukać lepszych od nas? Nie znam jego imienia, więc może przezwijmy go: Justus.

- Imię dobre jak... jak każde... - wymamrotała speszona, opuszczając wzrok.

Rega, widząc to, parsknął cicho, tak, iż tylko ja usłyszałem:

- Zdumiewający dziwołag natury! Kto by pomyślał, że można zrobić sobie dzieciaka bez rżnięcia, samym jeno myśleniem o wspólnym łóżku!

Ku góróm ruszyliśmy kolejnego dnia. Jednak tuż po południu marsz raptownie się skończył. Na zakręcie gościńca wykwitło kilkudziesięciu barbarzyńców. Mieli nieprzyjazne, wąsate twarze, karłowate, krótkonogie wierzchowce, i gockie stroje wojenne (dużo skóry, zaś niedużo metalu: ledwie trochę kaftanowych guzów plus okucia drewnianych tarcz). Fulwiusz uformował szyk obronny i czekał. Tamci również czekali nieruchomo. Szybko dowiedzieliśmy się na kogo - za ich plecami rosła chmara pieszych wojowników, gromada, którą trudno było zliczyć, bo widzieliśmy tylko jej front. Pomyślałem wtedy, że nie przeżyję tego dnia.

Młodym będąc myśli się o własnym zgonie rzadko lub nigdy. Wyjąwszy skazańców, ludzie myślą o śmierci dopiero kiedy się starzeją, trapieni przez usterki zużytego ciała lub przez choróbka właściwe agonii swego losu. Dobre matki nie boją się własnej śmierci, lecz tylko śmierci swych dzieci, za które oddałyby żywot bez skarg. Żołnierze główkują o rozdawaniu, a nie o kupowaniu śmierci sztuką bitewną. Filozofowie mędrkują o śmierci jako o prawdzie definitywnej, gdyż traktują ją jako osnowę rozważań dialektycznych. Kapłani mówią o śmierci jako o kładce do wiecznego życia. Poeci haftują śmierć słowami, których elegijność ma li tylko estetyczny wymiar, pazernie głodny olimpijskich laurów. Ze wszystkich wersów Sulpicjusza tyczących śmierci (było ich dużo, bo śmierć zajmowała go ciągle, rzekłbym: maniakalnie) najlepiej pamiętam dziś, starcem będąc, biały wiersz, drobny listek pergaminu, który ujrzałem na posadzce, gdym przyszedł budzić autora, kiedy pijany zaspał, a Philomusus chciał z nim omówić grecką strofę gramatyczną. Nim trąciłem ramię śpiocha, podniosłem ów pergamin i przeczytałem, kilkakrotnie, gdyż bardzo mi trafił do młodzieńczego gustu. Minęło już więcej niż sześćdziesiąt lat, a wciąż widzę pamięcią każdą czarną literkę owego bezrymu, i mogę wyrecytować każdą sylabę:

*„Śnitem*

*jak skończy się to*

*co zawsze czekało*

*czy przyjdzie na palcach*

*z pocałunkiem*

*czy też w ciele rozpalonym*

*pozwoili odkryć się*

*a może w słowie geście*

*ukryta niczym uczucie*

*może w oczach*

*w najmniejszym bezkresie*

*lub nago zniecka*

*pragnie wziąć mnie*

*takiego jak dziś*

*nie wiem*

*ale przyjdzie*

*i powiem jej że kocham*

*cóż innego można rzec*

*śmierci”.*

Tak właśnie, lekko, wdzięcznie i z miłością, umarł Sulpicjusz - człowiek, który tego typu wiersze pisywał tylko dla siebie, a nie za pieniądze, dla miłych dam czy dla braw. Musiał wiele razy myśleć o śmierci, i chyba czekał na nią wzorem rozmarzonych kochanków. Ja myślałem o śmierci serio tylko cztery razy. Pierwszy raz - gdy wstrząs ziemi zabrał mi rodzinę; drugi raz - gdy skonał Philomusus; czwarty raz - gdy umarł Fulwiusz Corwinus „*Soter*”. Trzecim razem była ta chwila spotkania z Gotami na przedgórzu. I był to jedyny raz, kiedy myślałem o własnej śmierci - że za chwilę przyjdzie mi wyzionąć ducha.

Cisza przedłużała się nieznośnie, słyszałem tylko nerwowe bicie własnego serca i parskanie koni. Fulwiusz zerkał na boki, szukając możliwości ujścia z gościńca i znalezienia osłony terenowej, lecz w pobliżu nie było niczego właściwego. Raptownie spomiędzy „*Wąsatych*” wyjechał do przodu ich wódz. Miał złocisty hełm ze sterczącymi rogami bawoła lub tura. Surową, ciemną, jakby martwą twarz ożywiały czujne, bystre oczy. Podniósł dłoń. Sądziłem, że daje sygnał ataku, lecz jego ludzie się nie ruszyli. Krzyknął coś ku nam. Dystans nie zezwalał zrozumieć, więc Fulwiusz pchnął konia ku tamtemu. Wówczas tamten podjechał bliżej. Kiedy dzieliło ich kilka kroków, barbarzyńca spytał łaciną kaleczoną akcentem barbarii:

- Kim jesteś?

- Jestem Rzymem. A ty kim jesteś?

- Jestem król Egfrid.

- Mówiono mi, że tak się zwie pewien komes u Wizygotów...

- To ja... Królem koronowanym będę wkrótce, gdyż mój witający śmierć ojciec, król Euryk, przestał już wstawać z łoża swego. Spadkobiercą wyznaczył mnie, chociaż ma rodzonego synalka, a jam przybrany. Przybrany, lecz zaciejszy, bo mnie cnota, a nie macica kobiety, uczyniła następcą

tronu. Już sprawuję władzę królewską, moich rozkazów słuchają Wizygoci. Teraz zaś ty gadaj kim jesteś!

- Jestem Rzymem! - wycedził twardo Fulwiusz.

Barbarzyńca ponownie obrzucił spojrzeniem naszą garstkę i uśmiechnął się bez wzdargy:

- Czy aby nie przesadzasz, żołnierzu?...

- Sprawdź - odparł „Soter”.

- Sprawdzanie będzie trwało baaardzo krótko, chyba nie masz wątpliwości?

- Ale będzie baaardzo bolało. Dużo twoich ludzi padnie. Widać chcesz tego uniknąć, jeśli gadasz miast atakować. Ja też wolę gadać. Przepuść.

- Nie.

- Zapłacimy. Mamy trochę kamieni i złota.

- Sam sobie wezmę wszystko, kiedy was wytnę. Tych moich ludzi, którzy padną, będzie mi żal, ale taki los wojów. Nie brak mi ich.

- Sam ci wszystko oddam, jeśli zwyciężysz mnie w pojedynku.

Tamten splunął na piach, co miało znaczyć, że spluwa na propozycję:

- Pojedynek to los szczęścia, dla głupców, nie będę ryzykował.

- Więc czemu gadasz ze mną?

- Z ciekawości. I z przebiegłości, gdyż moi ludzie dopiero nadciągają, niedługo będzie ich tu dużo więcej.

- Jak dużo?

- Musiałbyś policzyć.

- Palcem liczyć byłoby niegrzecznie... - uśmiechnął się Fulwiusz. - Tym gladiusem was policzę.

- Czy twój gladius umie liczyć do tysiąca? A wkrótce będzie tu drugi tysiąc. Wtedy sprawdzanie potrwa jeszcze krócej niż chciałbyś... Bym całkowicie zaspokoił ciekawość, powiedz mi na koniec skąd się tu wzięłeś, żołnierzu.

- Z Romy.

- Kto cię wypuścił ze stolicy?

- Guntamund Frank.

- Oooo!... Guntamund jest mi przyjacielem i krewnym, mój brat ma za żonę jego siostrę. Dużo wziął?

- Dużo.

- A dużo zostawił?

- Sprawdź.

- Cóż... czas to zrobić. Jakieś przedegzekucyjne życzenie, legionisto?

- Oszczędź kobiety i dzieci.

- W porządku.

- Słowo?

- Chcesz, bym dał słowo? Cóż ci po słowie psa?

- Nie obraziłem cię tak nawet myślą! - zachnął się „*Soter*”.

Wargi tamtego wykrzywił wściekły grymas:

- Twój cesarz to zrobił! Według „*psiego edyktu*” jestem „*kundlem Imperium*”, „*psim bękartem*”, zaprzecz, cesarski żołdaku!

- Zaprzeczam, że byłem gwardzistą, lub dworakiem, lub urzędnikiem, lub choćby tylko lizusem tego kretyna noszącego diadem cesarski! - rzekł mój ojciec. - Przed nim uchodzę z Rzymu. Gdyby nie wrogość jego sług wobec mnie, zostałbym tam na murach, by was gromić. Daj słowo!

Barbarzyńca długą chwilę świdrował wzrokiem oczy Fulwiusza. Chyba zobaczył w nich świadectwo prawdy, bo rzekł spokojnie:

- Daję ci słowo. Słowo Egfrida. Kobietom i dzieciom nie spadnie włos z głowy.

Fulwiusz się uśmiechnął:

- Właśnie wygrałeś życie, przyjacielu.

- Co mówisz? - zdziwił się barbarzyńca.

- Mówię, że każę moim kusznikom nie celować w ciebie, bo chcę, byś dotrzymał słowa, a gdybyś

lecił, twoja horda mogłaby wykazać mniejszą wstrzeźliwość wobec bezbronnych.

Egfrid pokiwał głową i szarpnął konia wstecz, ale nie wykręcił, tylko cofał go zadem, cały czas bacznie patrząc na nas. Wszakże niewiele ujechał, bo rozległ się krzyk Regi:

- Panie, biorą nam tył, tam!

Odwróciłem głowę. Za nami pokazała się druga chmara jeźdźców. Choć byli inaczej ubrani, myślałem, że to również ludzie Egfrida. Tarasowali cały gościniec, daleko, mniej więcej strzał z dużej kuszy od nas. Jeden konny tej drugiej gromady popędził przez łąkę, robiąc łuk wokół naszego szyku, i przypadł do Egfrida, krzycząc:

- Coście za jedni?

- Goci.

- Jacy Goci?

- Wizygoci z garnizonu Iguvium. A wy?

- Kwadowie Manger Gromowładnego.

- Jakiego? - spytał zaskoczony Egfrid.

- Nie wiesz kim jest król Manger, naczelny wódz sprzymierzonych plemion szturmujących mury Rzymu?

- Znam wodza Kwadów, lecz nie wiedziałem, że został Jowiszem.

- Kpisz sobie z niego, prostaku?!

- Ani bym śmiał, tylko pierwszy raz słyszę jego nowy przydomek, który pożyczył od Jowisza...

- Zasłużył, więc dostał!

- Od Jowisza? - udał głupka Egfrid.

- Od swoich wojsk. Wy też mu podlegacie!

- My?!

- Tak jak i wszyscy. Wdzięczny wam będzie, że wstrzymaliście uciekinierów, których kazał nam ścigać.

- Wstrzymałem tu grupę rzymskich legionistów - rzekł Egfrid. - Czy wszyscy, których wstrzymałem, są uciekinierami z obozu Kwada Gromowładnego?

- Nie z obozu, tylko z Rzymu! Ścigamy konsula Valerianusa Maxima, trybuna Fulwiusza Corwina, a także jego syna, Kaiusa Polliona. Chcemy ich żywych. Resztę można zarżnąć.

Gocki wódz osłupiał:

- Trybuna Fulwiusza zwanego „Soterem”?!... „Boga wojny”?!

- Tak, jego. Wątpię czy złoży broń. Z dwóch stron uderzymy, wy zaczniecie.

- I my się skrwawimy, a wy poczekacie, oszczędzając swoich?

- Wspomożemy was.

- Co z dzieleniem łupów?

- Żadnego dzielenia łupów. Konsul wiezie swój majątek, który Kwadowie przejmą. Wy macie słuchać rozkazów.

- Czyich rozkazów?

- Naszych! Przysłał nas tutaj wódz wszystkich wodzów, więc nasze rozkazy są rozkazami króla Mangeri Gromowładnego!

- Jest pewien problem... - zawahał się Egfrid.

- Jaki problem?

- Taki, że ja mam w dupie wasze rozkazy i rozkazy waszego gromowładnego szczurojebcy. Słowem wszystkie rozkazy Kwadów!

- To bunt! - zapienił się Kwad. - Zdradziecki bunt! Zdradę król karze śmiercią, przekonał się już o tym parszywy Frank, który wypuścił z Rzymu trybuna Fulwiusza. Mamy trzy tysiące ludzi, więc i ciebie możemy przywołać do posłuszeństwa żelazem!

- Zabiliście Guntamunda?!... - wychrypiał Egfrid.

- Bez litości. Tak karzemy zdrajców.

- I Frankowie przełknęli to?

- Większość przełknęła, stanęli przy Gundowaldzie, który Guntamunda niezbyt lubił. Innych wycięliśmy jak stado kozłów. Bacz więc co mówisz, bo i was...

Kwad na tym urwał, gdyż padł martwy - gocki miecz ze świstem przeciął mu gardło. Reszta Kwadów nie mogła tego widzieć - warowali zbyt daleko, a nasz orszak stanowił zasłonę. Egfrid podjechał do Fulwiusza, mówiąc:

- Tedy to prawda co rzekłeś... Jesteś Rzymem! I przez twe dawne triumfy, i przez to, że wkrótce padniesz jak cała Roma... Ale myślmymy o dniu dzisiejszym. Długo wytrzymasz ich szturm?

- Klepsydrę średnią... - rzekł Fulwiusz bez pewności w głosie.

- Potrzebuję dwa razy więcej, by obejść ich.

- Będziesz miał dwa razy więcej, bo nim się spostrzegą i przygotują do ataku, minie druga klepsydra. Ale czy starczy ci ludzi na ich trzy tysiące?

- Dam radę, tylko wy dajcie mi czas. Dwie klepsydry!

- To zostaw mi setkę jeźdźców i ze czterdziestu kopijników, wtedy wydołę dłużej.

- Zostawię ci stu jeźdźców i stu kopijników. Kopijników ustaw w wał, a jeźdźcami szarp Kwadom boki.

- Wiem jak się gra tę melodię, Egfridzie...

- Daruj, zapomniałem kogo pouczam. Bywaj! Wkrótce usłyszą mnie od tyłu!

Gdy gnał ku swoim, Fulwiusz wjechał między legionistów i krzyknął:

- Chłopcy! Rzymskie miecze są krótsze niż miecze Kwadów! Ale dla dzielnego żołnierza nie ma broni zbyt krótkiej, gdyż starczy zrobić krok do przodu, by ją wydłużyć! Utrzymajmy się póki Goci nie rąbną ich w plecy, a wtedy sprawimy Kwadom drugie Carnuntum!

Kwadowie długo czekali na powrót swego oficera. Kiedy zrozumieli, że nie wróci, ruszyli z wyciem.

- Gęstwa!... - mruknął Adaloald, setnik Egfridowych kopijników.

- Gęstą trawę lepiej się tnie niż rzadką! - odparł „*Soter*” tak głośno, by wszyscy usłyszeli.

Później była bitwa. Nie widziałem jej, gdyż nie brałem w niej udziału, a ślepią miałem na wysokości kamyków zalegających gościniec. Leżałem obok Kornelii, Terencji, Justusa i Valerianusa, pod wozem, co chroniło nas przed gradem strzał i kamieni z proc. Fulwiusz i Egfrid rozbili Kwadów. Większość padła, a niedobitki czmychnęły. My straciliśmy ośmiu legionistów i mieliśmy blisko dwie dziesiątki rannych; straty Gotów były dużo dotkliwsze. Całą resztę dnia i cały wieczór opatrywaliśmy naszych poszkodowanych (rannych Kwadów Goci wymordowali bez miłosierdzia). Kolejnego wieczoru Egfrid wyprawił ucztę triumfalną.

Siedząc przy boku Egfrida Fulwiusz pił równo z resztą, ale nie było widać tego po nim. Rozmawiali o wielu rzeczach. Szczególnie interesujący był dla mnie fragment ich dialogu o arianizmie.



- Czemu wy, arianie, bijecie się między sobą? - spytał trybun.

- Masz na myśli moje walki z komesem Sigfridem?

- Tak.

- Bijemy się o pieniądze, i o ziemię, i o władzę... czyli o to, o co mordują się ludzie wszystkich czasów. A że jesteśmy tego samego wyznania? Jakie to ma znaczenie? Wy, katolicy, różnicie się od nas ino tym, że uważacie Chrystusa za Syna Bożego, gdy my za nie zrodzony, lecz stworzony wytwór Boga, ale krwiożerczość demonstrujecie identyczną.

- Tylko nie wewnątrzwyznaniową.

- Tylko chwilowo mniejszą, lecz przecież mordowaliście się już wzajemnie, i będziecie się mordować jeszcze bardziej, zobaczysz!

- Nigdy nie zabijaliśmy się tak masowo jak wy, a wy to robicie już całe sto lat.

- Myślisz o cesarzu Walensie i o bitwie pod Adrianopolem?

- Choćby.

- Mój pradziad był wśród tych, którzy oblegali ów dom gdzie spalił się cesarz - rzeki chętnie Egfrid, sięgając po wino.

Nie słyszałem co mówił dalej (choć siedziałem dosyć blisko obydwu), gdyż pijanym gockim oficerom zachciało się akurat ryczeć chóralną pieśń. Lecz wiedziałem o czym napomknął, bo klęskę cesarza Walensa wykląda Ammianus Marcellinus, którego kronikę czytałem kiedy szukałem wiadomości o Hunach po rozmowie z Regą. Walens, cesarz Wschodu, był arianinem fanatycznym. Za jego panowania Hunowie grozili Wizygotom, więc ci błagali Walensa, by zezwolił im przekroczyć Dunaj i schronić się na ziemi cesarskiej. Byli arianami, Walens się zgodził. Osadził ich w Tracji, wszakże tam jego wielkorządcy kradli żywność, głodząc Wizygotów tak bardzo, że nieszczęśni osadnicy sprzedawali swe kobiety i dzieci. Płacono im nie gotówką czy zbożem, lecz psami do jedzenia. Zdesperowani wszczęli bunt. Cesarz zebrał wojsko i ruszył tłumić tę rebelię. Niedaleko Adrianopola wizygocki wódz, Fritigern, odniósł wielkie zwycięstwo. Uciekający Walens schronił się ze swymi przybocznymi w dużym domu, którego, mimo kilku szturmów, nie mogli zdobyć oblegający. Podpalili więc zabudowania. Żaden Rzymianin nie chciał złożyć broni - woleli spłonąć żywcem. Spłonął i ranny cesarz Wschodu.

Śpiewali aż zupełnie ochrypli - ci, co jeszcze nie zwałili się pod stół lub pod lawę. Komes Egfrid też chybotliwie kiwał głową kiedy sapnął:

- Guntamund był mi druhem... i już go nie ma!

Czknął i ciągnął:

- Komes Sigfrid też był mi druhem, a teraz przyjdzie mi go utłuc!
- Za co? - spytał mój ojciec.
- Za to... za to, że przepuścił legionowy orszak, wziął haracz, a nie chce się dzielić!
- Czyj orszak, Egfridzie?
- Cesarski zwiad pono.
- Czyj? Orszak Seranusa Cimbera?
- Kto go tam wie czyj!... Ty również zapłacisz, trybunie. Jeśli chcesz przejść góry, dasz mi złoto!
- Damy ci złoto - rzekł Fulwiusz. - Gdy tylko wskażesz bezpieczny szlak.
- Bezpieczny szlak? He, he... Dacie mi podwójne złoto, a ja was przeprowadzę szlakiem najbezpieczniejszym i najłatwiejszym dla wozów! Via Flaminia! Aż do Pisaurum lub do Ariminum! Zadowolony?... No to wypijmy jeszcze jednego!

Lecz już nie zdążył wypić, bo wraz z pucharem runął pod stół, by tam ciężko chrapać i wykrzykiwać przez sen jakieś wojownicze klątwy Gotów.

Obudziłem się późno, ale i tak wcześnie, gdyż prócz straży wszystko dookoła spało pijackim snem. Po rannej mgle, mżawce i siąpiącym kapuśniaku - przejaśniało i aura zrobiła się cudna; rozwarte wrota chmur dały słońcu grać koncert na ziemi i roślinności wszelakiej. Zobaczyłem Kornelię szukającą ustronnego miejsca dla załatwienia potrzeby. Stąpała ostrożnie między kałużami deszczu, plackami błota i bryzgami wymiotów - strażnicy na ten widok ryczeli ze śmiechu i rzucali jakieś sprośne uwagi swoim barbarzyńskim językiem. Gdy weszła w krzewy, któryś ruszył jej śladem, by podglądać, a może planował coś gorszego. Dogoniłem łajdaka i zastąpiłem mu drogę. Chwycił nóż, lecz nie odważył się pchnąć. Wracił ku swoim mieląc pod wąsem przekleństwa. Wiatr niósł z dalekich błyszczących ścian gór zimny zapach Północy... Uniosłem głowę słysząc łopot ptaków. Wędrowały jak my, ale bez obaw, więc było im lżej.

## VIII.

Dzięki Bogu jest wciąż ciepło, choć zbliża się zima. Nawet nocą nie czuć dużego chłodu. Nocami piszę mało, gdyż sztuczne światło psuje mi oczy; więcej rozmyślam, kiedy sen nie chce przyjść. Żółty dysk księżycy płynie gwiazdzistym niebem wśród rzadkich chmur, niczym łódź pchana miarowym oddechem wiatru skroś fal. Ten widok koi moją pamięć, w której mieszkają duchy bliskich mi osób i żal po ich zniknięciu tak nieodwracalnym, jak nieodwracalne są tylko czas i zgon. Przywracam im tanto życie gęsim piórem, przywracając sobie nierealną już młodość, gwoli tłumienia smutku.

Pergamin mi się kończy, choć zrazu sądziłem, że mam go dość, by wszystko spisać. Pożyczę więcej od brata Fabiana, „*notariusza*” klasztoru, ale muszę chyba kielznać moją rozlewność i mniej szczegółowo opowiadać wędrowkę u boku „*Sotera*”, gdyż dla opisanego wszystkiego zbyt dużo zużyłbym inkaustu i pergaminu, który jest cenny, potrzebny do kopiowania świętych ksiąg, nie zaś do wspomnienia grzesznego życia, co minęło bezpowrotnie.

Goci przeprowadzili nas na drugą stronę wielkich gór wygodnym szlakiem Via Flaminia, lecz nie zrobił tego osobiście Egfrid. Gdy Valerianus zapłacił mu haracz, komes dał Fulwiuszowi setnika Adaloalda, mówiąc:

- Jak już ujrzycie brzeg morza, ludzie Adaloalda wrócą tu. Natomiast sam Adaloald zostanie przy was, będzie wam towarzyszył i będzie wiernie wam służył. Chce tego. Dzięki niemu nikt was nie tknie aż do Aquilei i do Neviodunum.

- Przecież to ziemie Ostrogotów... - zdziwił się „*Soter*”.

- Setnik Adaloald jest w połowie Ostrogotem, jego matka wywodzi się z Ostrogotów. Będzie udawał wysłannika króla ostrogockiego, Teudeberta, i kto to sprawdzi, gdy Teudebert siedzi pod Rzymem?

- Sprawdzi to każdy, kto zażąda okazania królewskiego pierścienia posłów i kurierów.

- Niechaj żąda. Tydzień temu taki wysłannik nadział się w tutejszym lesie na włócznię. Jego pierścień dałem Adaloaldowi.

- Czemu ten setnik chce iść ze mną? - nie przestawał pytać Fulwiusz.

- Bo wczoraj uratowałeś mu życie, wyrabując spomiędzy Kwadów, kiedy już leżał i mógł się bronić tylko zębami.

- A czemu ty mi go dajesz?

- Bo lubię wielkopańskie gesty, sojuszniku! - roześmiał się Egfrid, klepiąc ramię „*boga wojny*” z tą fraternizacyjną poufałością, która sprawia przyjemność człowiekowi demonstrującemu wyższość wobec większego od siebie.

- A serio?

- Mówię serio. Lecz jest i drugie serio. Nie kocha cię autor „*psiego edyktu*”, zaś Kwad gromojebca cię ściga, no to ja mam kaprys robić im na złość.

Dlatego, gdy już ruszyliśmy, konsul rzekł do trybuna:

- Pojmujesz teraz czemu chciałem właśnie ciebie, a nie innego? Bardziej niż twego miecza, pragnąłem twego imienia, wiedząc, iż niejeden plemienny „*dux*” czuje wobec ciebie żołnierski respekt i będzie wolał uszlachetniać się jako twój partner, dobroczyńca lub sojusznik, niż jako twój przeciwnik. Być wrogiem „*Sotera*” to nic szczególnego, gdy być kumplem „*Sotera*” - to rzadka satysfakcja.

„A być synem «*Sotera*» to wyjątkowa satysfakcja, tylko moja!” - pomyślałem pełen dumy. I zaraz uświadomiłem sobie, że nie tylko moja, bo teraz mam młodszego „brata” o imieniu Justus. Fulwiusz tak często nawiedzał wóz Terencji, by pytać jak się czuje Justus lub bawić go, że ktoś mógłby pomyśleć, iż sprytnie przygarnął malucha dla stałego pretekstu do tych wizyt. Ciekawa rzecz: zawsze wtedy, kiedy trybun chciał zobaczyć Justusa, Rega suszył konsulowi głowę jakimś problemem i odjeżdżali gdzieś na tył lub na przód szeregu.

Niekiedy udawało mi się podsłuchiwać dialogi między Fulwiuszem a Terencją. Były mniej lub bardziej osobliwe, bywały i dziwaczne, miały charakter przekomarzania się bądź trochę dwuznaczną gry słowami dla zabicia czasu, i dawały obojgu radość. Jemu sprawiały jawną przyjemność ciągle; Terencja była zrazu szorstka, ostentacyjnie (nazbyt ostentacyjnie dla bystrego obserwatora i znawcy kobiecej duszy, którym wówczas nie byłem) demonstrowała dystans wobec „*barbarzyńcy*”. Lecz wyczekiwała każdych odwiedzin, gdyż bez niego zanudziłaby się na śmierć. Żaden inny członek konwoju nie umiałby jej rozerwać. Przyzwyczajona do gładkoustych światowców, którzy, nakarmieni grecką literaturą niezbyt obyczajną i satyrą teatrów Rzymu, umieli prowadzić zręczną konwersację, pełną złośliwostek i żartów - źle znosiła chamskie milczenie tych żołnierzy porozumiewających się między sobą albo gruboskórnie, albo monosylabami i rozkazami, zaś kobietom odpowiadających tylko, i to krótkim, suchym słowem lub zdaniem. Mąż ją nudził, i chyba nawet gorzej - brzydził. Rufus Rega, Caeliusz Pollius i Aulus Carvillus mieli giętkie języki kiedy trzeba, lecz byli podwładnymi, a ze sługami ona nie weszłaby w żadną dialogową zażyłość, nawet w nieuprzejmość. Wyłącznie z Fulwiuszem mogła się bawić szermierką słowną, gdyż on miał kaliber bogów.

Te podsłuchiwane rozmówki były dla mnie ciekawe o tyle, że pachniały grą miłosną prowadzoną przez mego ojca, a ekscytujące stawały się jedynie wtedy, kiedy padało imię Kornelii, która zaprzętała mój umysł bardziej niż wszystko. Jak wówczas, na przełęczy górskiej, kiedy Fulwiusz powiedział:

- Widzę, że twoja córka, pani, woli forsować góry wierzchem, nie bojąc się wichru.

- W wozie jej duszno i za ciasno, Fulwiuszu, rwie się do ruchu, do powietrza i do błyszczenia strojem między twoimi legionistami. Nie przywiążę smarkuli, zwłaszcza że Valerianus jej zezwala. Czy mówił z tobą o niej?

- Raz mówił, kiedy spodziewaliśmy się Guntamunda koło cmentarnych nagrobków.
- Czego chciał?
- Sama wiesz, pani, że chciał haraczu za przepuszczenie.
- Nie udawaj głupiego! - sarknęła. - Ja pytam: czego chciał od ciebie mój mąż!
- Twój mąż niczego ode mnie nie chciał, prócz tego, bym wiódł waszą eskortę, pani.
- I byś wiódł Kornelię do małżeńskiego łóża!
- Nic takiego nie mówił, pani. Owszem, rozwodził się, że Kornelia będzie świetną żoną...
- Sugerując, że mogłaby zostać twoją żoną?
- Aż taki zaszczyt mnie nie spotkał.
- Mam rozumieć, że pragnąłbyś takiego zaszczytu?
- Nie, pani.
- Nie?!

- Nie. Daruj, jeśli cię to obraża, ale nie chcę wiązać się z waszą córką. Musicie pomyśleć o kimś godniejszym.

Wóz był kryty plandeką, płachtą namiotowego materiału, więc nie widziałem czy Terencja się uśmiechnęła, lecz bez wątpienia ulżyło jej, bo złagodziła ton:

- Nie podoba ci się Kornelia, Fulwiuszu?
- Podoba mi się. Podoba mi się wiele dziewcząt, pani, ale wolę kobiety od dziewcząt, tę słabość przejawiałem zawsze.
- Czyżby? Miałaś, jak gadają, prawie wszystkie dojrzałe dziewczęta Rzymu, trybunie...
- Prócz cnotliwych, pani.
- ... i prawie wszystkie żony.
- Prócz wiernych, ergo uczciwych.
- Mówisz tak, jakbyś podziwiał te, które ci się oparły. Czy to aby nie śmieszne w twoich ustach, Fulwiuszu?
- Cóż... - zawahał się mój ojciec.

- Słucham!

- My, barbarzyńcy, bywamy jeszcze śmieszni w ten sposób, a to przez zacofanie, które każe nam dotrzymywać przysięg, umów, traktatów, obietnic, tudzież innych przesądów, szanowna Terencjo.

- I to mówi człowiek, który dla kolejnej zdobyczy zdradził tyle swych miłośnic! - parsknęła.

- I który żadnej miłośnicy nie klął się na bogów, że dochowa jej wiary, Terencjo! Gdybym obiecał - wytrwałbym w cnocie.

- Wszystko potrafisz odeprzeć, Fulwiuszu! Widać za młodu uczono cię nie tylko sztuki wojowania mieczem, lecz i językiem!

- Istotnie, pani, mój ojciec nasyłał na mnie hordy retorów, filozofów i gramatyków...

- Wdzięcznego dostali ucznia!

- Twierdzili inaczej, pani. Skarżyli się ojcu, że wykpiwam ich kunszt retoryczny jako gadulstwo, a ich filozofię jako łamańce akrobatyczne umysłu. Wolałem akrobatykę miecza.

- Pewnie! Lepiej było zostać „*bogiem wojny*”. Marsem krwio pijcą!

- Słyszałem już ten zarzut, pani, twój mąż nazwał mnie rzeźnikiem. Wasza małżeńska jednomyślność mnie wzrusza, ale wasz wstręt względem żołnierzy dowodzi tylko waszej hipokryzji, bo to politycy wymyślają wojny, a kobiety je umożliwiają.

- Kobiety umożliwiają wojny?! - zdziwiła się tak głośno, że aż obudziła Justusa, który zaczął chlipać nosem.

- Nikt nie jest bardziej winien wojennym masakrom aniżeli kobiety.

- Zwariowałaś, czy może żartujesz wyjątkowo głupio?

- Mówię serio.

- Kobiety?!

- Politycy też, ale przede wszystkim kobiety. Kto rodzi wojowników?

Mówiąc to, zeskoczył z furgonu bez pożegnania. Był jawnie wściekły, może również na siebie. Odtąd przestał wizytować wóz konsulowej żony (konsul rezydował i coraz częściej sypiał w innym, gdzie trzymał swój majątek i gdzie czasami gościła młoda służąca Terencji), więc wcale nie gadali ze sobą. Aż do chwili, kiedy uderzył nas krzyk głodu...

Kilka mil przed Pisaurum drogę zastąpił nam wynędzniały tłum romańskich kobiet i dzieci. Mężczyźni też tam byli, głównie starcy, ale było ich niewielu. Parę setek tego nieszczęścia wyciągało

dłonie, żebrząc o żywność. Jakaś siła wojskowa maszerująca ku metropolii dwa tygodnie wcześniej (zapewne ci, których liczne ogniska widzieliśmy na łąkach między Tybrem a Peruzją) zmasakrowała im siedziby i uprawy, ogoławając z żywności do czysta. Ryb i zwierzyny łownej nie starczało dla takiej gromady pustych brzuchów, więc warzyli liście, korę lub trawę, ale chorowali od tego, dzieci zdychały, matki popełniały samobójstwa. Bramy Pisaurum przed darmożjadami kluczono, bo płacić Gotom za żywność nie mieli czym. Teraz, ujrzawszy rzymskie hełmy i pancerze, wyciągnęli ręce po ratunek do swoich - do Rzymu. Lecz chcąc ich nakarmić - musielibyśmy dać im własny mizerny prowiant, o który było tak trudno. Fulwiuszowe „- *Jestem Rzymem*” brzmiałoby tu śmiesznie i tragicznie, nie odważyłby się powiedzieć tego tym ludziom. Lecz przecież byliśmy dla nich Rzymem - jedynym Rzymem - milion razy bardziej niż dla jakichkolwiek wrogów, albowiem dla wrogów, którzy właśnie deptali resztkę Imperium, termin @Roma oznaczał już tylko nazwę miasta, nie zaś wszechopiekunczego państwa. Jeśli te zrozpaczone, półprzytomne, nękanie głodem kobiety słyszały bajdę o „ostatnim legionie” - musiały nas identyfikować jako forpocztę świętego legionu, zaś naszego dowódcę jako @wybawcę. Przydomek „*Soter*”, niby kalecząca pazurami dłoń złośliwego fatum, ścisnął gardło mojego ojca...

Pióro mi drży i bazgroli, kiedy przypominam sobie tamtą chwilę. Aulus Carvillus i Adaloald chcieli przepchnąć szyk przez ten tłum siłą, lecz wówczas szlochająca gromada uklękała, i co mogli zrobić? - musieliby płazować tudzież tratować zbitą masę kobiet i dzieci wychudłych jak nieboszczycy. Fulwiusz też zgłupiał, a mnie chciało się płakać, gdyż nigdy nie widziałem rozpaczy ludzkiej skondensowanej do takich rozmiarów. Kiedy płonęła ulica Sulpicjusza, tłum pogorzalców miotał się panicznie, wył i klął, lecz tamten szął, tamta rozpacz, wściekłość i bezradność budziły inną litość, dużo mniej przejmującą niż ta karmiona ludzkim głodem. Tamte szlochy wstrząsały - a te łzy raniły głęboko, zadając mi straszny ból. Wlepiały ciężką traumę niejednemu z nas. Legioniści spuszczały głowy, by nie widzieć wzroku tych kobiet wędrującego błagalnie od oblicza do oblicza. Zahartowane, utwardzone, skamienione wojnami i bestialstwami żołdactwo miękło jak воск, bo nim nauczyli się braku litości - mieli matki, które dbały, by dzieciom niezbyt często dawał się we znaki głód. Teraz matki wyciągały ku nam ręce, jęcząc cicho. Ale cicho jęczały usta każdej, a razem dawało to chór dojmująco głośny, niby tuman iskier parzących nasze serca. Pierwszy raz zobaczyłem „*Sotera*” przerażonego. Spojrzał na Valerianusa i powiedział niepewnie:

- Może by...

- Czy później mnie i swoim ludziom każesz jeść trawę i chwast?! - warknął konsul. - Sami mało wieziemy, bo mało ubieraliśmy. Co zrobisz, kiedy następną grupę takich głodomorów spotkamy dwie mile dalej?... A potem trzecią i czwartą?...

Valerianus miał słuszność. Lecz głodomory miały wzrok. Ujrzawszy wahanie i tę nerwową wymianę zdań - kobiety wstały z klęczek i poczęły napierać masą. Trzymały przed sobą niemowlęta i drobnych berbeciów, jakby niosły tarany do tłuczenia puklerzy legionistów, którym litość odbierała siłę, zaś strach czuli większy niż na polu bitwy wobec miażdżącej przewagi wroga. Szeregi cofały się spłoszone, setnicy zerkali trwożliwie ku Fulwiuszowi, czekając rozkazów, a on milczał, bijąc się gorączkowo z myślami, wyzbyty charyzmy „*Sotera*”. I wtedy Terencja zjawiała się u jego boku.

- Wracaj do wozu, kobieto! - krzyknął.

Pokręciła przecząco głową, a wzrok miała twardy.

- Co tu robisz?! - ryknął.

- Zdawało mi się, że winnam być teraz przy tobie - odparła.

- Głodny tłum bywa bardzo niebezpieczny! Wracaj, kobieto, twoje miejsce jest tam, wśród wozów!

- Kiedy stoisz naprzeciwko głodnego tłumu matek i nie wiesz co robić, moje miejsce jest przy twoim boku, trybunie. Twój miecz nie ma tu racji bytu, jakbyś go w ogóle nie posiadał!

Valerianus wtrącił się karcąco:

- Moja droga, musisz...

- Ty musisz, mężu! Zostawisz im tu dwa worki mąki, na dzisiaj. Na dalsze dni kupią żywność w Pisaurum.

- Nie ja tu dowodzę! Trybun jest dowódcą.

- Teraz dowódcą jest tutaj ona, Valerianusie - zdecydował Fulwiusz.

Żona konsula podeszła do starej kobiety trzymającej dziecko i wręczyła jej przewiązaną chustę:

- To jest moja biżuteria, matko. Bardzo cenna, dużo złota i szlachetnych kamieni. Starczy wam na jakiś czas.

- Starczy im na lekką śmierć, bo nie z głodu, tylko od żelaza! - zachrypiał Rufus, podjeżdżając koniem. - Goci, ujrawszy pierwsze takie błyskotki, wezmą całą resztę siłą. Chcecie je karmić, to dajcie tym głodomorom miedziaków!

Terencja spojrzała na Valerianusa:

- Mężu, wykup od tej kobiety moją biżuterię.

- Nie mamy aż tyle miedziaków, Terencjo...

- Dopłacisz, ile trzeba, srebrnymi monetami, Valerianusie.

Dopłacił sakwą denarów, a staruszka, oddając chustę z biżuterią, uklękła i pocałowała dłoń dawczyni tak, jak się całuje dłonie świętych.

- Niech Bóg was zachowa w zdrowiu! - rzekła Terencja.



- Bądź błogosławiona, pani! - krzyczały kobiety, gdyśmy jechali przez rozstępujący się tłum.

Valerianus musiał jeszcze zrzucić mąkę z wozu, pewnie trochę wściekły, lecz i kontent jak wszyscy, że mamy za sobą tę okrutną barierę. „Boże, spraw, aby nas to więcej nie spotkało!” - pomyślałem w duchu. Sądzę, iż nie tylko ja. I że nie tylko ja myślałem zdruzgotany: „Boże, czemu małe dzieci nęka plaga głodu wywołana przez dorosłych ludzi bestialską wojną?! Dlaczego tolerujesz taką krzywdę?!...”.

Rufus, po swoim zimny, mruknął mi koło ucha:

- Chleb to równie skuteczny łowca dusz jak pochlebstwo. Dałeś głodnemu chleba, wzięłeś mu serce. Fulwiusz mądrze zrobił, wieść rozejdzie się daleko wśród Gotów...

Okrążywszy Pisaurum, jechaliśmy na północ wzdłuż Morza Adriatyckiego, ledwo milę lub dwie od brzegu, ciągle głównym traktem, flamińskim. Wielotygodniowa marszruta zmęczyła już wszystkich solidnie, gdyż robiliśmy zbyt krótkie przystanki dla wypoczynku. Prawie każdego męczył ból głowy od zimnych wiatrów znad morza i od pogody wciąż kapryśnej. Centurionowie stawali się markotni, żołnierze przygaszeni, lecz skłamałbym mówiąc, że tylko Fulwiusz trzymał granitowy fason, bo Rega, „pies «Sotera»”, wzorem swego pana też nie przejawiał znużenia uciążliwością wojażu. I dalej schodząc w tym łańcuchu sług - Marcipor, „pies Regi”, był ciągle świeży niczym dnia pierwszego. Aczkolwiek potrafił być szybki jak iskra - zawsze wyglądał jak niezdara, którego trzeba się strzec bardzo. Żadnej odmiany.

Fizjonomię szczególnie zoraną trudami podróży nosił konsul Valerianus. Wędrówka musiała go mocno męczyć, pewnie dlatego, że demonstrował junackość jadąc wierzchem miast wozem, mimo iż do jeździectwa brakowało mu talentu. Za młodu był przystojny, chociaż złośliwie mówiono o nim: „*Apollo cierpiący na ból zębów*”, gdyż minę nosił stale kwaśną, bez humoru, i nawet kiedy grał uprzejmość, nie wychodziło to zbyt dobrze, bo z gładkimi rysami klóciły się chytre oczy „*wielkiego kalkulatora*”. Upływ lat szlachetnie patynował tę przystojność, zmieniając proporcje - dostojny rys zaczął górować, maskując wredność spojrzenia. Jednak trudy wędrówki nie sprzyjały nobliwości. Dygnitarz gasł, i Valerianus coraz to mniej przypominał świetnego konsula Rzymu. Niegdyś zawsze czysty, starannie ogolony - teraz poszarzał i wskutek rzadziej golonego zarostu wyglądał brudnawo.

Terencja znosiła wojaż lepiej, a niemożność regularnego mycia tłumila pachnidłami. Jednak długa tułaczka musiała być udręką dla tej kobiety ceniącej czystość, przyzwyczajonej do codziennych pielęgnacji ciała w łazience, mlekiem i olejkami, bojącej się brudu tak bardzo, że mówiono, iż nigdy nie spoliczkowała kogoś ze służby, by nie zabrudzić sobie dłoni skórą uderzonego. Mieszkanie w ciasnym wozie dużo mniej krępowało Kornelię, która tam sypiała, ale kiedy nie spała - jechała na rumaku.

Fulwiusz widział całe to zmęczenie ludzi, szukał tedy właściwego miejsca dla prawdziwego odpoczynku. Znalazł takie dwadzieścia mil przed Ariminum, u brzegów pięknego jeziora, gdzie był duży las z malowniczymi polanami i zwierzyną łowną. Rozbiliśmy kilkudniowy obóz, aby przywrócić sobie siły do dalszej drogi, zebrać zapas dziczyzny, lepiej wykurować rannych, wyprać

odzież, wyremontować wozy, wyczyścić zbroje i broń. Tudzież ciała lepiące się od niezeskrobywanego długo potu. Skrobaczki i kijanki poszły w ruch. Mogliśmy teraz spać bez pobudek i leżąc w miękkiej trawie cieszyć się wiosną, a właściwie już latem, bo lato przyszło niepostrzeżenie i ziemia zrobiła się gorąca. Aura przestała marudzić, niebo zbłękitniało, ptaki śpiewały. Utrudzonym wędrowcom przyroda wydawała się rajem.

Tylko konsula nie cieszył tak długi postój. Wsiadł na Fulwiusza z mordą:

- Dość tej wałkoniady! Musimy co rychlej ruszać, trybunie!

- Czemu?

- Bo... bo gonią nas ludzie Mangera!

- Już zmartwychwstali? Bez Sądu Ostatecznego?

- Bardzo dowcipne! Myślisz, że król Manger jeszcze nie wie, iż zostali przez nas wyrżnięci, i nie pośle za nami kolejnych Kwadów?

- Ci nie przybędą szybko... chyba że użyją jaskółczych skrzydeł.

- Należy ruszać!

- Jasne. Ale wcześniej należy wypocząć.

- Podąża przed nami Cimber. Nie chcesz ścigać łotra, by się zemścić? - spróbował kuszenia Valerianus.

- Żeby pragnąć zemsty, trzeba czuć się ofiarą - mruknął trybun. - Nigdy do tego nie dopuszczam.

- Więc mu darowałeś?!

- Tak. Jeśli go ubiję, to tylko dla zabawy.

- Przestań kpić!

- A ty przestań kłamać. Łżesz cały czas, bez żadnego antraktu. Mów o co naprawdę idzie.

Valerianus spurpurowiał i ślepią mu się zwężały. Znałem taką minę, każdy ją zna. Ten rodzaj bogatych kombinatorów. Wszystkie te pospolite dusze, których maską bywa uprzejma wyniosłość, władcza nieomyślność i retoryczna prawość, dostają kwasu na pysku oraz czujnego zwężenia źrenic, kiedy przyprzeć je do muru lub przyłapać niczym złodzieja kradnącego swemu gospodarzowi rodzinne srebro. Rozejrzał się wokół, nim spytał:

- Ktoś ci coś mówił?

- Rega cię wyczuł. Jesteś zainteresowany szlakiem Cimbera bardziej niż naszym bezpieczeństwem i czymkolwiek innym. Zdradź mi, ilu pretorianów wziął Cimber?

- Nie mam pojęcia.

- Jednak pragniesz go doścignąć. Spieszno ci umierać, Valerianusie?

- Nie. A umrę, gdy zechcę sam, śmierć trzymam w tym puzderku.

Pokazał „*pyxidę*” [\* - Pudełeczko mieszczące proszek lub maść (łac).] wiszącą niżej szyi na złotym łańcuszku. Mało obeszła „*Sotera*”, lecz jakby utwardziła mu głos:

- Przyrzekłem cię bronić, ale nie przyrzekałem, iż będę szukał walki. Nie będę więc ryzykował boju z bandą Cimbera, gdy mam tak niewielu żołnierzy i tak wielu cywilów pod opieką! A teraz gadaj co kryjesz, lub idź do diabła!

Valerianus zastanowił się, spojrział na mnie koso i rzekł:

- W cztery oczy. Niech Kaius sobie pójdzie, to tajemnica nie dla smarkatego.

- Kaius zostanie. Chcę mieć świadka.

- Syn nie może być świadkiem, Fulwiuszu.

- Tyle mówi prawo, ale Kaius mi wystarczy. Gadaj o co idzie!

- O święte „*Flagellum*” [\* - Bicz, którym smagano Chrystusa (łac).] - szepnął Valerianus.

Trybun aż wstał, tak bardzo był zdumiony.

- Seranus Cimber wywiózł je z Rzymu?!... Za cesarską zgodą, czy ukradł?

- Wywiózł je ktoś, kto nie potrzebował przyzwolenia cesarskiego.

- Papież!

- Papież.

- Faraon twojej frakcji!

- Wypominasz mi tę przynależność? Nigdy jej nie tailem. Sam ci to powiedziałem, kiedy gniłeś w lochu.

- Szkoda, że nie wyznałeś mi wtedy wszystkiego, wskazując jedynie na Północ. Że przemilczałeś ten skręt ku papieżowi, czyli ku Wschodowi. Że łągałeś jak pies! To teraz rzuć trochę prawdy, nie unikając szczegółów.

- Papież chciał wywieźć relikwię do Konstantynopola...

- Sam zgadłem, słyszałeś. Wiadomo, że papież uciekł do Konstantynopola.

- Relikwia była najcenniejszą rzeczą, którą wiózł. Gdy nie można znaleźć świętego Kielicha i świętego Całunu, ten święty Bicz jest główną pamiątką po Golgocie.

- Nie mów mi o tym, o czym wszyscy wiedzą. Mów mi to, czego nie wiem! - zgromił go Fulwiusz.

- Miał drogę równie trudną jak nasza. Kwadowie rozbili orszak papieski. Papież się uratował, lecz przed dalszą wędrówką wolał schować „*Flagellum*”.

- Gdzie?

- W jednym z kościołów lub klasztorów blisko Aquilei, między Tergeste i Aquileą.

- Więc uciekał traktem postumskim.

- Tak, wzdłuż Via Postumia.

- I co?

- Seranus Cimber chce teraz znaleźć „*Flagellum*”. Gdyby przywiózł relikwię do Bizancjum, zostałby ozłocony.

- A ozłocony za to pragniesz tam być ty, drogi Valerianusie... - uśmiechnął się Fulwiusz uśmiechem rozzłoszczonego wilka. - Zostałbyś faworytem Ojca Świętego... Jednak tej kombinady nie mogłeś wyjawić w mej celi, bo to byłaby marna przynęta, więc rzuciłeś żołnierską przynętę, miraż „*ostatniego legionu*”.

- Nie zmyśliłem „*ostatniego legionu*”! - zaperzył się konsul, też szczerząc zęby, choć nie były to kły wilka, raczej próchniaki nastraszzonego kundla.

- Jasne, trochę tylko podmalowałeś ów legion dygnitarską perswazją, retoryką dworskiego bywalca, który ma informacje z pierwszej ręki!... - prychnął Fulwiusz. - A ja ci uwierzyłem i obiecałem. I wiesz co? Ja ci tej obietnicy dotrzymam.

- To znaczy?

- To znaczy, że za Vicetią nie skręcimy na wschód, tylko będziemy kontynuować marsz na północ, depcząc nie Via Postumia, tylko Via Claudia Augusta, i szukając legionistów ocalałych z barbarzyńskiego potopu. Gwoli tego właśnie byliśmy umówieni.

- Jakich legionistów?! Guntamund już ci wyperswadował „*ostatni legion*”!

- Legion tak, ale nie legionistów. Legiony nadgraniczne północnego limesu zostały rozbite, czy

jednak zostały wybite do nogi? Nigdy się tak nie dzieje. Mniejsze lub większe resztki, choćby legionów Germanica czy Pannonia, musiały ocaleć i kryją się gdzieś po dziurach, dziczach, pustkowiach, czekając na cud. Cud się zbliża, chłopcy, idzie „*Soter*”!

Valerianus, słysząc to, kręcił głową w geście kategorycznego negowania:

- Choćbyś zebrał z tych resztek cały legion, nie odwojujesz Zachodniego Imperium, nie przemożesz zjednoczonych plemion!

- Widziałeś, Valerianusie, jak zjednoczonych? - spytał trybun. - Rzną się wzajemnie, knują przeciwko sobie, nienawidzą się mocniej niż nienawidzą nas. Manger nie utrzyma długo takiego sojuszu. Chcę ich bić, ale czy będzie jeszcze kogo bić, gdy już zbiorę wojsko? Wytną się sami.

- Bzdura!

- Może i bzdura. Jednak mój ewentualny sojusz z częścią tych barbarzyńców wrogą Mangerowi - to już chyba nie bzdura, Valerianusie?

- To też mrzonka!

- To marzenie, konsulu, człowiek winien mieć prawo do marzeń. Idę wprost na północ. Na północ! To akurat nie jest mrzonka - to decyzja.

- Decyzja szaleńca! - wycodził konsul. - Respektuję prawo człowieka do obłądki, lecz nie daję wodzowi prawa do głupoty, a ta decyzja to samobójstwo!

- Czyżby?... Spójrz! Całą koalicją rządzi Kwad, chociaż Kwadów zliczyłbyś dzisiaj tylu, ilu Longobardowie, Herulowie, Gepidowie czy Goci trzymają pastuchów w swych stadninach - nędzne resztki dawnych hord Kwadów! Dziwne, że jeszcze przetrwała nazwa tego plemienia. Jak długo Kwad będzie rozkazywał innym plemionom?

- Być może bardzo jeszcze długo, Fulwiuszu. Właśnie dlatego mógł zostać naczelnikiem sprzymierzonych, że Kwadowie właściwie już nie istnieją. Longobardowie nie znieśliby frankońskiego szefowania, Ostrogoci nie znieśliby Wizygota jako naczelnego wodza, Alamanowie nie słuchaliby Gepida, i tak dalej. Kwad zadowolili wszystkich, bo nie stoi za nim silny naród.

- Świetnie to wiem. Lecz wiem też, że jego przywódcza władza jest chwiejna z tego samego powodu, z jakiego został wybrany - bo nie stoi za nim naród mający wielu wojowników. Egfrid głośno powiedział gdzie ma jego rozkazy, słyszałeś. Prędzej czy później dadzą „*Gromowładnemu*” kopa i będą się zreć o naczelne przywództwo, a wtedy ja wykorzystam te niesnaski. Wykorzystam jako „*Soter*”, widziałeś mój mir wśród barbarzyńców. Trzeba tylko czasu. Pojmujesz?

- Pojmuję, żeś zwariował, aby robić mi na złość. Idąc wprost ku północy, uderzysz nosem o wielkie góry, nie dasz rady ich przejść, Fulwiuszu!

- Góry są świetnym schowkiem i bardzo dobrą twierdzą, a im wyższe, tym lepsze, niedobitki rzymskich kohort mogą tam trwać.

- Mogą trwać wszędzie, na północnym Wschodzie również, człowieku! Są tam cieplejsze góry, mniej zaśnieżone, a równie twarde jako bastion.

- Więc idź tam sam! - burknął Fulwiusz. - Kupisz sobie nowych najemników.

- Kogo? Franków, Gepidów, Longobardów?... Nająłem ciebie!

- Ale nie dla gonienia Seranusa i nie dla zdobywania ci relikwijnej przepustki do fotela dygnitarskiego w Konstantynopolu!

- W Konstantynopolu znalazłbyś świeże wojska, z którymi mógłbyś tu wrócić, trybunie!

- Widać niezbyt gotowe się tu wybierać, jeżeli papież nie posłał bizantyjskiej armii dla odzyskania tak drogiego mu „*Flagellum*”.

Zapadło milczenie. Zdawało mi się, że konsulowi brakuje już metod perswazji, ale to nie była prawda, bo miał jeszcze dwa chwytów na podporządkowanie - metodę łzawą i metodę kaleczącą. Jako pierwsza rozbrzmiała żebrania:

- Fulwiuszu... cokolwiek mówiłem w tamtym lochu, faktem jest, że uratowałem wówczas życie tobie i twojemu synowi... Człowiek prawego serca winien znać wdzięczność...

- Jestem ci wdzięczny, dobroczyńco, ale mojej decyzji nie zmienię - odparł zimno Fulwiusz.

- To samo mówiłeś tam trzy razy, a jednak zmieniłeś wtedy decyzję - przypomniał Valerianus.

Te słowa były wstępem do końcowej, morderczej fazy łamania przeciwnika, lecz mój ojciec tego nie wyczuł i palnął bez troski:

- Gdybym nie zmienił, musiałbym tam zostać i dalej słuchać jak wredny strażnik gwiżdże tę syryjską melodię, która codziennie przyprawiała mnie o mdłości. Tłumaczyłem ci to już.

- Cieszę się, że wrócił ci dobry humor, kpiarzu! - roześmiał się konsul, a mnie zmroził jego śmiech. - Może pamiętasz również co ja ci trochę wcześniej tłumaczyłem tam, gdyś się upierał, że swej decyzji nie zmienisz za nic. Pamiętasz to, twardzielu?

- Cóż mi tłumaczyłeś, Valerianusie?... Tłumaczyłeś mi dużo rzeczy, nie pamiętam wszystkiego.

- Nie musisz, żołnierska głowa winna pamiętać żołnierski kunszt, żołnierski honor i żołnierski katechizm, reszta to już sprawa cywilów. Gdybyś wszelako pragnął sobie przypomnieć, to widzę tu świadka, który był świadkiem i wtedy, a pamięć ma, wierzę w to niezłomnie, wyborną. Kaiusie, przypomnij ojcu co mu tłumaczyłem jako sztukmistrz, arcymistrz perswazyjnych trików.

- Jako kto, panie?! - szepnąłem przerażony.

- Jako genialny iluzjonista, czyżby słuch ci szwankował, chłopcze? Mniemam jednak, że pamięć zachowałaś zdrową, bo młodą, niezmeńczoną wpływem lat. A więc?...

Wzięłem głęboki oddech, klnąc w duchu swoją obecność pod płótnem Fulwiuszowego namiotu, i przypomniałem tamtą groźbę konsula:

- Mówiłeś, panie, że swymi sztuczkami możesz zmusić każdego do posłuchu...

- Brawo! Nie ma jak młoda pamięć! - ucieszył się łajdak.

- Starczy już tej komedii! - rzekł Fulwiusz. - Co znowu knujesz?

- Komedie, barbarzyńco! Znowu zgadłeś, czytasz moje myśli?... Tak, masz słuszość, lubię komedie. Dlatego wykupiłem stałą lożę w teatrum - żeby tam często bywać. Cieszyły mnie zwłaszcza komedie miłosne. Wiesz które?... Jako bezbłędny zgadywacz pewnie wiesz, ale i tak powiem, żeby usłyszał twój świadek, pamięcionośny junior. Te najmodniejsze każdego sezonu - te o rogaceniu próchniejących mężów przez swawolące małżonki. Uwielbiałem takie występy. Boki można było zrywać!

Żrenice Fulwiusza załśniły trochę czujnym, a trochę wściekłym blaskiem, lecz jeszcze głębiej migotały w nich iskierki dziwnego strachu, gdy spytał:

- Do czego zmierzasz, lisie?

- Zmierzam do Konstantynopola, na wschód.

- A ja na północ.

- Otóż właśnie. Będę więc jechał sam, z garstką służby i z każdym zbrojnym, którego uda mi się wynająć po drodze, bo muszę kogoś wynająć, żeby odszukać „*Flagellum*” albo je odbić pretorianom Cimbera.

- I to mnie zarzucałeś wariactwo?! - zdenerwował się trybun. - Bez licznej eskorty nie masz żadnych szans, nie przejedziesz żywy dwóch mil!

- Oddam się pod opiekę Panu Bogu... Do Rawenny blisko. Tam wsadzę żonę i córkę na jakiś statek płynący ku Bizancjum, by życiem kobiet nie hazardować...

- Głupcze, one zaginą bez wieści! - ryknął mój ojciec.

- Być może, panie sędzio. Ty ferowałeś ten wyrok, a nie ja. W Rawennie kobiety pożegnają się z nami. Da Bóg, że dopłyną całe i zdrowe. Nie wiem czy to mrzonka, ale wiem, że rozstanie to decyzja, Fulwiuszu...

- Którą cofniesz, bydlaku, jeśli...

- Jeśli nie utracą eskorty „*Sotera*”, kolejny raz zgadłeś. Muszę o nie dbać, w końcu to dwie duszyczki najbliższe memu sercu. Trwa wycieczkowy antrakty komedii, więc masz czas, aby przemyśleć swoją decyzję, mądralo. Powiesz mi jutro, teraz chcę odetchnąć, odlać się, oskrobać, nie zamierzam dziś dłużej suszyć sobie głowy decyzjami.

Ruszył energicznie do wyjścia, lecz w rozcięciu namiotu stanął, jakby coś sobie przypominał. Odwrócił się i rzekł:

- Byłeś, Kaiusie, skrybą zmarłego filozofa Greka, prawda?

- Tak, panie.

- Zatem kaligrafujesz zdania nie gorzej niż wspominasz słowa i czyny. Jeśli przeżyjesz naszą odyseję, winienesz ją spisać. Wiesz czemu?

- Nie wiem, panie.

- Byśmy przeszli do historii jako zwykli komediancy tego świata, odtwarzający słowa i czyny naszych przodków dla pożytku naszych wnuków, którzy dzięki temu rozumieją, że trudno tu coś nowego wymyślić, bo stale grana jest ta sama szmira: władza, złoto i chuć... A dzisiaj ogół się solidniej, boś się zaniedbał. Ja też, lecz mnie wolno, jestem stary. Bez brzytwy, przynajmniej dwa razy tygodniowo, upodobnisz się do „*Wąsatych*”, a Kornelia ich nie cierpi, chłopcze.

Musiał, łotr, mnie również zagrozić rozstaniem. Widocznie nie był pewien czy już wygrał, a pamiętając, że wewnątrz lochu wpłynąłem na decyzję Fulwiusza - liczył może, iż teraz zrobię to samo. Przeliczył się, gdyż wyszedłem chwilę po jego zniknięciu, nie mówiąc nic, dławiąc strach, iż Kornelia zniknie wkrótce z mego życia jak mara senna, której nie sposób wskrzesić na jawie. Zostawiłem ojca milczącego ponuro. Siedział trzymając głowę zwieszoną i dziurawiąc ziemię wzrokiem pełnym gniewu. Przypomniała mi się fraza Sulpicjusza, ułamek któregoś wiersza: „*Straszna jest chwila zmagania się ambicji z bezsilnością*”... Lecz to nie było precyzyjnie adekwatne. „*Raczej honoru z żądzą, Sulpicjuszu...*” - pomyślałem nie bez gorczy.

Valerianus wygrał. „*Wielki Kwad*”, król Manger, mimo że zebrał hordy barbarzyńców, niczego nie zdołał Fulwiuszowi zrobić, a „*wielki kalkulator*” złamał trybuna już drugi raz, znowu w mojej obecności, choć tym razem byłem obecny przypadkowo. Ich kolejnej rozmowy nie słyszałem, lecz stało się dla mnie jasne, że za Vicitą wybierzemy kierunek: wschód. Poszedłem do Rufusa i streściłem mu ten namiotowy dialog. Myślałem, że się wścieknie i nie będzie szczędził epitetów Valerianusowi, tymczasem Rega klasnęła aprobowająco i złożył hołd komplementem:

- Zachwycający skurwysyn, dzieciaku! Wzoruj się wedle niego.

- Mam się skurwiać?



- Masz wynajdywać. Czyż nie to ci polecałem, Kaiusie? Wynajduj triki, które łamią przeszkody. Ten demon zawsze znajduje coś, co uchyla mu każde wrota, choćby były ryglowane i barykadowane, to geniusz. Wynalazł kobietę skuteczniej od Pana Boga.

- Nie zdradź się przed Fulvuszem...

- Z czym?

- No... że powiedziałem ci...

- Nie powiedziałeś mi nic, czego bym nie wiedział. Widzę to wszystko. Lecz nie umiem mu pomóc, nie da się perswazją okiełznać rdzy korodującej bryłę żelaza. Natura jest zawsze silniejsza od hartu - dlaczego akurat on miałby być wyjątkiem? Śledzę to i rozumiem to. Każdy pancierz trafiony strzałą Kupidyna mięknie, bo raniony tak żołnierz aspiruje do ideału i do wieczności. Ja kultuwuję zdrowszy pociąg - lubię z rutynowego rżnięcia czerpać chamską przyjemność. Dzięki temu człowiek jest bliżej ziemi, więc trudniej go wywrócić.

Byłem „bliżej ziemi” odkąd posiadałem pierwszą kobietę. Rufus trafnie ujął te sprawy - z żywiołowego ciupciana czerpałem dziką przyjemność. Aż do chwili, kiedy zobaczyłem córkę Valerianusa. Od tej chwili przyjemność sprawiało mi każde kierowanie myśli ku niej, dużą przyjemność każde spojrzenie na jej figurę i twarz, wielką przyjemność każda rozmowa między nami. Kopulowałem ją w snach, i bardzo byłem ciekaw jej snów. Słyszałem u Sulpicjusza, że zakochani ludzie snami się porozumiewają. Wmawiałem sobie, iż to prawda.

Zostały nam dwie doby odpoczynku. Miało ich być więcej, jeszcze cztery, ale Valerianus zmusił trybuna, gdyż bał się, że Cimber pierwszy dopadnie „*Flagellum*”. Rega wykorzystał te dwa dni dla nauki - uczył kawalerzystów jak podczas walki trzymać buty w pętelkach wiszących przy końskim brzuchu. Nie wiem czy szło mu łatwo, czy trudno, bo nie interesowałem się tym. Wykorzystywałem ów wolny czas na miłe mojemu sercu ćwiczenia spod znaku Amora i na rozkosze wodne. O tych pierwszych (o flirtowaniu z Kornelią i o awanturze, która przez to gruchnęła) powiem później. Teraz powiem o pływaniu, które zawsze było moją pasją i zrobiło ze mnie mistrza („*Wydrę*”), gdy już jako smarkacz szukał każdego pretekstu, by dać nura do wody.

Blisko klasztoru jest strumień. Ma niewielkie rozlewiska, gdzie można się kąpać podczas letnich gorących dzionków. Młodszy braciśzkowie używają tu sobie ochoczo - pływają, nurkują i staczają bitwy na bryzgi piany. Dla mnie takie harce to już daleka przeszłość, wspominki dziada. Cieszę się, że chodzę bez laski czy bez kul - Pan Bóg Wszechmogący łaskaw - ale o pływaniu ni marzyć. Tyle że zadzieram habit, wchodzę w nurt i drepczę pod prąd, który delikatnie pieści mi stopy, golenie i kolana. Woda jest krystalicznie czysta, widać małe rybki smygające przy dnie wśród głązów. Będąc młodym, uwielbiałem nurkować wszędzie do dna leżącego bardzo głęboko. Jak w tym jeziorze, na brzegach którego Fulwusz zarządził wypoczynek zwierząt i ludzi.

Ostatniego dnia przed wznowieniem marszu pływałem dużo. Najpierw rano, a później po południu. Blisko wieczoru wynurzyłem głowę z przybrzeżnego sitowia i zobaczyłem ich. Stali obok

drzewa, którego korzenie pełzły niską skarżą brzegową i niknęły w lustrze wody. On był suchy, więc pewnie zaszedł tu, by się pławić, lecz nie zdążył, bo natknął się na nią. Ją owijało prześcieradło, więc chyba właśnie wyszła z kąpeli i kiedy wyżeła mokre włosy pojawił się intruz. Ciszę skaleczył jego rozkaz:

- Precz!

Teraz dopiero zauważyłem trzecią figurę, biegnącą służkę, którą wcześniej krył masywny pień drzewa. Uciekła wystraszona, i znowu zrobiło się cicho. Stali milcząc i patrząc sobie w twarz. Któreś musiało wreszcie otworzyć usta. Rozbrzmiał jej gniewny głos:

- Czego chcesz?!

- Ciebie.

- Wybij to sobie z głowy! Nie!

- Tak szybko się zgadzasz?

- Powiedziałam: nie!

- Właśnie.

- Myślisz, że decyzję zmienię od tych głupich męskich żartów?

- Od głupich żartów twojego męża ja wczoraj zmieniłem decyzję co do drogi wielu ludzi. Tylko dlatego, by nie rozstać się z tobą.

- Żeby się rozstać, trzeba najpierw być razem. My nie jesteśmy razem, Fulwiuszu!

- Nawet wówczas, gdy stajesz przy moim boku?

- Nawet wtedy, trybunie.

- A widzisz wokół kogoś innego prócz nas?

- Nie widzę, bo pognałeś stąd służącą, i drzewa zasłaniają twoich żołnierzy.

- Pytam o cały świat, Terencjo - o cały pusty świat wokół. Zostaliśmy sami, ty i ja. Przejrzyj wreszcie! Lub może: przestań pajacować, kobieto!

Znowu zapadła cisza. On wbijał się w nią płonąącym wzrokiem, a ona patrzyła w ziemię, i spostrzegłem, że wilgotne płótno drga nerwowo tam gdzie kryło biust, jakby miała wybuchnąć łzami. Kiedy podniosła głowę, przybrała dziwny u niej ton. Wcześniej nieodmiennie jej głos naśladował jej twarz, brzmiał wyniosłym chłodem. Również teraz słyszeć było nutę sprzeciwu, lecz haftowaną nitką żalu:

- Wlepiasz we mnie wzrok, ale myślisz o kimś innym, o tej jednej, którą kochałeś. Prawda?

Pokręcił głową lekceważąco, negując domysł tkwiący w pytaniu:

- Nie przeżyłem wielkiej miłości. Znam się tylko na zdradzie.

- I dzięki tej jednej zdradzie, która dawno temu zadała ci ból, nienawidzisz kobiet, więc starasz się pokryć każdą i wypluć niby pestkę do rynsztoka, mnożąc własne zdrady?

- To nie tak, Terencjo... - rzekł łagodnym głosem.

- Wszystko mi jedno jak. Odejdź, Fulwiuszu!

- Ku przełęczom Północy, bez ciebie, czy tylko spod tego drzewa? - zapytał, szczerząc zęby wilczym grymasem, normalnym u niego gdy nie krył gniewu.

- Zostaw mnie samą!

- Tu, czy na zawsze?

- Nie wiem. Odejdź, chcę włożyć peplum.

Nim odszedł, długą chwilę lustrował milcząco twarz żony konsula, i chociaż nie rzekł ani słowa, jego rozgniewany wzrok zdawał się mówić: „- Twoja cnota to już tylko duma, a twoja duma to głupota, która wzbrania ci grzechu. Będąc kobietą, masz prawo do głupoty. Ale czy będąc istotą ludzką masz prawo do krzywdzenia siebie samej, do zadawania sobie gwałtu, kobieto?...”.

Woda była niezbyt chłodna, lecz tkwiąc bez ruchu wśród szuwarów zziębłem. Gdy i Terencja sobie poszła - wygramoliłem się na brzeg tam, gdzie leżały moje łachy i moje buty. Gasnące słońce suszyło mi skórę, a włosy wyschły przy ognisku. Spożyłem wieczerzę żołnierską i znowu ruszyłem do wody, jednak nie dla pływania. Ogarnął mnie ciepławy zmierzch. Miotnałem kilka „kaczek” i chciałem dalej rzucać, ale nie znalazłem więcej kamyków. Usiadłem na pniu przybrzeżnym, wpatrzywszy się w lśniące księżycem fale jeziora. Wieczorny chór żab, senne brzęczenie owadów, płochliwy krzyk żurawi, czy plusk ryby nurkującej spod lustra w głąb wody - nie zagłuszały ciszy, która tuliła ziemię. Po całym tym nerwowym dniu z rozkoszą chłonałem spokój nocy, który był jak balsam.

Wracając do obozu zobaczyłem w blasku księżyca sylwetkę kobiety siedzącej przy brzegu, u stóp tego drzewa, gdzie wczesnym wieczorem natknął się na nią „*Soter*”. Podparła brodę kolanami, a ramionami objęła nogi, i trwała tak nieruchomo, wzorem kamiennych figur.

Zbudziłem się długo przed pobudką. Było jeszcze szaro, mrok bladł leniwie, nie widziałem słońca. Biegając do jeziora, dla ostatniej kąpieli - zobaczyłem babę w tym samym miejscu! Nie wierzyłem oczom. Przesiedziała tu całą noc, na brzegu, niby uwiązana do tego drzewa! I siedziała dalej, aż świt zaczął rozjaśniać niebo. Gdzieś blisko, między krzewami, ćwierknął ptak, głosząc

braciom pobudkę, bo wnet się odezwała reszta. Gwar czyniły tym większy, im bardziej jutrenka przybierała na blasku. Z obozu zaś rozbrzmiał sygnał drugiej pobudki, człowieczej. Wznawialiśmy wędrówkę przez świat.

## IX.

Gdy kończyliśmy związać obóz, podszedłem do Fulwiusza, mówiąc:

- Ojczy, żona Valerianusa siedzi nad jeziorem... Mam ją zawołać?
- Jak to siedzi? Przecież ruszamy już!
- Siedziała tam całą noc... Wiem, bo widziałem wczoraj bardzo późno i dzisiaj z wczesnego rana.

Wytrzeszczył źrenice. Chciał biec ku jezioru, lecz właśnie wtedy zobaczyliśmy ją. Szła bez pośpiechu, splatając jakieś wodorosty w laur wieńcowy, niczym rusalka lub niedoszła topielica. Kiedy nas mijiała, Fulwiusz rzekł głosem patriarchy, który wygłasza reprimendę do lekkomyślnej córki:

- Nie oddalaj się sama od obozu, Terencjo, zwłaszcza nocą! Samotna kobieta jest łatwym celem.

Spojrzała nań cierpko i cichym głosem smagnęła:

- Któż wie to lepiej niż ty!

Dręczyło mnie coś z ubiegłego dnia - pewien fragment dialogu między nimi pod przybrzeżnym drzewem. Gdy wznowiliśmy marsz, dogoniłem Rufusa, wyrównałem nasze konie i chciałem mówić, lecz jak tylko usłyszał o czym - dał mi wzrokiem znak, bym zamilkł, a później wstrzymał swego rumaka. Przepuściliśmy cały szereg, także ariergardę, by móc się wlec na samym końcu. Wtedy dopiero zezwolił mi gadać:

- Mów. O co chodzi?
- Podśluchałem wczoraj rozmowę Fulwiusza z Terencją...
- Brawo! Podśluchuj ile możesz, Kaiusie.
- To był przypadek, wierz mi, pływałem, a kiedy wypłynąłem koło brzegu...
- Wierzę ci, i wcale cię nie karzę, dzieciaku, wręcz odwrotnie.
- Odwrotnie? Czyli co?
- Czyli byłoby dobrze, gdybyś podśluchiwał gdzie tylko się da, zwłaszcza Valerianusa i Fulwiusza, synku.

Próbowałem się bronić:

- Valerianusa mogę, lecz ojca...

- Zwłaszcza twego ojca!

- I żebym donosił ci każde słowo?

- Każdą sylabę.

- Nie będę ci na niego donosił!

- Aż tak źle mu życzysz? - spytał, przewiercając mnie ironicznym wzrokiem.

- Ja miałbym mu źle życzyć?!

- Jeżeli dobrze mu życzysz, to staraj się, bym znał każdy jego ruch i każde słowo, bo to zwiększa szansę, iż będę umiał zaradzić, gdyby on chciał czynić głupstwa. Fulwiusz robi głupstwa tylko przez kobiety.

- Właśnie o kobietę chciałem cię spytać.

- O czcigodną Terencję Sabine, Kaiusie?... - westchnął głosem, w którym politowanie i kpiarskość współgrały jak fujarki dubeltowego aulosa.

- Nie, o inną.

- O inną? Ciekawe... Pytaj, koguciku.

- Wcale nie o jej córkę! - zaprzeczyłem domysłowi.

- Chciałeś rzec: pasierbicę.

- Tak, nie o Kornelię.

- Tym bardziej mnie to ciekawi. Mów.

- Terencja powiedziała, że Fulwiusz został kiedyś zdradzony przez kobietę, którą bardzo kochał... jedyne, którą kochał...

- I co?

- No... że pamięć tej zdrady blokuje mu serce i samego czyni ciągłym zdrajcą. Skąd ona wie takie rzeczy?

Wzruszył ramionami, dając wyraz lekceważeniu:

- Te Rzymianki zbyt dużo wiedzą, zbyt dużo głupot, bo Rzym był areną plotek, istnym Colosseum głądzeń plotkarskich, nie tylko zresztą wśród bab. Tam wszyscy obgadywali wszystkich, Kaiusie. Bez gladiatorów można żyć, lecz bez plotek Tybr by wysechł, a Roma umarłaby z nudów rychlej niż

od najazdu barbarzyńców.

- Czy ta plotka to prawda?

- Nie wiem.

- Nie znałeś tej kobiety?

- Słyszałem o różnych kobietach, które pieścił Fulwiusz, ale nie wiem o żadnej, która jemu skaleczyła serce. Co nie znaczy, że takiej nie było. Mogła go jakaś zranić nim zostałem jego sługą, synku. Jakaś młodzieńcza miłość, to normalne u młodych. Owe wczesne miłostki szybko się zapominają. Ale bywa też, że ta wczesna zadra głęboko wrasta w skórę. Uważaj, bo i tobie wrośnie, jak każdemu napalonemu.

- A ty nigdy nie byłeś napalony?

Rega wykrzywił wargi typowym dlań grymasem cynicznego rozbawienia:

- Bywało się i w gorączce cielesnej, nie będę przeczył, ale nie bywało się ogłupiałym z chuci, Kaiusie. Nie dźwigam garbu bolesnych wspominków.

- Więc może zmarnowałaś młodość?

- Huhuhu! Wymądrzył się uczeń filozofa!

- Zabolalo ucznia mizoginów, co? - odwinąłem.

- Pyskatyś się zrobił, dzieciaku, aż dziw, bezczelniejesz szybko! - zganił mnie chrapliwym głosem.  
- Wystaw sobie, iż mam takie wspomnienia, tyle że moje nie krwawią, mówiłem ci już.

- To przytocz choć jedno, Rufusie.

- Po co?

- Przez ciekawość pytam.

- Przez ciekawość, czy przez złośliwość? Przez rachubę, że wzorem durniów zacznę wymyślać amorzaste wspomnienia dla samczej chwalby? To nie mój styl, dzieciaku. Starczy mi pamiętać ów glinkowy karmin, który zdjąłem palcem z jednych warg i zrobiłem nim figlarną kreskę na jednym pośladku, bym nie zapominał, że byłem młody jak ty. Zresztą wciąż to lubię.

- Mówiłeś mi już co lubisz. Lubisz się pieprzyć, nie lubisz się kochać! - przypomniałem sobie głośno.

- To fakt, synku... Nie naśladuję ani Kaiusa, ani Fulwiusza, vulgo: nie lubię się kochać w panienkach cuchnących cielecą oborą tudzież w matronach woniejących cnotą westalek. Pierwsze

konserwują swą dziewiczość przez debiutancki strach, drugie grają teatr żeńskiego honoru przez upór, ale i jedna, i druga taka zabawa ma krótkie nogi. Niedługo ty lub ktoś inny rozkrwawi podbrzusze twej Kornelii, a twój papa wbije na swój rożen jej macochę, i dalej to już będzie rutynowa gimnastyka dwóch pokoleń, zamiast miłosnych westchnień i wybiegów. Gdybym miał tu grać hazardowo, obstawiłbym trybuna. Fulwiusz cię wyprzedzi, pierwszy dobiegnie do mety, koguciku.

- Zobaczmy! - palnąłem buńczucznie.

- Ano, zobaczymy... Kornelia jeszcze trochę wytrzyma twoją niemrawość, lecz Terencja już niezbyt długo da radę hamować swą zwierzęcość. Samice są tu zawsze w gorszej pozycji, synku. Mężczyzna, który nie ciupcia cały rok, może ten rok wypełnić na wiele sposobów, tak intensywnie, że brakuje mu czasu i nie dosypia co drugą noc. Kobieta, która nie zazna mężczyzny przez tydzień, ma zmarnowany szmat życia, i każdej pustej nocy dręczy ją bezsenność głodnego ciała. Żonie Valerianusa musi być piekielnie ciężko, bo samym drapaniem nie da się ukoić swędzącej dupy. Kornelię też już swędzi, lecz jeszcze nie tak ostro. Mimo to radzę ci się spieszyć, Kaiusie, bo, jak widzisz, rywale również się palą, żeby spróbować tego miodu.

Pił do awantury z pewnym młodym legionistą. Wydarzyło się to dzień wcześniej, owego dnia, kiedy wieczorem, tkwiąc w szuwarach, słuchałem dialogu między Fulwiuszem a Terencją. Przed południem rozejrzałem się za Kornelią. Leżała na trawie i bawiła małego Justusa. Pragnąłem się przyłączyć. Gdy ruszaliśmy z Rzymu, nie byłem taki zuchwały - nie miałem śmiałości, by zbliżyć się i zagadnąć; potem nocami patrzyłem jak lśni granatowe niebo, rozmyślając ile mil dzieli Ziemię od gwiazd. W trakcie długich dni wędrowania, gdy spoglądała z wozu na szereg konnych, wydawało mi się, że to spojrzenie jest kierowane tylko do mnie, i dzięki temu rosła moja śmiałość. Kiedy Kornelia zaczęła chętniej używać rumaka niżli wozu - starałem się jechać przy niej, i wtedy wreszcie gadaliśmy ze sobą. O czym? O byle czym. Jej to dawało rozrywkę; mnie dawało radość. Jej drgał podbródek kiedy się śmiała (dlatego ciągle rzucałem dowcipy, grałem wesołka, bo to ją bawiło); mnie drgało szczęśliwe serce kiedy widziałem feeryczny efekt moich żartów. Dzisiaj nocami przypominam sobie te chwile, i słyszę jej perlisty śmiech. W takie noce, kiedy człowiek tkwi między zimnym blaskiem księżyca a ciepłym płomieniem kaganka - przeszłość wydaje się bajką ulepioną ze zwidów.

Nim poznałem Kornelię, byłem już mocno rozpuszczony, tymczasem dzięki niej zrobiłem się znowu płochliwy, spięty, jak przed utratą niewinności, i zaczęła mną rządzić nienaturalność. Szorstkie i jędrne drwinki Rufusa dotyczące erotyzmu drażniły mnie, gdyż wszelka wulgarność przestała mi smakować, a przestała, ponieważ mój duch wystrzeżał się wtedy realności, tęskniąc do idylli baśniowej. Karmiłem się tkliwą miłością.

Zakochany w mej Kornelii - byłem wewnętrznie rozdarty. Doskwierała mi żądza cielesna, kierowana niezbywalnym przymusem natury, lecz moja świadomość kielżnała ją, jakbym się bał, że gry fizyczne (ślinienie, macanie, spółkowanie) zabrudzą lub wręcz eksterminują idylliczną sferę mego raj. Planowałem mieć wszystko, ale nie parłem do spełnień energicznie, żeby bajka zbyt szybko nie przybrała form rytualnych, tych „*gimnastycznych*”, które Rega wyśmiewał jako normalny



tryb związków międzyludzkich zwanych szumnie miłością. Pragnąłem wznosić perłową rezydencję dwóch młodych bóstw, ze złotym łóżem dla dwóch natchnionych ciał, a nie szałas z derką dla rutynowej kopulacji. Chciałem być jurnym olimpijskim efebem, a nie przyziemnym zwierzakiem. Jeśli nawet było to głupie i naiwne - było to piękne, więc nie mam się czego wstydzić lub żałować.

Dobrze pamiętam, iż taka pierwsza (a u mnie jedyna taka) miłość pełna jest melodii przepływających przez głowę. Są dwojaki. Niektóre śpiewają hymn do wiecznego szczęścia, owijają świat bandażem kolorowej magii, budują wizję ciepłego gniazdka, gdzie wszystko przytula, sprzyja i kocha, moszcząc dla dwojga ludzi przestrzeń arcyszczodłą. Ziemia migocze błyskami skrzydeł motyli, wiatr delikatnie czesze dywany kwiatów, łodzie maleńkich obłoczków prują błękit między koronami drzew. Niebo i woda przędą długie, spokojne dni; czas brzęczy jak senna październikowa mucha; lasy pełne głębokiego cienia i altany oplecione winoroślą dają intymności schowki, których puls wyznacza żar ciał. Wszystko tam jest równie odległe od cierpień i od znojów dnia codziennego jak gwiazdy od Ziemi, i nic tam nie umiera, króluje arkadia, bezkresność błogostanu. Tym pierwszym melodiom, eterycznym i słodkim, towarzyszą melodie bojowych surm, głoszące wszechmoc absolutną - wszechpotęgę zakochanego marzyciela. Złotawy półmrok pęka, otwierając przed zdobywcą fantastyczne krainy triumfów. Nurt krwi dudniącej w żyłach wynosi ponad gnuśny spokój klepsydr, demon niezwykłości opętuje zmysły, zrywa pęta łączące z rzeczywistością, dając panowanie nad niebem, lądem i morzem, nad wiatrami i płomieniami, miejsce w krainie wszechwiedzy, ponad czubkami śpiących lasów, nad skulonymi we śnie miastami, nad przygaszonymi emocjami tłumów - nad każdą rzeczą! I to jest miłość - coś cenniejszego od aktu żądy. Bo tak jak istotą księgi filozoficznej nie jest kunsztowna inkrustacja wałków i szlachetny pergamin, który rozwijamy, tylko zawarta na nim mądrość; i jak istotą kaganka nie jest kształt, glina, kolor i rodzaj oliwy, lecz światło dziurawiące mrok; i jak istotą harfy nie są struny, gatunek drewna, ani nawet palce grajka dotykające instrumentu, lecz tylko melodia, która kroi serce - tak istotą miłości nie jest gorączka dwóch ciał, lecz spojrzenie dwóch par oczu i dziecięca tkliwość w mózgach obojga patrzących.

To prawda, ale natura zwierzęca domaga się prawdy swojej. Górnolotnie rozmarzony - uśpiłem konieczność. Dopiero awantura z tym legionistą i przestroga Regi, że rywale wyprzedzą niemrawego marzyciela - otrzeźwiła mnie i pchnęła ku śmielszemu działaniu. Tamtego dnia zobaczyłem Kornelię zabawiającą Justusa, a obok niej siedział na trawie młody pretorianin i zabawiał ją. Tokował, gestykulując manierą południowców, rad, że Kornelia słucha go chętnie. Zbliżyłem się i spytałem czy mogę dołączyć.

- Nie możesz! - warknął.

- Nie ciebie pytam! - odwarknąłem wściekły.

Wstał i postąpił ku mnie krok, jakby chciał uderzyć, jednak tylko groził butną miną, a że się nie wystraszyłem i nie cofnąłem, zaryczał:

- Idź precz, pętaku!

- Sam idź precz, żołdaku!

Wówczas usłyszeliśmy z tyłu głos Regi:

- Panowie, na co się kłócić, kiedy można się pobić? Dobądź miecza, Apulejuszu...

Tamten zgłupiał i wybąkał:

- Miecza, panie?...

- No. Masz taki piękny ensis, ładnie się błyszczy u twego boku, powiedziałbym: donośnie. Donośniej aniżeli twój wrzask.

- Gdyby ten gówniarz nie był synem trybuna, już dałbym mu w pysk! Ale z synem „*Sotera*” bił się nie będę, bo poleci na skargę chlapiąc.

- Toteż ja ci nie proponuję, byś stawał przeciw Kaiusowi. Zmierz się ze mną, żołnierzu.

- Panie...

- Widzę, że jednak nie masz ochoty, a już myślałem, że ręce cię świerzbią. Trzeba je czymś zająć, Apulejuszu. Twoi koledzy smarują osie wozów, piorą plandeki i kąpią wierzchowce przed jutrzejszą drogą, tam, u brzegu jeziora.

- Rozkaz, panie!

Zmył się, czerwony na twarzy. Mnie również paliły policzki. Rega, nic już nie mówiąc, chciał sobie pójść, lecz nie zdążył, bo tak jak wcześniej on, tak teraz żona konsula zjawiła się niespodziewanie za moimi plecami i spytała:

- Co tu się dzieje?

Nikt nie odpowiedział, więc powtórzyła:

- Co tu się dzieje, Kornelio? Usłyszałam czyjś krzyk...

Kornelia spuściła oczy, a Rufus wyręczył ją:

- Nic strasznego, pani. Dwóch młodzieńców wadziło się o prawo flirtowania z młodą damą, rzecz równie naturalna jak utarczki wiosennych ptaków. Jednego już odesłałem. Nie wiem tylko czy tego, którego było trzeba...

Uśmiechnęła się:

- Jestem całkowicie pewna, że dokonałeś trafnego wyboru, panie Rego.

- Dzięki ci, pani, za dobre słowo, ale nie sądzę, by mój wybór miał dla młodej damy większe znaczenie. Kiedyś ona sama będzie musiała dokonać trafnego wyboru. To jest: poślubić człowieka, którego jej rodzice wybiorą.

- Wybór był w Rzymie, panie Rego, a nie w tej spalonej dzicy, przez którą się tułamy i tułać będziemy.

- Jeśli dotulamy się do Bizancjum, pani, tam również będzie wybór.

Teraz uśmiechnęła się gorzko:

- Twój wódz nie bardzo ma ochotę zmierzać do Konstantynopola.

- Lecz wybiera się tam twój mąż, pani.

- Czy to znaczy, że się rozdzielimy, panie Rego?

- Nie wiem, pani, jaką fatą obiorą dla nas drogę.

- Wierzysz w wyroki losu?

- Wierzę w boga przypadków, pani. I wierzę, że dzięki niemu Kornelia znajdzie kiedyś udatnego męża.

- Winna już mieć męża od przynajmniej roku!

Rega pokiwał głową, i dalej plótł uniznienie grzecznym tonem, którego drwiącej nutki żona Valerianusa nie dostrzegą:

- Święte słowa, pani. Gdy pierwszy raz ujrzałem tę młodą osobkę, nieomal równie piękną jak jej macocha, już byłem bardzo zdziwiony.

- Czym byłeś zdziwiony, centurionie?

- Nie jestem centurionem, pani.

- Ale zastępujesz trybuna jako dowódca...

- Owszem, pani, jestem prawą ręką szlachetnego trybuna, chociaż nie mam stopnia legionowego. A zdumiony byłem, że Kornelia wciąż jest panną, gdy jej rówieśnice dawno są mężatkami. Czemuż tak miłe i tak posażne dziewczę nie zapaliło jeszcze pochodni Hymenu?

- Przez swą krnąbrność, panie Rego... No i przez to, że Valerianus ulega jedynaczce we wszystkim. Były w Rzymie pierwszorzędne partie do wyjścia za mąż, lecz mój małżonek toleruje kaprysy Kornelii, dając jej prawo kierowania się biciem serca.

- To rzeczywiście niebezpieczne, pani - westchnął Rufus. - Wiadomo, iż młode serce bywa zaślepionym doradcą, niczym ta stara Temida, która przez opaskę feruje często błędne wyroki, krzywdząc ludzi. Ale też dziwi mnie, iż serca Kornelii nie zdołał wzruszyć żaden spośród bogatych młodzieńców Rzymu. W stolicy były ich tabuny, zwłaszcza przy dworze...

- To jej zbyt wybujała duma, którą nosi po swoim ojcu, panie Rego. Nie ujrzała jeszcze kogoś, kto byłby jej godny, przegania wszystkich zalotników. Trzeba będzie chyba sprowadzić jej któregoś boga z Olimpu, by w paniństwie się nie zestarzała. Prawda, że na takiego czekasz, Kornelio?

- Czekam na Rzymianina, pani matko - odpowiedziała Kornelia spokojnie.

To „*Rzymianina*” wysylabizowała tak, jakby mówiła: na prawdziwego mężczyznę; a to „*pani matko*” - jakby chciała zadrwić lub obrazić.

Ów dialog mocno mnie zdumiał, ale i zmobilizował. Zdumiał, gdyż nigdy wcześniej nie widziałem, by Terencja rzekła do Rufusa Regi choć jedno słowo. Sądziłem, iż dlatego, bo gardzi famulusem. Ale widać prowadzona przez nią kobieca gra, w której chodziło o dziewczynę, o trybuna i o nią samą, stała się dla niej ważniejsza niż patrycjuszowska duma i ugięła próżność Terencji, zmuszając do grzeczności wobec służącego-podwładnego-niegodnego. Zaś zmobilizowany zostałem tym: „- *Czekam na Rzymianina*”. Nie miałem żadnych szans dorównać w czymkolwiek Fulwiuszowi, ale chciałem przynajmniej wyuczyć się robienia bronią. Kiedy kolejnego wieczora poprosiłem Regę, by mnie uczył, źle zrozumiał motywy prośby i parsknął od razu:

- Chcesz się rąbać z Apulejuszem? Głupota! To fircyk, nie śmiałek. Mogłoby się wydawać, że śmiałek, bo trzeba ikry, by grozić synowi „*Sotera*”, lecz on się handryczy nie ze śmiałości, tylko z koguciej ambicji, dla popisu przed babą. Nie turbuj się nim, dzieciaku. Znam ten rodzaj pyskacza. Im dłuższy ozór, tym krótsze ramię, niech sobie szczeka do woli.

- Przy mnie nie będzie więcej szczekał! - powiedziałem twardo.

- Jak chcesz, mogę cię uczyć szermierki, synku, ale nie gwoli tego, byś się tłukł z Apulejuszem.

I naraz zamilkł, myśląc intensywnie o czymś - tę intensywność zdradzały ślepia zwięzione kocim skurczem. Później rzekł cicho:

- Wiesz co, dzieciaku... Może i masz rację. Zuchwalstwo jest równie zaraźliwe jak tchórzostwo. Warczenie Apulejusza przeciwko synowi wodza może ośmielić buntowniczo innych głupków. Chłopców z „*gwardii «Sotera»*” nie, lecz pretorianów Caeliusza mało znamy, mogą tam być różne cepy... Przyjrzę się temu. A ty będziesz pobierał nauki. Znajdę ci dobry miecz i od jutra rozpoczniesz ćwiczenia.

Rozpocząłem więc ćwiczenia, dubeltowe - w machaniu gladiusem i w strzelaniu z łuku. Te lekcje kradły mi na postojach czas, jaki mógłbym wykorzystać do uwodzenia Kornelii. Tylko kiedy Rega był zajęty pętelkami wśród kawalerzystów, miewałem okazje. Kilka dłuższych rozmów nic mi nie dało - wciąż nie wiedziałem kim jestem dla dziewczyny: trefnisiem zabijającym nudę marszowego

dnia, czy chłopakiem bliskim sercu. Próbowałem zyskać odpowiedź, kiedy Fulwiusz zarządził jednodniowy postój nad jeziorem Spina.

Pławiąc się tam, usłyszałem głos fleciku Kornelii. Siedziała niedaleko od brzegu, z małym Justusem, i zabawiała go tą fujarką. Pobiegłem do wozu, chwyciłem mój „aulos”, wróciłem ku brzegowi i dmuchnąłem w ustnik, oznajmiając swoje przybycie niczym herold. Dwa dźwięki zwały się, lecz mój był tylko piśnięciem, gdy jej był melodią.

- Umiesz grać? - spytała.
- Jeszcze nie umiem, ale już znalazłem sobie nauczycielkę, która mnie wyuczy.
- Ja mam cię nauczyć, Kaiusie?
- A widzisz tu gdzieś inną nauczycielkę, Kornelio?
- Widzę. Stara jest biegłej sza, gra dużo lepiej niż ja.
- Mówisz o służącej?
- Mówię o mojej macosze, o Terencji.
- Terencja woli grać komuś innemu...
- Właśnie o tym mówię, Kaiusie!

Strwożył mnie jad, którym pobrzmiwał dziewczęcy głos. W jej źrenicach lśnił groźny błysk, którego nigdy przedtem nie widziałem. Pierwszy raz zobaczyłem u niej zupełną dorosłość - miała teraz oczy kobiety, a nie smarkuli. Chwila ciszy rozwiesiła wtedy między mną a Kornelią krępujący stan napięcia, i to on sprawił, że puściły mi nerwy - przestałem się hamować, zapytałem gniewnie wprost:

- Kochasz Fulwiusza, dziewczyno?

Odparła równie gniewnym parsknięciem:

- Skąd ci to przyszło do głowy?!... Podziwiam twego ojca, jak wszyscy, ale nie kocham nikogo prócz mego ojca!
- Pytam o inną miłość, Kornelio.
- A jakie masz prawo pytać?! Co cię to obchodzi, Kaiusie?!
- Wiesz dobrze, iż bardzo mnie obchodzi, nie udawaj!

Tu spłoszyła się i spuściła wzrok. Lecz ja - rozpędzony i zdeterminowany - nie zamierzałem

odpuścić. Wóz albo przewóz, kułem żelazo nachalnie:

- Miłowałaś już kogoś?

Szepnęła głosem, który ponownie stał się dziewczęcy:

- Jeszcze nie kochałam... Służąca Nigrina mówi, że miłość to dziki ptak, przylatuje i odlatuje kiedy chce...

- Wybudujmy mu złotą klatkę, Kornelio, ty i ja! - odszepnąłem żarliwie, nie bacząc (lub raczej nie zdając sobie sprawy), iż klepię trywialną manierą lichych rymopisów.

To ją spłoszyło jeszcze głębiej; zarumieniła się i skuliła, jakbym chciał ją uderzyć. Milczenie dudniło moim oczekiwaniem. Z kłopotu wybawił ją Justus, włączając jej na kolana, chwytając flet i próbując „grać”, ale bez skutku, bo dmuchał nie w ustnik, tylko w wylot. Pokazała mu ze śmiechem jak się to robi. Dzięki temu odzyskała rezon i rzekła:

- Dzisiaj mogę ci przyrzec jedynie, że będę...

- Tak, Kornelio?

- ... że będę cię uczyła muzyki.

- Jak Justusa?! Traktujesz mnie jak tego malca, dziewczyno?!... - wybuchnąłem. - Powiedz, że wolisz zaloty Apulejusza, i nie będę ci się więcej narzucał, zejść ci z drogi, słowo!

- Nie pragnę żadnego Apulejusza, i nie chcę, byś mnie omijał, Kaiusie, ale boję się twoich pytań, potrzebuję czasu. Ty zresztą również potrzebujesz czasu...

Zaprzeczyłem gromko:

- Nie, ja się nie waham! Ja...

Teraz ona przerwała mi w pół słowa, lecz łagodnie:

- Potrzebujesz czasu na naukę grania, a większość wolnego czasu spędzasz ucząc się miecza i łuku.

- Eee tam! - krzyknąłem. - Dla ciebie zawsze znajdę czas, Kornelio!

Próbowała zmienić temat rozmowy:

- Wszyscy wokół kogoś uczą. Zauważyłeś, Kaiusie, że nasza wędrownica to już jedna wielka szkoła? Pan Rega uczy legionistów stać w siodle, a ciebie uczy fechtunku. Służąca macochy uczy ją pielęgnować Justusa. Mój ojciec uczy twego ojca moresu, wykorzystując jego afekt do starej. No i ja mam ciebie uczyć grania. Pewnie ty również mógłbyś uczyć kogoś, choćby pływania, pono pływasz

jak ryby.

- Chcesz się nauczyć pływania, Kornelio? - zapytałem, wietrząc swą szansę (widząc już oczami erotycznej wyobraźni chwytanie w wodzie jej ciała kiepsko się trzymającego na powierzchni nurtu).

- Nie chcę, Kaiusie, żartowałam.

- Żartujesz, by uniknąć odpowiedzi, bo wiesz, że wcześniej ja mówiłem serio! Mogę cię nauczyć nurkowania, i mogę cię nauczyć czegoś więcej.

- Czego, Kaiusie?

- Tego! - wykrztusiłem, kładąc dłoń na jej udzie i delikatnie ściskając palcami drżącą obłość ciała.

To był sprawdzian. Wiedziałem, że chwyci tę moją dłoń i zepchnie, ale pragnąłem sprawdzić czy zrobi to od razu, czy nie tak szybko. Zepchnęła po chwili, lecz po chwili cudownie długiej, i bez żadnego gniewu. Czegóż więcej mogłem sobie życzyć? Udając, że nic nie zaszło, złapała mój dubeltowy flet i mruknęła:

- Jaki dziwny, Kaiusie...

Ostrzegłem ją:

- Uważaj!

I pokazałem jej, że z wnętrza wyskakuje klinga sztyletu. Teraz dopiero dałem jej wziąć ustnik między wargi (nie sądzę, by kojarzyła przy tym dubeltową symbolikę falliczną - ten ruch warg i ruch atakującego ostrza). Najpierw dmuchnęła dla próby, sprawdzając siłę dźwięku, a później zagrała sardyńską melodyjkę rybaków, bardzo modną zeszłego lata wśród Rzymian. Wtem przerwała, uniosła głowę i wskazała palcem ku niebu:

- Widzisz go?

Spojrzałem tam.

- Widzisz? - powtórzyła.

- Kogo?

- Tego ptaka.

Na gałęzi drzewa siedział spory ptak, trochę tylko mniejszy niż gołębie. Miał białosrebrzyste piórka i główkę ciemną jak czarny mnisi kaptur kontrastujący z białą habitą. Siedział nieruchomo, i być może przyglądał się nam, lecz któż mógłby to rozstrzygnąć, jeśli miał oczy niby dwie błyszczące perełki nie zdradzające kierunku spojrzenia.

- Widzisz? - zapytała trzeci raz, wskazując mi znowu palcem.

- Widzę. Chyba przywabiłaś go muzyką, bo są takie ptaki, które niczym węże lubią słuchać grajków.

- Nie, Kaiusie. Wczoraj wcale nie brałam fletu do rąk, a widziałam go również, frunął za nami.

- Ten sam?

- Myślę, że ten sam.

- Wątpię... Pewnie identyczny, jakiś... jakiś lokalny gatunek, Kornelio.

Nazajutrz zobaczyłem go znowu. Siedział u wierzchołka pini, przy gościńcu, którym toczyło się Fulwiuszowe wojsko.

- Widzisz tego ptaka? - zapytałem Regę.

- Widzę, widzę! - burknął, nie patrząc i nie wykręcając głowy. - Widzę go od dawna, choć nie od samego Rzymu, ale jestem pewien, że towarzyszy nam od Rzymu. Pierwsza dostrzegła go Terencja.

- I wskazała ci go?

- Wskazały mi go jej oczy, Kaiusie. Obserwując ją, zauważyłem, iż błądzi wzrokiem wysoko, jakby kogoś szukała, a kiedy się pojawiał blisko nas, przestawała błądzić i tylko wpatrywała się weń. Kobiety są bardzo spostrzegawcze, bardziej spostrzegawcze niż mężczyźni, synku.

- Eee tam! - machnąłem ręką.

- Nie wierzysz? To powiedz mi ile jest guzów na rękojeści miecza twego ojca... Lub jaki kolor ślepi ma Apulejusz, któremu przewierciłeś ślepią własnym wzrokiem.

- Nie pamiętam.

- Nie pamiętasz, bo w ogóle nie zauważasz takich rzeczy.

- A ty je widzisz?

- Też nie. Lecz spytaj córkę lub żonę Valerianusa, a powiedzą ci, który pasek którego sandała Marcipora jest naderwany, kobiety dostrzegają wszystko.

- Może... Co to za ptak?

- „Investigator”.

- Szpieg? Takie nosi miano ten gatunek ptaków?



- Tak ja go przezwałem, bo szpieguje nas każdej doby.

- Myślisz, że to zawsze ten sam?

- Wiem, że to ten sam! Przyglądam się mu już dwa tygodnie, i spostrzegłem, że ma jedną lotkę wykrzywioną.

Odtąd ja również rozpoznawałem dziwnego ptaka po lotce charakterystycznie przekrzywionej (zresztą nigdy nie zobaczyliśmy drugiego osobnika tego gatunku), lecz nie nazywałem go szpiegiem, tylko strażnikiem. Tak właśnie określiła go Kornelia - „*custos*”<sup>\*</sup> [\* - Łacińskim terminem „*custos*” zwie się śledzącego, ale jako pilnującego, strzegącego, dozorującego, bądź wręcz opiekuna i obrońcę, a nie jako szpiega.] - twierdząc, że miano, które dał mu Rega, jest krzywdzące, bo ów ptak niczym na nieufność i złośliwość nie zasłużył.

Od Pisaurum i Ariminum cały czas trzymaliśmy się blisko brzegu morskiego. Dopiero przed Rawenną skręciliśmy ku zachodowi, mijając zachodnie i północne krańce jeziora Spina. Później znowu usłyszeliśmy szum morskich przyplądów. Mimo że dzięki obecności Adaloalda nie trzeba było bać się specjalnie gockich strażnic i patroli, Fulwiusz wolał boczne szlaki wiejskie niż główne kupieckie trakty łączące sieć grodów - „*dmuchał na zimne*”, jak rzekł Rega. I wszędzie rozpytywał o legionistów. Podobnie czynił Valerianus, lecz każdemu chodziło o coś innego - konsulowi o grupę Seranusa Cimbera, gdy trybunowi o niedobitki rozbitych legionów. I wreszcie przed Atrią legionieści sami się zjawili, tylko nie tacy, jakich chciał ujrzeć „*Soter*”.

Tego ranka zarządził łowy w wielkim lesie, przy skraju którego biwakowaliśmy nocą. Żeby uzupełniać nasz warzywno-owocowo-mączny prowiant mięsem, nie starczyło kupować po wsiach, dlatego myślistwo stało się koniecznością i regularnie absorbowało łuczników. Ruszyli dwójkami i trójkami, trzydziestu ludzi. Rega wziął mnie ze sobą, mówiąc:

- Ćwiczyłeś strzelanie do pni drzew i do ptactwa. Czas strzelić do czworonożnego celu.

Mój cel okazał się jednak dwunożny. Ja miałem łuk, Rega miał kuszę. Długo błądziliśmy w głębi boru, aż natknęliśmy się na moczar. Rufus rozchylił krzewy i ujrzał wąski pomost z bali, prowadzący przez to bagno ku wyspiarskiej kępie.

- Ktoś tam mieszka - mruknął. - Smolarze lub uciekinierzy, ofiary Gotów. Pójdę się rozejrzeć, a ty zostań tutaj i bądź czujny.

Kiedy przeszedł kładkę i dotarł do suchego - spomiędzy szuwaru wyskoczył brodac z dzierżącym oszczepem, chcąc wbić ten drąg w ciało Rufusa. Rega uchylił się błyskawicznie, lecz wtedy tamten - widać biegły włócznik - zawinął drzewcem i trzepnął drugim krańcem głowę Regi, który padł bez zmysłów. Napiąłem moją cięciwę, mierzyłem bardzo krótko. Szczęście debiutanta sprawiło chyba, że to był celny strzał, dziurawiący pierś. Z gołym mieczem w ręku pobiegłem kładką chlupiącą od walenia skórniami butów. Trafiony dogorywał charcząc, ale wciąż kłął paskudnie - jakby wierzył, że śmierć można przegnać stekiem odpowiednich wyrazów. Wreszcie ucichł i zmarł. Skropiłem wodą twarz Regi. Rozwarł oczy, siadł i przyłożył dłoń do potylicy tam, gdzie oberwał drągiem.

- Jak się czujesz? - spytałem głupio.

- Lepiej niż on - burknął, patrząc na martwego brodacza. - Ładny strzał, synku.

- Uchodźmy stąd, bo mogą tu być inni!

Odchylił skórzany kabat trupa i zobaczyliśmy legionowy pas, zapięty mosiężną kłamrą.

- Zdobyczny lub własny - rzekł Rega. - Ciekawe...

- Prędeż zdobyczny, zerwany żołnierzowi legionów.

- Nie jestem pewien... Zrobił taką sztuczkę włócznią, jakiej nigdy uczone kopijników we wschodnich legionach. Stosowali ją strażnicy żydowskich świątyń w Galilei, przy rozpędzaniu tłumów służyła do uciszania prowodyrów. I legionistom to się bardzo spodobało. A Fulwiusza ten pas zainteresuje...

Fulwiusz wziął na bagna połowę swoich ludzi. Regę, którego bolał obwiązany łeb, zostawił z drugą połową. Mnie również zostawił, gdyż Rega szepnął mu kilka słów. Wiedziałem co mu gadał. To coś siedziało we mnie i mdliło. Dopiero teraz, gdy wróciliśmy z lasu, przynosząc pas brodacza, uczułem dziwny rozstrój członków, swoisty strach krążący żyłami i wywołujący mdłość. Nie wiem czy każdy się tak czuje po zabiciu pierwszego człowieka, ale ja się tak czułem - fatalnie. Bez religijnego motywu - bez pełnego skruchy przygnębienia, iż odebrałem żywot, który daje Bóg i tylko Bóg ma prawo odebrać dar. Była w tym wstrząsie, i w tym wstręcie wobec krwawego czynu, raczej naturalna groza, świadcząca, iż moim przeznaczeniem nie jest rycerstwo, wojenne rzemiosło, dzieło miecza, które uszlachetnia dusze rzymskie, a cała moja radość z chojrackiego sekundowania ludziom pokroju Fulwiusza czy Regi to tylko marzycielska naiwność. Pragnąłem przebyć dziki, barbarzyński świat wzorem herosów, niczym kwiecistą łąkę, tusząc, iż kiedy osiągnę drugi brzeg tego piekła - wyjdę zeń krokiem tanecznym, cały lśniący junactwem i tak urzekająco męski, że kobiety rozpoznają to natychmiast, bo takich szukają mężów, a ja, lekceważąc je - każdą będę mógł od niechcenia zdobyć. Bliskość Kornelii i jedna strzała w ludzkim ciele dekapitowały ten miraż.

Trybun, kiedy wrócił z leśnej ekspedycji - widząc moje przygnębienie potrafił je spacyfikować metodą bezbłędną. Miast głądzić o tym, że konieczność zmusiła mnie do strzału; lub perswadować, że każdy, także urodzony wojownik, za pierwszym razem ma kiepskawy stan ducha; bądź filozofować o zgrzyotach wojny, śmierci i niewinności człowieka broniącego życia strzałą czy klingą - podszedł, przytulił mnie i szepnął tonem wzruszająco ciepłym:

- Dziękuję, synu!

Krótko, dwa słowa. Jasne, że wiedział, iż spytam:

- Za co?

- Za to, że uratowałeś życie Rufusowi, synu. Uratowałeś człowieka mi bliskiego, jestem ci

głęboko wdzięczny. Tylko mu tego nie mów, bo się łobuz rozzuchwali jeszcze bardziej, ostatnio stał się krnąbrny i czepliwy jak samica kleszcza!

Tę nutkę humoru również zagrał z premedytacją. Powiedziałem:

- Tato, bój się Boga, on cię wielbi!

- Daruj, Kaiusie, ale nie sądzę, by Pan Bóg mnie uwielbiał!

- Mówię, że Rega cię wielbi!

- Myślisz?... To pewnie nowa sztuczka, Rufio jest niegłupi, synu. Ciekawe co ten cwaniak chce tym zyskać, jak przypuszczasz, Kaiusie?...

Rozbrajał moje czarne myśli kpina, i chociaż mu się wiodło - do samego dna nie rozbroił.

W bagnie powiodło mu się lepiej. Moczarowa wyspa była kryjówką zbójów. Łupili wszystkich (każdego kto coś miał) między Patavium, Ateste i Atrią. Ostrogoci starali się ich dopaść, lecz nie znaleźli leśnej siedziby i nie zdołali urządzić na gościńcu zasadzki skutecznej. Wojna i fakt, że większość zbrojnych tkwiła pod murami Rzymu - sprzyjały zbójom. Grabili już półtora roku. Przypadkowe odkrycie przez Regę ich bagiennej nory zakończyło ten łotrowski raj - „*Soter*” wdarł się na wyspę i zdławił opór siłą. Wyciął kilkunastu, reszta rzuciła broń i poszła w pęta. Zdobył kilka rumaków tudzież kilka osłów, a także kilka wozów, i uwolnił grupę wieśniaczek niewolonych przez zbójów dla zabawy. To wszakże był kłopot. Parę spośród tych bab (głównie te, co miały dzieci) ruszyło ku swoim wioskom, biorąc na drogę prowiant. Lecz aż szesnaście wcale nie paliło się do odejścia; mówiły, że nie mają gdzie pójść, bo ich wioski są spalone, zaś rodziny wybite. Było jasne, że skosztowawszy już wolności i rozpusty, nie chcą wracać do codziennego chłopskiego znoju. Czczona przez prostytutki Rzymu „*Venus felix*” ergo „*Venus physica*”, pani świata uciech cielesnych, stała się teraz boginią tych kobiet. Nie widząc w pobliżu Fulwiusza, Valerianus nakazał Rufusowi:

- Przegnaj je batem z obozu!

- Przegnam, kiedy trybun da mi rozkaz, jemu służę!

- A on mnie służy, więc rób co kazałem!

- Zmusz mnie, dobry człowieku... - zaproponował Rega drwiąco.

Konsul otworzył gębę, by jeszcze głośniejszym ryknąć, ale wtedy nadbiegł zwabiony pierwszym rykiem Fulwiusz, i śmiejąc się przerwał im:

- Widzę, że wreszcie rozpoznałeś w Valerianusie dobrego człowieka, Rufio! Jak ci się to udało?

- Bez trudu, panie - prychnął Rufus. - Dobrego człowieka rozpoznaje się po tym, że kiedy

krzywdzi kogoś, stara się to czynić możliwie najdelikatniej.

- A co twój delikatny konsul chce teraz uczynić?

- Chce przegnać te dziewczki tylko batem, chociaż mógłby gorącym żelazem.

- No to ja jestem dobry oraz delikatny dubeltowo, bo nie wypędzę tych dam ani batem, ani żelazem, ino miłym słowem - rzekł Fulwiusz.

- Panie, to błąd! - sprzeciwił się Rega.

- To konieczność! - krzyknął Valerianus. - Te ładaczniczki doprowadzą do całkowitego rozprzężenia żołnierskiej dyscypliny!

- Wprost przeciwnie - zapewnił Rega. - Chłopcy nie mieli bab od kilku tygodni i się męczą, gdyż to jest wbrew ludzkiej naturze, a złe samopoczucie nie sprzyja karności szeregów!

- Więc niech sobie zerzną te baby, o tam, w głębi lasu, lecz później niech one idą precz - mruknął Valerianus głosem łagodniejszym. - Nie chcę, by moja żona i moja córka przyglądały się codziennej markietańskiej rozpuście. Te prostytutki...

- Jakie prostytutki?! - zdenerwował się Rufus. - To są tylko kobiety wyzwolone od klatki domu. Jeśli kiedyś demon postępu wyzwoli wszystkie żony i córki spod tyrańskiej władzy mężów i ojców, rozwierając im wrota świata - wszystkie będą się swobodnie puszczały, bo to lubią, a lubią, gdyż ku temu zostały przez naturę stworzone. I co - będziemy wówczas mienić wszystkie owe „*liberty*” \* [- „*Liberta*” (łac.) - wyzwolenica uprawiająca konkubinaty (przenośnie: niewiasta wyzwolona, wolna od zahamowań).] prostytutkami?... Tych kilkanaście bab uspokoi dygoczące lędźwia chłopców, wypłeni cichą pederastię i jałowy samogwałt, a do tego będzie miał kto fachowo szyć, i prac, i gotować dla oddziału. Czysta korzyść, trybunie. Weźmy je ze sobą.

Fulwiusz się wahał, zaś Valerianus chwycił się szansy ostatniej:

- Prawo Rzymu zabrania legionom wozić ze sobą wojskowe lupanary!

- „*Necessitas non habet legem*”! \* [\* - Konieczność nie zna prawa (łac).] - odparował Rufus.

Fulwiusz westchnął:

- Trzeba byłoby kilku jeszcze wozów...

- Kupimy bez trudu, panie!

- Ale nie kupicie bez moich pieniędzy!... - uśmiechnął się złośliwie dygnitarz.

Jego śmiech był zaraźliwy, bo Fulwiusz, którego coś tknęło, również się uśmiechnął:

- Być może od dzisiaj w ogóle obejdziemy się bez twoich pieniędzy, konsulu. Chodź, zobaczysz.

Ruszyliśmy przez łąkę ku ścianie drzew, gdzie trzymano jeńców. Fulwiusz i Valerianus szli przodem, ja i Rega kilka kroków za nimi.

- Brawo! - szepnąłem do Rufusa. - Pięknie go klinczowałeś, niewiastobójco przemieniony w obrońcę bab!

- Mówiłem ci: wynajduj, synku. Tak się to robi. Trybun też właśnie wynalazł klucz ze złota.

Usłyszeliśmy ryk herszta zbójców. Mój ojciec rzekł wtedy Valerianusowi, czyniąc kpiarską aluzję do ryków konsula sprzed paru chwil:

- Typowy żołdak, przyjacielu, prostak święcie przekonany, że im głośniej wrzeszczy, tym bardziej ludzie się go boją, a im jest zamożniejszy - tym bardziej go szanują. Zobaczymy jaki jest majątny, Valerianusie...

Minęliśmy grupę kobiet siedzących na kępach mchu i wyczekujących decyzji „*Sotera*”. Trochę dalej siedzieli spętani zbóje. Herszt ryczał wciąż:

- Rozwiążcie mnie, bo się tutaj zeszczam, tak mnie ciśnie w pęcherzu!

- Przekłujemy ci go rychło, bratku, leż spokojnie i czekaj! - rzekł „*pies Regi*”, Marcipor.

- Gdybyście zabić chcieli, już byście to zrobili. Rozwiążcie i dajcie na stronę pójść!

- Żebyś uciekł?

- A jak przysięgnę, że nie będę próbował?

- A jak nie dotrzymasz?

- Jak nie dotrzymam, to mi bogowie odpłacą, zem ich zelżył, bo na nich kląć się będę!

- Toś ty poganin? - zdziwił się Marcipor. - Źle, brateńku!

Fulwiusz przerwał im ten dialog, pytając herszta:

- Ile dasz, jeśli cię uwolnię?

- Furę, żołnierzu. Mam tego kilka skrzyń.

- Czyli co najmniej kilkanaście skrzyń.

- Przecież mówię, że kilka!

- Jak mówisz, że kilka, to znaczy, że dużo więcej. Pewnie mógłbyś już za to kilka wsi kupić, purpurę kupić, wielmożą zostać. Nie przejadłbyś tego, choćbyś żył kilka razy.

- Ano.

- To dlaczego grabiłeś dalej?

- Bo tylko to umiem. I żyć chcę po swojemu. Jakbym osiadł i przejadał tylko, z nudów bym zdechł bez ochyby. Daj słowo „*Sotera*”, że puścisz wolno, a ja dam ci połowę uciulanego.

- Ukradzionego! Vulgo: cudzego.

- Teraz mojego!

- Gdzie to tuchlisz?

- Pokażę, jak dostanę słowo „*Sotera*”!

- Zaufasz żołnierskiemu słowu?

- Swojemu bym nie zaufał, ale twojemu można, wie każdy w Imperium.

- Żle! - mruknął warujący obok „*pies Regi*”.

- Sądzisz, Marciporze, iż połowa zagrabionego to mizerny haracz? - spytał Fulwiusz.

- On sądzi, trybunie, że źle negocjujesz... - wtrącił się Rega. - Umie liczyć, i wyszło mu, że pół to mniej niż całość.

- Potrafisz lepiej negocjować, Rufio?

- Tak.

- Więc spróbuj.

- Ognisko! - krzyknął Rega do pretorianów. - Duże ognisko, a jego rozebrać i rozciągnąć między palikami, ma być goły zupełnie!

Fulwiusza przestało to już interesować. Podszedł do kobiet i zagadnął jedną:

- Jak ci?

- Emilia.

- Masz męża?

- Miałam. Ubili go.

- Oni? - wskazał na zbójów.

- Oni. Zamordowali prawie wszystkich we wsi, dzieciakom też nie darowali, panie.

- Po co?

- Ze złości, panie... Nasi się bronili i dwóch zbójów legło, a kilku oberwało, tak złość ich wzięła i spalili wieś. Moje dzieci spaliły się we środku chaty.

- Widzisz tych czterech, którzy siedzą osobno? To żołnierze z rozbitego legionu Germanica. Przyłączyli się do bandytów, a teraz chcą się przyłączyć do mnie. Powiedz mi, czy byli wśród sprawców tamtego mordu? Tylko nie kłam!

- Byli, pamiętam każdego.

- Noc spędzisz w moim namiocie, chyba że wolisz w innym.

- Wolę w twoim, panie.

Zostawił ją, przywołał Isidora i przekrzykując wycie palonego żywym ogniem herszta rozkazał:

- Zabić wszystkich!

Kiedy słońce gasło, mieliśmy już skrzynie pełne zbójceckich łupów, które uniezależniały „Sotera” od bogactw Valerianusa. Ale to nie widok tej zdobyczy sprawił, że kocie ślepia Regi promieniowały triumfem. Lśniły nim wskutek innego widoku - widoku wdowy kroczącej do namiotu Fulwiusza. Gdy zniknęła wewnątrz, Rufus przekreślił twarz ku furgonowi Terencji, jakby chciał rzec: „- Może to tylko dla sprawienia ci bólu i zmiękczenia, a może utraciłaś dziś swą władzę, pani, bo grałaś o kilka nocy za długo. Jeśli tak, to twój małżonek postradał linki lalkarza, paniusiu...”

## X.

Tak więc postąpiłem nieco w rozumieniu okrucieństwa. Lecz tylko trochę - bez uchwycenia całej prawdy, tudzież bez przeniknięcia intencji Pana Boga Wszechmogącego. Na moich oczach stracono, jednego za drugim, dwudziestu kilku łotrów. Działo się to u stóp drzewa, którego pień był mokry od juchy słodkawo cuchnącej. Herszt zaś był czarny od płomieni, którymi Rega wydusił informację tyczącą zbójckiego schowka. Zdarza się litość dla wrogów („*parcere subiectis*” \* [\* - Oszczędzać zwyciężonych (łac).]), nie ma litości dla bandytów - to kazano mi pojąć. Lecz ja zrozumiałem, że wróg to człowiek, który współtworzy naszą lub swoją gwałtowną śmierć: może cię zabić, abyś stał się nieobecny; może, jak żołnierz, zginać z twoich rąk, abyś zyskał wielkość; i może z twojego wyroku zdechnąć jako skazaniec, wdrażając cię do rutynowego okrucieństwa, czyli do ceremoniału bestialskiej wiary w przelew krwi u dwunożnych zwierząt.

Rozumiałem wszakże i trybuna. Wysłuchał o tych spalonych dzieciach i podjął decyzję. „- *Jestem Rzymem!*” mawiał krocząc przez ziemie barbarzyńców, które niedawno były ziemiami Imperium, a prawo Rzymu surowo karało zbrodniarzy. Wyegzekwował mściwe prawo Rzymu, negując trzy inne rozwiązania. Mógł bowiem owych łotrów puścić wolno, by dalej krzywdzili bliźnich; mógł ciężko okaleczyć każdego, skazując go na dożgonną żebranię; i mógł ich wcielić, uczynić podwładnymi, by odkupili swoje grzechy służbą. Lecz on nie chciał zostać ani siewcą ludzkiej krzywdy, ani katowskim chirurgiem, ani reedukującym belfrem - był żołnierzem, który zabija, kiedy uważa, że tak trzeba. Tkwiło w nim więcej wojownika niż mściciela, a jeśli nawet po równo - umiał to kryć lekceważącym stosunkiem do wrogów. Pamiętam jak w Rzymie Rega przekonywał go, iż winien strzec się ciosu ze strony kamaryli dworskiej. Uśmiechnął się wówczas i wycedził:

- Nie gdacz, Rufio! Są tacy szarmanccy, niczym pawie, tacy dostojni, niczym flamingi, i tacy uprzejmi, niczym łabędzie - elita ptaków!

- To, że są uprzejmi, Fulwiuszu, nie znaczy, iż nie potrafią kasać.

- Co mi tam, komary też kásają.

Lubił demonstrować słowem swą wyższość nad niebezpieczeństwami. I maskować milczeniem albo kpina chęć odwetu, kiedy ją miewał. Wspominającemu Cimbera Valerianusowi rzekł drwiąco podczas kilkudniowego biwaku u brzegów jeziora koło Ariminum:

- Żeby pragnąć zemsty, trzeba się czuć ofiarą. Nigdy do tego nie dopuszczam.

Raz się zdradził, dużo wcześniej (w drodze pomiędzy murami Rzymu a cmentarzem, gdzie zobaczyliśmy króla Franków, Guntamunda), gdy ostrzeżony przez Regę, że Cimber mógłby się zasadić i czekać na niego, warknął:

- Niech czeka, o niczym innym bardziej nie marzę, jak o tym spotkaniu!

Świeży wówczas wstyd, świeży gniew i świeża nienawiść wobec Cimbera - całe to bydlęce upokorzenie w lochu i ból wskutek konieczności zostawienia legionu Alaudae - spowodowały ten wybuch. Jeden jedyny. Więcej razy nie słyszałem, by poważnym tonem oznajmił, iż pragnie się komuś



krwawo zrewanżować. Jakby takie deklaracje czy groźby uważał za słabość. Lub za pretensjonalność pasującą gadule, lecz nie wojownikowi. Lub za uronienie świętego sekretu, przystojne małym chłopcom, którzy wygrażają sobie przez parkan. Doroślenie chłopców to odkrywanie skarbu milczenia podczas gniewu, który targa sercem. I później już każde zbędne słowo jest zdradą, niby szczebiotliwa kochanka wskazująca rywalowi boczne furtki ogrodu. Nowe cegły tworzą młode mury, te mury tworzą gmach, budowla ciemniej od upływu czasu, a chociaż często rozbrzmiewa gwarem, to kiedy trzeba - milczy. Szanowanie najcięższych słów. „- *Zabić wszystkich!*” - jakie to oszczędne! Równie lapidarne co: „- *Dobranoc!*”. Nie przestając kochać Fulwiusza - nie umiałem się z tym oswoić. Pan Bóg, gdy tworzył ludzkość taką a nie inną, i dawał człowiekowi wolną wolę wyboru dobra bądź zła, musiał zrobić jakiś systemowy błąd, jeśli są czyny, których ocena może być tylko relatywna, bez możliwości nazwania bieli albo czerni stricte po imieniu.

W nocy trudno mi było zasnąć, dręczył mnie widok tego drzewa, u stóp którego Isidorus kierował egzekucją. Wreszcie zmęczenie zrobiło swoje, lecz - jak później rzekł Rega - spałem nerwowo, miotając się i krzycząc na pledziku. Przyśnił mi się Philomusus, nie pierwszy zresztą raz - śnił mi się często, podobnie jak Sulpicjusz, lecz rzadko kiedy się odzywał. Tym razem perswadował, niby mówca broniący oskarżonego, aczkolwiek nie powiedział czy mówi o Redze, czy o Fulwiuszu:

- Winienesz go zrozumieć, Kaiusie, to człowiek prosty. Prosty człowiek nie lubi kiedy droga się gmatwa. Dlaczego? Dlatego, że lubi drogę prostą. Widocznie takie upodobanie daje mu poczucie sensu. Jeśli coś cię przeraża i chcesz zwać to okrucieństwem - twoje prawo, bądź suwerenem swoich uczuć i myśli. Jednak pamiętaj, że duszą prostej drogi jest sprawiedliwość, a nie łagodność. Sprawiedliwość umie przerażać, niczym strugi krwi błyszczące na metalowym ostrzu, zaś jej poniechanie ma kuszący blask jarmarcznego świecidełka, więc ludzie prości lekceważą ten złudny blask i ten fałszywy klejnot. Odrzucając wszelką kaźń, nigdy nie wyjdiesz z błota tolerancji dla wszelakiego grzechu. Odrzucając „*Caritas maior iustitia*”\* [\* - Miłosierdzie większe od sprawiedliwości (łac.)], wzmacniasz wędzidła grzechu. Nawet cesarz Marek Aureliusz, który był filozofem i humanistą, miał żelazną rękę, bo był człowiekiem prostym.

- Miał żelazną dłoń wobec chrześcijan, mistrzu! - zaprotestowałem.

- Czyli wobec bluźnierczych sekciarzy łamiących prawo, bo tym oni wówczas byli, a on szanował prawo. Lecz wczytaj się w jego pisma, a zobaczysz jak często jego myśli są zgodne z nauką Chrystusa, Kaiusie. Obaj pięknym słowem krzewili dobro. Gdyby tak Marek Aureliusz urodził się nieco wcześniej i w Galilei, mógłby zostać prymusem pośród apostołów. Zdradzę ci teraz ważną rzecz, synu trybuna. Kiedy szacuję kaźń, rym, budowlę, kobietę, przemowę lub łódź dalekomorską - nie oceniam ich po kształcie albo po brzmieniu wyrazów, tylko po człowieku, który je tak stworzył: czy udało mu się wzbogacić harmonię świata tudzież ugruntować ludzi w słuszności i w dążeniu do cnoty. Słucham jak biją ich serca, Kaiusie...

Powiedziałem:

- Mistrzu, przecież sam twierdzisz wciąż, iż Rzym nie wymyślił niczego prócz okrucieństwa i szermierki!

Lecz powiedziałem to chyba za głośno, gdyż śpiący blisko mnie Rufus przebudził się i szarpnął mną, mówiąc cicho:

- Ocknij się, synku, a mara zniknie! Napij się wody. Idź się odlać. Uśniesz drugi raz, może już bez koszmaru.

Dziś, kiedy to rozpamiętuję, przypominam sobie, że i sen był wśród nas powodem kaźni - jakby Hypnos i Thanatos pragnęli męką dowieść, że są parą bliźniaków. Fulwiusz bowiem napotkał wreszcie żołnierzy z rozbitych kohort (pierwszych przyjął u schyłku lata), ale ich demoralizacja - oczywisty efekt krycia się i długiego wegetowania wśród dzikich ostępów - budziła jego gniew. Któregoś wieczora powierzył kilku takim, ledwo wcielonym, nocną wartę, mówiąc:

- Kto choćby przez jedną chwilę zaśnie na straży, temu sprawię dłuższy nocleg na gałęzi!

Zadrzemało trzech... Powiesił ich, jak obiecał. To znowu było okrucieństwo, i też było sprawiedliwe, bo drzemający wartownik stanowi bramę do grobu wielu ludzi. Lecz ja nigdy nie potrafiłem przełknąć kaźni bez wewnętrznego sprzeciwu, i nawet mnich Atenajos nie wyleczył mnie z tej słabości, choć trafnie użył piekła jako argumentu, którego prawy chrześcijanin nie odeprze logicznie żadną miarą.

Atenajosa zobaczyłem nazajutrz po kaźni zbójów. Pełen czarnych myśli, wlokłem się za piechurami tak wolniutko, że wreszcie mój koń, czując mój bezwład, stanął i naciągnął cugle, by skubać trawę rosnącą wzdłuż drogi. Gdy się ocknąłem, szereg był już daleko z przodu, aż zniknął za zakrętem gościńca. Postanowiłem doścignąć ich jadąc skrótem - między kępami karłowatych drzew i łąką. Wiła się tam ścieżka pastuchów. Przy strumieniu, który biegł trochę dalej, ujrzałem młodego rudzielca. Był cherlawy, drobny niczym dziecko, ale nie był dzieckiem, gdyż miał habit przewiązany sznurem i na plecach kaptur. Zdumiało mnie wszakże coś, co miał na lewej dłoni. Siedział na niej Custos! W drugiej dłoni rudzielec trzymał garstkę ziaren, a Custos wydziobywał je ochoczo. Czasami unosił łepkę i zdawał się słuchać, bo rudy do niego mówił. Zajechałem i zeskoczyłem z siodła. Wówczas ptak poderwał się i pofrunął ku ścianie lasu.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - rzekłem.

- Niech będzie, na wieki wieków, amen - odparł, wbijając we mnie wytrzeszczone gały.

- To twój ptak?

- To Boże stworzenie, jak wszystkie stworzenia. Spłoszyłeś go.

- Widocznie boi się mnie. A jeśli ciebie się nie boi, znaczy, że oswojony przez ciebie i twój.

- Nie mój, sam przysiadł, gdy gryzłem ziarno. Dziki, tyle że pewnie głodny.

- Co to za ptak?

- Qho.
- Takie imię mu dałeś, czy tak się nazywa ten gatunek ptaków?
- Tak się nazywa wszystko. Qho.

- Co znaczy: Qho?

- Duch.

- Czyj duch?

- Duch wszystkiego. Życie jest Qho, złe i dobre licho jest Qho, tajemnica jest Qho, fatum jest Qho.

Wszystko.

Pomyślałem, że mam przed sobą wariata lub nawiedzonego mnicha, z rodzaju tych, którzy łążą od wioski do wioski i bredzą nieczytelne proroctwa dla wyłudzenia stawy i noclegu. Jakby na potwierdzenie tych przypuszczeń zapytał:

- Masz żarło?

- Mam kawałek sera.

- Daj, bo ja mam tylko trochę pestek, no i trochę ziaren, które wytrząsałem z kłosów, ale nie smakują mi.

Dałem mu ten ser, którym się szybko zatkał, więc dałem mu też bułak, aby przepchnął czkawkę pijąc. Kiedy skończył, spytał znowu:

- Wolisz lasy świerkowe, czy kozi ser?

- Że co?!

- Ja lubię miodowe placki. Chociaż lubię i deszcz, ale nie lubię kiedy zbyt mocno pada.

Utwierdził mnie tymi słowy w przekonaniu, że jest pomyleńcem, ofiarą wojennej burzy, która z wielu krzywdzonych nieszczęśników czyni wariatów. Chciałem już wsiąść na konia i gonić swoich, gdy poprosił, wskazując mój flet wiszący przy siodle:

- Zagraj coś.

Burknąłem:

- Nie mam czasu.

- Masz dużo czasu, daleko do wieczora.

- Do moich mi już daleko. Muszę ich gonić.
- To nie jesteś sam, grajku?
- Nie jestem sam, i nie jestem grajkiem!
- Wiem, jesteś żołnierzem, wisi ci miecz przy boku.
- Żołnierzem też nie jestem!
- Wiem, przecież widzę, że mały jakiś, niby zabawka.
- Wcale nie zabawka! To jest legionowy gladius. Tyś się pewnie naoglądał gockich mieczy spatha, co są długie i szerokie. U nas takimi obcinamy głowy podczas kaźni.
- A kogo kaźnicie?
- Zbójów.
- Też nie lubię zbójów.
- A ja nie lubię kaźni! - krzyknąłem tak wściekle, jakby upiory minionej nocy wytrysnęły mi przez gardło.
- To czemu kaźnisz zbójów?
- Nie ja, nie jestem dowódcą.
- A gdybyś był, to byś darował?
- Nie wiem... Dlatego nigdy nie zechcę być dowódcą. Chrystus nauczał miłosierdzia wobec grzeszników...
- I „wiecznego ognia mąk piekielnych” wobec zatwardziałych grzeszników. Mówił: „- *Idźcie ode mnie, przekłęci, w ogień wieczny, na mękę nieskończoną!*”. Vulgo: na wieczną kaźń. Po prawie byli cięci i przy obecności księdza?
- Bez księdza!
- Aaa... to już gorzej, bo może by który skrucę okazał i rozgrzeszenia dostąpił.
- Może... - szepnąłem, mając tego dziwaczego dialogu wyżej uszu.

Błysnęła mi wcześniej myśl, iż on mógłby zostać naszym kapelanem, lecz zgasilem ją od razu, bo byłby parodią sensownego kapłana. „Jak już się trafił duchowny, to wariat lub przynajmniej taki dziwak!” - westchnąłem gorzko w duchu i skoczyłem na siodło.

- Żegnaj! - krzyknąłem.
- Żegnaj. Dzięki za ser i za flet.
- Za flet?... Nie dałem ci fletu.
- Nie prosiłem, byś dał, tylko, byś grał.
- Przecież nie grałem ci!
- Ale masz czym grać, a to już coś, kiedy dzisiaj wszyscy wożą ze sobą ino ostrze.

Zrobiło mi się głupio, jakbym zobaczył w tych jego ciągle wytrzeszczonych gałach (taka ci fizjonomiczna przypadłość, choć nie były wypchnięte jak u żaby), iż wie, że mój aulos też kryje wewnątrz ostrze sztyletu.

- Miecz noszę dla obrony - powiedziałem. - Nie lubię walki, krwi, zabijania.
- A dokąd zmierzasz?
- Jadę na północ, z moim ojcem, trybunem Fulwuszem Corwinusem, i z jego ludźmi.
- Po kiego licha? Tam sama dzicz!
- Szukamy „ostatniego legionu”... Widziałeś może jakichś legionistów?
- Tydzień temu widziałem. Zbrojny był orszak, czerwonopióry, choć dla dla zakrycia kapturzasty. Też szli na północ.
- Ilu?
- Czterdziestu siedmiu Rzymian, pięciu Gotów, dwóch Greków, siedmiu służków, Egipcjanin, jedna bogata niewiasta i jedna służka. Mieli dwadzieścia dziewięć koni wierzchowych, siedem jucznych, cztery osły i kozę.
- Aż tak dokładnie policzyłeś, mnichu?
- Samo mi się liczy! - parsknął śmiechem.
- Wiesz co, jedź do oddziału ze mną, zdasz tam sprawę i damy ci lepszego jadła niż ten ser twardziuch.
- Ciepłego?
- Gorącego mięsa.

- To mnie przewieź. Nigdy nie siedziałem na koniu, lubię nowości.

- Jak cię zwa?

- Brat Atenajos.

- A mnie Kaius. Podsadzę cię, włącz na grzbiet Lizypa.

- Lizyp to rzeźbiarz, czemu tak zwiesz konia, Kaiusie?

- Bo mój mistrz, Philomusus Grek, klarował, iż Lizypa są najpiękniejsze konie z brązu.

Ta odpowiedź przypomniła mi nocną tyradę Philomususa, dlatego podczas jazdy spytałem:

- Wierzysz w sny?

- Pewnie, to druga strona Qho! - ryknął Atenajos, przekrzykując bicie kopyt kłusującego Lizypa. - Śniłem ci się, że pytasz, uczniu Greków?...

Nim dojechaliśmy, zobaczyłem Regę. Galopował z czterema legionistami, szukając mnie, w obawie, że coś głupiego mi się przytrafiło. Gdy już skończył mnie rugać, iż samotnie oddalam się od szeregu, spojrzał na mnicha:

- Ktoś ty?

- Brat Atenajos - rzekł Atenajos.

- Skąd się wzięłeś?

- Z Qho.

- To twoja pustelnia?

- To pustelnia wszystkich.

- Gdzie ona jest?

- Wszędzie.

Rega przyjrzał się mu uważniej i zachrypiał głosem jeszcze bardziej surowym:

- Słuchaj, ruda gębo, nie lubię rudzielców, bo są wredni. Wrednych bezczelniaków i zgrywusów nie lubię dubeltowo! Więc nie pogrywaj ze mną, kiedy pytam, bo nauczę cię moresu!

Mnich skrzywił się i odparł pytając:

- Co wolisz: upa, czy siusianie w kucki?

Rega zgrzytnął zębami i jego kocie spojrzenie zderzyło się z wybałuszonym wzrokiem Atenajosa. Czulem, że za moment straci mnicha pięścią na ziemię, albo uczyni coś gorszego, więc szarpnąłem Lizypa tak, by odsunął się od konia Regi, i powiedziałem:

- Rufusie, to dziwak, ale niedawno zobaczył ludzi Cimberowych, dlatego wziąłem go, żeby Fulwiusz dowiedział się szczegółów.

- Wziąłeś? Skąd?

- Znad strumienia. Gadał tam sobie z Custosem i karmił go ziarnami.

- Karmił kogo?

- Tego ptaka, który fruwa wokół nas.

- Czyli szpiega! - warknął Rufus. - Czerwonowłosy szpieg i jego tresowany ptasior, dzięki któremu on nie gubi kontaktu, bo ptak widzi wszystko spod nieba i później prowadzi go za nami. Pewnie śledzą nas od murów Rzymu!

Atenajos znowu się skrzywił i wymruczał:

- Miękkie ramy jedzą wściekle, wodne mury grają w piekle.

- Atenajosie, przestań błaznować! - syknąłem.

- Udaje wariata, spryciarz, by się wywinąć! - rzekł Rufus. - Niech gada na temat Cimbera, gdzie ich widział, którądy szli?

- Nie tobie, kocia gębo! - zezłościł się mnich. - Trybunowi Fulwiuszowi opowiem, jak dostanę gorącego mięsa! Może też być pieczona ryba. Albo dwie ryby, po chrześcijańsku.

I zwrócił się do mnie:

- Wolisz rybołówstwo, czy łowienie ryb?

Schyłek dnia był jeszcze daleko, ale minął już skwar. Fulwiusz zrobił postój dla szybkiej wieszki (główną jadaliśmy bliżej zmierzchu). Kobiety ugotowały groch. Przedstawiłem trybunowi mnicha, ten zaś znowu szczegółowo wyliczył ludzi z rzymskiego orszaku jadącego ku północy tydzień wcześniej.

- Jak rozpoznałeś tego Egipcjanina i dwóch Greków, po szatach? - spytał mój ojciec.

- Greków po mowie, bo oni gadali ze sobą - rzekł Atenajos. - Egipcjanin miał na piersi krzyż faraonów, „*anch*”. Gdyby i on gadał, bez krzyża bym go rozpoznał, bo umiem egipską mowę.

- Skąd? Wożowałeś do Egiptu?

- Nie, ale łąziłem po świecie dużo, od dziecka. Spotykałem wielu ludzi. A języki same mi się jakoś do głowy kładą. Parę dni z kimś pogadam i już znam jego mowę. Znam egipski, syryjski, grekę i gwary barbarzyńców. Rozróżniam narzecza Wizygotów i Ostrogotów, gadam językiem Longobardów i językiem Swebów, idzie mi to łatwo.

- A ta kobieta?

- Językiem kobiet nie umiem. Tego się nie da wyuczyć, bo one inaczej myślą.

- Pytam co to była za kobieta wśród nich! - huknął Fulwiusz.

- Rzymianka.

- Służka?

- Nie, dumna pani. Wysoka. Z blizną na policzku przypudrowaną.

- Siostra Cimbera, Julia Starsza! - krzyknął Rufus.

- A więc to Cimber! - upewnił się trybun. - Co tam robi dwóch Greków i Egipcjanin, jak myślisz, Rufio?

- „*Comes domesticorum*” przyjmował w pałacu różnych ludzi, miał także zaufanego Egipcjanina, Hafora, to pewnie ten. Śmierdzi mi coś innego, że ma dzisiaj również Gotów...

Fulwiusz spojrzał na mnicha:

- Ostrogotów czy Wizygotów?

- Ostrogotów. Był pośród nich jeden wielmoża, grubawy tłuscioch.

Roześmiałem się, bo mnie ów tautologizm rozbawił:

- Tłuscioch zawsze jest gruby, Atenajosie!

- Mędrzec zawsze jest głupi - odparł. - Wolisz chudego, czy mądrego?

- To szpieg grający wariata! - mruknął Rufus.

- Czemu budzi twoją nieufność? - spytał mój ojciec.

- Zbyt dokładnie podaje liczbę tamtych.

- Hafora też wymyślił?... I bliznę na policzku Julii Starszej?... Nie, Rufio, to nie jest szpieg Seranusa Cimbera.



- Dobrze mówicie, panie! - przytaknął Atenajos.

- Milcz, póki nie pytam! - skarcił go trybun. - Choć sędzę, żeś nie szpieg, mogę się mylić...

Rufus parł dalej:

- Jeśli nie szpieg, to kto? Szpiegów się namawia, by po schwytaniu grali obłąkanych. Ten struga wariata cały czas! Ciągłe się głupio pyta o coś. Mnie spytał czy wolę upały, czy siusianie w kucki!

- I co wybrałeś? - zainteresował się Fulwiusz.

Rega nic nie odrzekł, lecz jego gniewny wzrok zdawał się mówić: „- Bardzo dowcipne, wodzu!”.

Przyniesiono wtedy miche z grochem, który Marcipor rozdzielił, napełniając mniejsze miseczki.

- Kaius obiecywał gorące mięso lub rybę! - pożalił się Atenajos.

- Kaius nigdy nie kłamie! - upewnił go Fulwiusz. - Ja spośród mięs najbardziej lubię groch i oliwki, a spośród ryb sałatę w korzeniach... Wolisz udziec z melona, Atenajosie, czy pikantne różgi centurionów na gołe dupsko?

- Za co?! - pisnął przerażony mnich.

- Jeszcze nie wiem za co, ale każdy mądry jest głupi póki nie schudnie od bicia.

- Mówiłem prawdę!

- Liczyłeś co do jednego konia, sługusa i hełmu w ich orszaku?

- Nie liczyłem palcem, samo mi się liczy wewnątrz głowy. Mogę pokazać coś?

- Pokaż - zgodził się Fulwiusz.

- Niech całkiem opróżnią dużą wazę.

Gdy to uczyniono, kazał Fulwiuszowi wysypać do niej jego porcję grochu, ale z wysoka, żeby można było zobaczyć spadający groch. Później ten groch wrócił do miseczki trybuna, zaś Atenajos kazał mnie wysypać mój. Uniosłem miseczkę i przechyliłem, a groch spadł jak burza.

- Trybun ma trzydzieści grochów więcej - rzekł Atenajos. - Ma osiemset trzydzieści cztery grochy, a Kaius osiemset cztery.

Policzyliśmy. Zgadzało się co do jednego grocha.

- Jak to robisz? - zapytał trybun.

- Nie wiem. Każcie mi wymnożyć dużą liczbę przez dużą liczbę, a powiem sumę bez straty czasu.
- Tysiąc pięćset dwadzieścia osiem razy trzysta pięćdziesiąt.
- Pięćset trzydzieści cztery tysiące osiemset! - rzekł natychmiast Atenajos.

Sprawdziliśmy - zgadzało się co do joty.

- Masz szybką głowę - pochwalił Fulwiusz.
- Ręce mam równie szybkie - wyznał mnich. - Swój nóż, panie, znajdziecie pod tą miską.

Trybun uniósł pustą miche i zobaczył nóż, który chwilę wcześniej tkwił mu za pasem. Atenajos wziął ten nóż, schował do swego rękawa i rzekł:

- Wyjmijcie sobie stąd, jeśli wam potrzebny. Fulwiusz wsadził dłoń w rękaw habitu i wyciągnął... medalion Marcipora.

- Żle! - skrzywił się Marcipor, patrząc na mnicha jak na diabła.
- A gdzie mój nóż? - zapytał „*Soter*”.
- Kaius nosi go przy boku.

Zerknąłem w dół i zobaczyłem nóż Fulwiusza tulący się do mojego boku. Kiedy trochę później spytałem Regę czy wciąż bardzo go drażni Atenajos, odparł:

- Tak bardzo mnie drażni, aż mi się podoba, Kaiusie. Gniewa mnie to, że podoba mi się kuglarz świrus.

Wszystkim się spodobał. Jemu zaś spodobało się, iż cały czas wędrujemy, dlatego przyłączył się do nas, kiedy nazajutrz Fulwiusz spytał o klasztor:

- Gdzie jest twój klasztor?
- Nie ma już mojego klasztoru, spalił się. Ale jakby się nie spalił, też bym uszedł, bo siedziałem tam za długo, kilka miesięcy. Tyle, ile noszę habit.
- Nosisz habit ledwie kilka miesięcy? - zdziwił się trybun.
- Tak, ale wędruję od małego - odkąd Gepidowie ubili moich i spalili moją wioskę. Nigdzie zbyt długo nie zagrzałem miejsca. Lubię wędrować.

- Czemu tedy wstąpiłeś do klasztoru?

- Bo wówczas łaźać się nie dało, trwała tu straszna wojna, barbarzyńcy tłukli się z legionami i szli

na Rzym. Klasztor był pustelnią leśną, chciałem tam przeczekać tę rzeź.

- I nie tęsknisz do stałej siedziby, nie chcesz mieć własnego kąta, choćby celi monasteru, jeśli już nie swego domu?

- Po co? Widywałem wszędzie ludzi osiadłych, romańskich czy gockich, i żał mi ich. Ludzie przywiązują się do swoich domów jak pies do obroży, to rodzaj niewolnictwa. Siedzą przez całe życie w tym samym miejscu i nie mają odwagi się ruszyć. Jedyna rewolucja, na jaką ich stać, to zmiana klombu w ogrodzie lub kształtu bramy. Dom jest kamieniem u szyi, człowiek przestaje być ptakiem.

- A ty chciałbyś być ptakiem?

- Jestem ptakiem, trybunie Fulwiuszu.

- Bywają i osiadłe ptaki.

- One również nie znają pęt. Żał mi tych wszystkich ludzi, którzy tkwią w pieleszach-łańcuchach. Barbarzyńscy koczownicy mają więcej wyobraźni, bo ciągiem się przenoszą.

- Co też i my robimy od wielu tygodni... Jeśli chcesz, to dołącz do nas, Atenajosie.

Dołączył, i cieszył się sympatią każdego. A szczególnie spodobał się małemu Justusowi, gdyż rozbawiał go za pomocą kuglarskich sztuczek z kamykami, patykami i przywoływaniem ptaków. Ptaki nie bały się mnicha zupełnie, jakby był swój - zlatywały ku niemu gdy tylko gwizdnął. Stąd dostał przydomek „*Avis*” [\* - „*Ptak*” (łac).]; i tak później zwali go wszyscy. Człowiekiem, który wymyślił to miano, był Mustio, sługa konsula. Przydomek cieszył Atenajosa, lecz mnich zniechęcił Mustia kiedy dowiedział się, że ten za młodu był ptasznikiem - łowcą ptaków. Zrozumieliśmy to lepiej wczesną jesienią, w pewnej osadzie, w której ujrzeliśmy ptasi jarmark. Setki drewnianych, wiklinowych i drucianych klatek z ptakami, gęstwa skrzydlatych niewolników. Targowano, płacono, wymieniano. Atenajos zrobił się siny niczym epileptyk, dostał drżenia rąk i zaskowyczał:

- Kupuję wszystkie!

- Takiś krezus? - roześmiał się Mustio.

- Takim „*Avis*”! - wrzasnął Atenajos.

- Czym zapłacisz, wariacie? - spytałem, zdziwiony jak i reszta.

- Trybun... trybun Fulwiusz zapłaci!! - odparł Atenajos głosem wykluczającym słowo sprzeciwu.

Mojego sprzeciwu, bo Rega wcale się tym krzykiem nie przejął:

- Mamy ci wierzyć, zuchwalcze, iż szlachetny trybun to już nie dowódca, jeno twój podskarbi, któremu rzucasz rozkazy? Kiedy został twoim sługą?

- A kiedy został „Wybawcą „? - szepnęła mnich przez łyzy.

Zrobiło się cicho. Osłupieliśmy, i każdy patrzył na „Sotera”, wstrzymując dech. Takie nerwowe chwile ciszy zdarzają się grupom ludzi od czasu do czasu. Było to jedno z tych długich zbiorowych milczeń, pełnych powietrza niewidzialnie drżącego i grożącego wybuchem. Cisza robiła się już nieznośna, lecz wreszcie Fulwiusz się zbudził: pokiwał głową, jakby w zamyśleniu, i rzekł bez emocji:

- Twój przydomek, mnichu, daje ci prawo. Mój przydomek każe mi usłuchać. Zapłacę, bierz się do dzieła, a wy pomóżcie mu, żywo!

Justus i Kornelia piszczeili z radości otwierając klatki. Krótką chwilę niebo było przesłonięte mrowiem ptactwa. Puste klatki ułożyliśmy jedne na drugich i podpaliśmy stos.

Wybiegiem tym jarmarkiem wprzód o kilka miesięcy, muszę tedy wrócić ku letnim dniom, kiedy poznawaliśmy braciszka Atenajosa. Było w nim właściwie dwóch ludzi. Potrafił gadać rozsądnie, myśleć logicznie, perswadować lub prosić normalnie, lecz czasami bredził bez sensu, choćby zadając te głupie pytania: „- *Co wolisz...?*”. Każdego, kto doń mówił, słuchał z nateżoną uwagą i z wytrzeszczonym wzrokiem, jakby miał zepsuty słuch lub jakby nie mógł nic zrozumieć. Wszystko było dlań „*Qho*”, również muzyka. Kiedyś przysłuchiwał się melodyjce, którą graliśmy z Kornelią, i stwierdził, że ta melodia jest niebieska. Zapytany dlaczego, wskazał pojedynczy flet Kornelii i mój dubeltowy, tłumacząc:

- Jeden dodać dwa równa się cztery, Kaiusie. Lecz przecież ty grasz także na jednym, bo ta druga piszczałka to nie żadna piszczałka, to pochwa noża. A jeden plus jeden równa się niebieski.

Powtórzyłem pytanie:

- Dlaczego niebieski?

- Nie wiem dlaczego niebieski. Tak widzę. Trzy plus pięć równa się zielony.

- Widzisz kolory kiedy dodajesz, czy kiedy słuchasz?

- Widzę kolory, bo słyszę te kolory. Zawsze widzę kolory kiedy słucham jak ktoś gra lub jak ptaki sobie śpiewają. Dźwięki melodii są kolorowe, każdy dźwięk ma inny kolor. Wszystko we świecie ma swój kolor. Każdy przedmiot, każdy stan duszy, nawet strach. I wszystko ma zapach.

- Strach jaki ma kolor?

- Barwę fioletu. A zapach piżma, Kaiusie. Drgnąłem, bo przypomniał mi się pachnący fragment wiersza Sulpicjusza:

„*Słyszysz? Te dźwięki miłe dla ucha?*”

*Krzyki bólu. Westchnienia miłości.*

*Czujesz ten zapach? Tak intensywny.*

*Piżma strachu... ”.*

Atenajos nie budził strachu (może tylko w niektórych legionistach, gdy dobywał im monety bądź kwiaty spod pancerzy), ale budził zdziwienie jako człowiek. Był człowiekiem z innego wymiaru - wymiaru tajemniczego „*Qho*” - co Rega zwał chorobą rozpoznaną, lecz niezdiagnozowaną precyzyjnie i nienazwaną sensownie przez medyków:

- Widywałem już takich ludzi. Nie ogarniają całości, ale zauważają każdy szczegół, każdy drobiazg, niczym kobieta. I bawią się rachunkami lepiej niż geniusze matematyki, co wszakże nie jest talentem, tylko chorobą. Reszta to kuglarstwo, te same sztuczki robi każdy cyrkowy iluzjonista.

Jednak i względem „*sztuczek*” musiał Rega zmienić sąd, dostał bowiem od mnicha lekcję pokory. Dyskutowali na jakiś temat, nie wiem jaki, gdyż przyłączyłem się późno. Atenajos perorował:

- Ciebie zaś zważ czarownikiem i wróżem, i czy ktoś głosi, że masz chorobę mózgu?

- Wszyscy, co gładzą, że jestem czarownikiem i wróżem, klepią bezsensowne bzdury, powtarzając plotki - stwierdził Rega. - Wskaż mi takiego, który widział, iż wróżę lub czaruję, mnichu. Gdy ty, ani myśląc, ani licząc, robisz bez zastanowienia rachunki, których zdrowy mózg nie wykonałby bez pisania!

- To znaczy, że bardziej niż chory mózg cenisz zdrowy kalafior?

- Dlaczego kalafior, wariacie?

- Bo kalafior przypomina mózg. Widziałem rozszczepiony żelazem łeb Gota. Czy dzień wcześniej wywróżyłbyś mu zgon?

- Dzień wcześniej wywróżyłbym pogodę. A i zgon też, gdybym wiedział, iż kolejnego dnia ten Got sam uderzy na pięciu wrogów.

Nie mogłem dłużej się przysłuchiwać, bo zawołał mnie ojciec, lecz kiedy po jakimś czasie wróciłem, Rufus i Atenajos dalej roztrząsali te same kwestie wróżbiarstwa, prorokowania z wyprzedzeniem jednodniowym. Rufus najwyraźniej robił to już kpiarsko, ale „*ów się śmieje - kto się przy końcu śmieje*”. Mówił:

- Każdy dzień jest niby osobny żywot, między narodzinami budzenia a śmiercią zasypiania, i łatwo zgadnąć jaki ten kolejny będzie.

- Łatwo? - nie uwierzył mnich. - Tobie, zdrowy mózgu, łatwo?

- Pewnie, że łatwo. Z dwóch tylko trafów trzeba wybierać - będzie albo dobry, albo zły. No,

bywa jeszcze i taki, co jest ani dobry, ani zły. I to wszystko. Dużo trudniej w kości grać, bo tam i możliwości więcej, i nie przewidzisz niczego. Chyba że kości oszukane.

- Oszukane?... Więc daj nieoszukane! - zaproponował mnich.
- Chcesz ze mną grać? - zdziwił się Rufus. - Nie gram w kości.
- Ja też nie gram. Chcę z tobą zagrać w kalafior. Poszukaj kości.

Rega wziął kości od żołnierzy. Przyszli razem z nim, gdyż trawiła ich ciekawość; przyszedł też Fulwiusz, zaś przybiegł Valerianus, kiedy dosłyszał gwar kibiców. Hurma ludzi obserwowała występ mnicha. Rega wręczył mu kubek, lecz Atenajos rzekł, iż będzie miotał ręką, bez widu. Zawiązano mu oczy i setnik Frontinus kładł mu kości w dłoń. Rzucał na odwróconą legionową tarczę, z której zdjęto skórzane chwytniki. Po każdym rzucie mówił ile wyszło. Nie mylił się ani razu i ani o punkt. Zmieniano kości trzykrotnie, a mnich każdymi rzucał jak bóg kościanego hazardu: zawsze wiedział ile punktów wyrzucił. Kiedy zsunął opaskę, mruknął do Regi:

- Wolisz swój zdrowy kalafior, czy chory mózg wariata?

Odtąd Rufus przestał zwać go wariatem.

Któregoś dnia Atenajos zniknął. Gdy już dwa dni był nieobecny, wszyscy sądzili, że odszedł na dobre, lecz Rega, który miał bystry „kalafior”, pocieszył płaczącego Justusa:

- Nie becz, smyku, „Avis” wróci.
- Skąd wiesz, panie, że wróci? - zapytała Kornelia, tuląc małego.
- Bo nie odszedłby na dobre bez pożegnania z tym knypkiem.
- I to ci daje pewność? - zapytał ja.

- Pewność daje mi moc czarnoksięska! - prychnął, nie tłumiąc śmiechu. - Wiesz równie dobrze co on, iż jestem magiem i przepowiadaczem. Przepowiadam ci, Kaiusie: rychło go zobaczysz.

- A serio czemu?

- A serio dlatego, że Custos ciągle fruwa przy nas. Gdyby mnich miał nie wrócić, ptaszysko poleciałoby jego śladem.

Czwartego dnia Atenajos wrócił, i dołączył do szyku tak naturalnie, jakby oddalił się tylko w krzaki za potrzebą. Co pewien czas identycznie zniknął - na dzień lub parę dzionków. Widać ciągle marszruta zbiorowa uciekinierowi nie starczała - musiał też regularnie sycić swój głód innej wędrowni, włóczędzy samotniczej. Gdy zniknął drugi raz (na trzy doby), przyśnił mi się znowu Philomusus. Wynurzył się z głębi mego snu niczym duch i spytał:

- Lubisz Atenajosa, Kaiusie?

- Tak, mistrzu - potwierdziłem.

- To dobrze, bo on jest wart serca. Wiem, że wydaje ci się dziwny, ale trzeba szanować jego dziwaczność.

- Znasz go, mistrzu?

- Znam takich jak on, to ludzie bezdomni, szukający samych siebie.

- Miał przecież dom, żył we wspólnocie klasztoru...

- Widocznie nie znalazł tam tego, czego szukał... Jego klasztor spalił się tylko trochę, mnisi zaraz podjęli naprawę szkód, lecz ten biedak okłamał was, bo wstyd mu było wyznać, iż uciekł jak dezerterski legionariusz. Są tacy ludzie, którzy w czystym, spokojnym, statycznym otoczeniu czują się źle i rozpięta ich przemożna inklinacja do brzydoty gościńców albo rynsztoków, którymi tłuką się wykołężcy, Kaiusie. Życie uporządkowane zaczyna wtedy doskwierać, piec, swędzieć, wprost gryźć, a demon dróg podszeptuje, iż w takim życiu jest szwindel losu czyniący człowieka więźniem jednej klatki. Odtąd ów człowiek ma już pewność, iż bezruch nie zbuduje mu tej prywatnej legendy, którą może dać tylko droga, tak jak bełkotliwa paplanina codzienności nie wykształci nikomu owej strzelistej frazy, którą można spiąć na pergaminie swoje „*curriculum vitae*” \* [\* - Życiorys; bieg życia (łac).] niczym piękną fryzurę złotą broszą. Wewnętrzna rozterka takiego człowieka przeradza się w paniczny łoskot serca, i wreszcie wygania go poza bramę bezpiecznego domu, z obietnicą, że droga ukoji go, zezwoli mu zdefiniować prawdę o samym sobie, prawdę ostateczną, wieczną, równą tej krótkiej chwili, kiedy człowiek rozumie kim właściwie jest, gdy nie jest nikim, synu. Wszystkie mijane dachy, płaskie i szpiczaste, drewniane i kamienne, wszystkie przytulne siedliska i kąty, dalekie i bliskie, cała ludzka zasiedziałość, przywiązanie do ziemi i do rodziny, do zbiorowiska i do plemienia - stają się wrogami takiego człowieka, a druhem jemu tylko gościniec. Będzie latami deptał Ziemię, ku wszelakim horyzontom i rubieżom, zaś matką wszystkich słów uczyni swoją bezdomność, która jest kluczem do wyleczenia się z kryzysu tożsamości trawiącego duszę niby kornik dziurawiący szlachetne drzewo.

Philomusus miał rację, lecz owa racja miała swój rewers, niczym moneta, co każdą stroną ukazuje różne, a przecież współpracujące wizerunki. Nawet taki człowiek jak Atenajos, Boży wędrowiec, dla którego droga jest ważniejsza niż dom - musi czuć głód rodzinnego ciepła. Każdy nosi ten głód w sercu. Oto czemu mój mistrz wymógł u Fulwiusza adopcję sieroty. Oto czemu Rufus był „*psem Fulwiusza*”, Marcipor „*psem Regi*”, a Mustio „*psem Valerianusa*”. Oto czemu legioniści trybuna - twardzi żołdacy, ludzie mający wypisane na twarzach, że ich zawodem jest śmierć, gdyż prędzej czy później poniosą gwałtowną śmierć - pielęgnowali jak skarb swoją wierność wobec „*Sotera*”. „*Gwardia «Sotera»*” była ich domem, ich gniazdem - ich jedyną rodziną. Zbiorowiskiem szorstkim, lecz dającym ciepło przynależności do czułego związku. I dającym siłę, jak w tej historii opowiedzianej przez Plutarcha - historii z pojedynczą strzałą, którą łatwo złamać, i z tą wiązką strzał, której nie złamie człowiek gnący żelazne sztaby. Taka familijność nosi nazwę koleżeństwa lub braterstwa, i wymaga hierarchii - zależności. Niczym świątynia, gdzie arcykapłan jest wodzem, i

niczym ta zwykła rodzina, gdzie dziadek lub ojciec jest patriarchą, a życie jest celebracją opiekuńczości i zależności, poddaństwa i współpracy. Chodzi bowiem o przynależność do zdrowego, czyli hierarchicznego stada. Ludzie bez takiej przynależności są tylko wysypiskiem równych sobie i obojętnych wobec siebie kamieni, których doraźna bliskość nie tworzy gmachu. Atenajos byłby istotnie człowiekiem chorym, degeneratem, zboczeńcem, gdyby nie czuł (świadomie bądź podświadomie) głodu tej więzi. Kiedy zatem znalazł „rodzinę” wędrującą - nakarmił swój dubeltowy głód: zew ciągłej drogi i zew przynależności stadnej. Awers i rewers zlały się w monetę idealną. Dlatego wracał ku nam, niby pies, który ucieka na parę dni z domu, bo goni za suką, lecz później wraca, gdyż pomimo swej dzikości chce być utulony przez przynależność.

Swoją rolę grał tu i Justus, który osłabił Atenajosowy instynkt samotnictwa. Mnich pokochał szkraba, zaś szkrab pokochał dziwaka - czuł się i bawił się przy nim lepiej niż przy kimkolwiek drugim, nawet przy Kornelii (nie mówiąc już o chłodnej wobec niego Terencji). Ów mały Justus, któremu szczędzę pióra, bo wolę spisywać dzieje mężów i niewiast - okazał się zwornikiem różnych spraw ważkich dla naszego taboru. Wszak to jego użył trybun, aby dać żonie konsula do zrozumienia, iż nie powinna być partnerką konsula. Czyniąc ją formalną opiekunką znajdy, swoistą paramatką, siebie wcześniej uczynił jego symbolicznym rodzicem, i to było przesłanie klarowne, jasne, mówiące o duchowym związku, którego „familijnym” węzłem został Justus. Atenajos mawiał:

- Ptaki są po to, by niebo miało skrzydła.

Patrząc na tego ptakoluba, chciało się rzec: „- Bezdomność, samotność i tułaczka są po to, by człowiek mógł lepiej rozumieć wartość siedzib, związków i kojącej harmonii przydomowych ogrodów, by mógł cenić je sprawiedliwie i miłować bardzo mocno”.

Przekroczywszy rzekę Atesis, skręciliśmy ku miastu Patavium. Tam właśnie zaczęliśmy oddalać się od morza. I tam właśnie zniknął Fulwiusz, tak jak bez słowa zniknął Atenajos. Było blisko zmierzchu, rozbijaliśmy obóz noclegowy, kiedy spostrzegłem nieobecność trybuna. Trwała już klepsydra, więc pobiegłem do Regi, pytając co się stało.

- Nic się nie stało - rzekł. - Nic prócz tego, iż gadał z panią konsulową, synku. Pani konsulowej źle chyba robi obecność pani trybunowej...

- Jakiej trybunowej? Tej Emilii? O niej gadali?

- Myślę, że gadali o sobie. Widać ta gadka wnerwiła wodza, bo skoczył na siodło i galopem ruszył. Wyładuje złość cwałując, i przejdzie mu jak ręką odjął.

- W którą stronę pojechał?

- Ku morzu.

Dosiadłem Lizypa i skierowałem ku morzu. Jechałem nie nazbyt długo. Zatrzymałem się wśród pagórkowatych wydm. Trochę dalej wierzcholec Fulwiusza, przywiązany u suchego korzenia podmytej sosny, czekał aż wróci jego pan. Pan zaś stał w wodzie, po kolana, nieruchomy jak statua



wbita w dno. Odwrócony plecami do plaży i do mnie - patrzył przed siebie, ku linii horyzontu. Morze było nakryte ciszą, lekko falujące i tak rozległe, że zdawało się, iż lśniący piach brzegu stanowi samotną wyspę. Czerwone słońce nurkowało za pasmo widnokręgu, haftując szkarłatem daleką połąć wody. Świat promieniował wzruszającym pięknem, nostalgicznym dostojnością, czarem maskującym każdą pospolitą wredność losu, każdą bestialską groźbę i każdy ludzki żal. Zawróciłem do obozowiska, by półbóg kontemplujący arcydzieło Boga nie spostrzegł, że intruz-świadek kaleczy mu intymność quasi-modlitewnego misterium.

„*Soter*” wrócił nocą, gdy spałem, a nazajutrz był pogodny i energiczny jak zazwyczaj, dając ten sam co każdego ranka znak wymarszu dla swej watahy i świty.